

KAROL MAY

SKARBY I KROKODYLE

DAS WALDRÖSCHEN ODER DIE VERFOLGUNG RUND UM DIE ERDE V

W GŁĘBI ZIEMI

Zapadł zmierzch, tętent koni zwiastował nadjeżdżających lansjerów. W domu mieli zamieszkać tylko oficerowie, szeregowcy mieli sobie zapewnić nocleg pod gołym niebem. W tym kraju nie jest to nic dziwnego, konie też nie potrzebują stajen, a ludzie prowadzą taki tryb życia, że nie zwykli spać na miękkich poduszkach, najlepiej czują się w hamaku lub na ziemi.

Kapitana Verdoję zaprowadzono wraz z oficerami do salonu, a potem Maria Hermoyes zaprowadziła każdego z nich do przeznaczonego pokoju. Emma poszła sprawdzić czy wszystko jest w należyтым porządku. Stała w izbie przeznaczonej dla kapitana, gdy usłyszała jego kroki, było za późno, aby się wycofać.

Otworzył drzwi i zobaczył stojącą na środku pokoju dziewczynę. Zawsze była piękna, teraz zaś miłość wybiła na jej obliczu piętno wzruszającej tkliwości i serdeczności. Słońce właśnie zaszło za horyzontem. Ostatnie jego promienie wpadły do środka i oblały postać dziewczyny różanym blaskiem. Verdoja stanął jak wryty, był oszołomiony jej widokiem, ośladnęło nim pożądanie.

Emma skłoniła się i prosiła słodkim głosem:

— Proszę bliżej senior, to pokój dla pana!

Posłuchał wezwania i skłonił się z należytą gracją.

— Cieszy mnie to, że pani sama dbasz o moją wygodę — rzekł. — Proszę wybaczyć, że swoją obecnością czynię dodatkowe kłopoty.

Miała zamiar, meksykańskim zwyczajem podać mu rękę na powitanie, ale cofnęła ją. Było w jego słowach, twarzy a nawet tonie głosu coś odpychającego, nastrajającego nieprzyjaźnie...

— Przyszłam tylko sprawdzić, czy pokój wygodnie urządzono.

— A więc to pani jesteś duchem opiekuńczym tego domu! Czy może nawet...

— Hacjendero jest moim ojcem.

— Dzięki Madonno! Nazywam się Verdoja. Jestem kapitanem lansjerów, a czuję się wielce zobowiązany i jeśli pani pozwoli, to ucałuję jej drobniutkie rączki.

Z tymi słowy uchwycił jej rękę, nie mogła się nawet temu sprzeciwić i przycisnął ją do ust. Cofnęła się przerażona.

— Pozwól pan, że się oddalę. Znajdzie pan tutaj spokój i wygodę.

Chciała otworzyć drzwi, ale zastąpił jej drogę.

— O, nie pragnę spokoju, proszę usiąść obok ni nic Czuję, że przepadam za panią, pragnę cię mieć przy swym boku.

Popadła w zakłopotanie. Ten człowiek przyzwyczajony był obcować z kobietami w stolicy, ona więc czuła się bezbronna wobec tak śmiało występującego i pewnego siebie mężczyzny

— O, mam jeszcze dużo obowiązków — prosiła.

Oko jego spoczęło ogniście i pożądliwie na jej twarzy i odrzekł więc:

— Najpiękniejszym gospodyni obowiązkiem jest być miłą dla gości.

— A gościa obowiązkiem jest być grzecznym wobec gospodyni.

— Takim jestem, naprawdę — zawołał. — Proszę mi dać swoją rączkę i nie odchodzić.

Chwycił ją za rękę, ale udało jej się w tej chwili wyśliznąć z jego objęć i odskoczyć.

— *Adieu*, senior — rzekła otwierając drzwi.

— Stój, nie puszczę pani stąd!

Wyciągnął za nią rękę, ale ona już była za drzwiami. Stanął i długo patrzył w ślad za dziewczyną.

— Do pioruna — rzekł. — Co za piękność. Jeszcze czysta, niepokalana, a to drażni apetyt. Jeszcze mi się nigdy nie zdarzyło, bym jak dzisiaj, zakochał się od pierwszego spojrzenia. To będzie cudowna kwatery. Gdybym nie był już żonaty, to może bym się rzucił na kolana przed nią, była by moja. No, ale i tak będzie.

Emma cieszyła się ucieczką. Żądza z jaką spoczywały na niej oczy tego mężczyzny, przstraszyła ją i dlatego postanowiła za wszelką cenę unikać spotkania z nim.

W pokoju narzeczonego zastała Sternaua i Helmera. Stan chorego był zadowalający. Operacja udała się, a gorączka ustępowała szybko. Świadomość wracała, przynajmniej w tej chwili, gdy rozmawiał z lekarzem. Kiedy spostrzegł wchodzącą ukochaną, zarumienił się z radości.

— Chodź, Emmo — prosił. — Pomyśl sobie, pan doktor Sternau mówi, że zna moją ojczyznę.

Emma wiedziała o wszystkim, udała jednak, że jest to dla niej nowiną.

— O, to bardzo szczęśliwe spotkanie!

— I mojego brata także zna. Widział się z nim nawet przed odjazdem.

Nikt na razie nie miał odwagi mu powiedzieć, że brat jest w hacjendzie, a obecnie nawet stoi w jego pokoju, za firanką. Antonio nadal był bardzo osłabiony, prawie ciągle spał, chciano więc mu zaoszczędzić niepotrzebnych wzruszeń.

Sternau wstał, a Emma zajęła jego miejsce, chory chwycił jej rękę, uśmiechał się szczęśliwy i przymknął powieki.

— Czy już nie ma zagrożenia? — szepnęła Emma do Sternaua.

— Nie. Wracający spokój i zdrowy sen pokrzepi go bardzo szybko. Nam nie pozostaje nic innego jak wspomagać naturę w jej dziele, usuwając od niego wszelkie przeszkody. Ale pani też musi należycie odpocząć, gdyż wyzdrowienie jednej osoby, przyniesie chorobę u drugiej.

— O, ja jestem silna, senior. Proszę się nie martwić.

Sternau odszedł wzięwszy ze sobą Helmera. Poszli przyglądać się życiu obozowemu. Tam zastali Mariano, który przybył w podobnym celu.

Lansjerzy znosili drzewa na ogniska. Arbellez dał im wołu, z którego teraz przygotowywali.

Nadeszła pora wieczery. Oficerowie zebrali się w jadalni. Kapitan, gdy tylko wszedł, wzrokiem poszukiwał Emmy. Nie było jej. Stara poczciwa Hermoyes zajęła jej miejsce.

Arbellez poprzedzował gości. Meksykańscy oficerowie zachowywali się poprawnie, choć z dużą rezerwą wobec cudzoziemców. Tacy sławni *cavaleros*, jak oni nie potrzebowali przecież zabiegać o względy jakiegoś tam Niemca.

Verdoja przyglądał się tym trzem mężczyznom. Sternau, Helmer i Mariano, a więc to byli ci, których śmierć miała mu przynieść posiadłość ziemską, wartości miliona. Oko jego przesunęło się po postaciach Mariano i Helmera, i rychło utkwiono na obliczu Sternaua. Potężna jego postać zaimponowała mu. Ten człowiek był przecież wyższy i silniejszy od niego. Kapitan stwierdził, że swoje szczęście wobec tego wielkoluda może zawdzięczać tylko chytrności.

— To nie tylko radość, ale i miła niespodzianka, widzieć was tutaj, panowie — rzekł hacjendero. — Jeszcze wczoraj groziło nam wielkie niebezpieczeństwo.

Verdoja znał sprawę od Korteja, ale zrobił wielce zdziwioną minę.

— Niebezpieczeństwo? Jakie? — zapytał.

— Mielśmy być napadnięci przez całą zgraję rozbójników, około trzydziestu ich było!

— A, do pioruna! Zamierzali napaść na hacjendę, czy na ludzi?

— Właściwie to niektórych moich gości. Ale osoby te w moim domu są bezpieczne, więc zaplanowano napaść na hacjendę, zburzyć ją i wszystkich pozabijać.

— Do diabła! Można się dowiedzieć, o kogo chodzi?

— Tak, o panów: Sternaua, Helmera i Mariano.

— Dziwne! Jak obroniliście się przed łotrami?

— Senior Sternau powystrzelał ich wszystkich.

Kapitan spojrział zdziwiony na lekarza, a inni oficerowie uśmiechali się lekceważąco i niedowierzająco.

— Całą bandę? — zapytał Verdoja.

— Z wyjątkiem kilku.

— I to uczynił senior Sternau, sam jeden?

— Tak. Miał przy sobie towarzysza, który zabił może dwóch lub trzech.

— To brzmi wręcz nieprawdopodobnie! Trzydziestu ludzi miałyby się tak bez obrony dać powystrzelać jednemu mężczyźnie? Niemożliwe!

— Ale to prawda! — zawołał hacjendero z zapałem. — Niech pan posłucha.

Sternau rzucił poważne spojrzenie na Arbelleza i rzekł:

— Senior, proszę! To co się stało nie jest żadnym bohaterstwem.

— Jak to nie! Zabić trzydziestu łotrów? — rzekł kapitan. — Spodziewam się, że pan nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeżeli poprosimy o opowiedzenie całej tej interesującej przygody.

Sternau ruszył ramionami. Pedro Arbellez objął rolę sprawozdawcy i opowiadał tak żywo, że oficerowie słuchali z ogromnym zaciekawieniem.

— Trudno w to uwierzyć — zawołał kapitan. — Senior Sternau, winszuję panu takiego czynu.

— Dziękuję — odrzekł dosyć obojętnie.

— Takiej waleczności nie ma co się dziwić — zauważył Arbellez. — Słyszał, senior Verdoja, kiedyś o wodzu Mi steków, Bawolim Czołe?

— Tak. To król myśliwych polujących na bawoły.

— A zna pan może trapera, którego zwał Księciem Skał?

— Tak. Ma on być najsilniejszym i najśmielszym, jaki tylko istnieje.

— Senior Sternau jest tym myśliwym, a Bawole Czoło był jego towarzyszem w „rozpadlinie tygryziej”.

— Czy to prawda senior Sternau — zapytał Verdoja.

— Prawda. Ale lepiej by było, by mojej osoby nie wysuwano w ten sposób na pierwszy plan.

Verdoja był roztropnym kombinatorem. Był przekonany, że główną osobą tajemnicy jest Mariano, jeżeli więc ten „Księzę Skał” ujmuje się za nim, to tajemnica ta musi być bardzo cenna. Postanowił działać roztropnie, zapytał więc:

— A z czego to wynika, że właśnie na tych panów przygotowano zamach?

— Mogę to panu wyjaśnić — rzekł hacjendero. Nim jednak począł, Sternau rzekł:

— To sprawa prywatna i nie sądzę by mogła seniora Verdoję zaciekawić.

Arbellez przyjął tę zasłużoną naganę w milczeniu, rotmistrz jednak nie zadowolili się i pytał:

— Czy rozpadlina tygrysa jest daleko?

— Godzinę drogi stąd — odparł Sternau.

— Chciałbym oglądnąć to miejsce. Czy nie miałbyś pan ochoty towarzyszyć nam do niej, senior Sternau?

— Chętnie.

Na obliczu rotmistrza pojawił się wyraz zadowolenia, nad którym nie mógł zapanować. Sternau, przyzwyczajony zwracać uwagę na najmniejszą drobnostkę, spostrzegł to.

— Kiedy możemy się wybrać? — zapytał Verdoja.

— Kiedy tylko pan zechce.

I tak zakończyła się rozmowa na ten temat.

Po kolacji oficerowie udali się do swych pokoi. Jeden tylko porucznik, młody, bezwzględny rozpustnik, siedział przy oknie i przyglądał się oświetlonej ogniem strażniczym scenerii. Nagle spostrzegł białą sukienkę damską, która odbijała się na ciemnym tle kwietnika.

— Kobieta — pomyślał. — A gdzie są damy, tam i awanturki. Szuka się miłości. Zejdę na dół.

Meksykanin ma zwyczaj nawiązywać stosunki z każdą damą. I dlatego też nie miał porucznik Pardoero żadnych skrupułów w nawiązywaniu nowych znajomości. Żołnierze uszanowali ogród kwiatowy, nic wdarli się do niego i dlatego też, owa dama znajdowała się zupełnie sama.

Była to Karia, Indianka, siostra Bawolego Czoła.

Weszła do ogrodu by pomyśleć nad przeszłością. Wspomniała o Alfonso, którego kochała i dziwiła się, że takiemu człowiekowi oddała swe serce.

Teraz nienawidziła go całą siłą swojej indiańskiej duszy. Myślała o Niedźwiedzim Sercu, dzielnym wodzu Apaczów, który ją kochał i dziwiła się, jak to było możliwe być względem takiego wojownika obojętną i zimną. Teraz pokochała go. Jakże by była szczęśliwa, gdyby go znowu mogła zobaczyć.

Z tego zamyślenia zbudziły ją ciche kroki. Spostrzegła przed sobą porucznika. Chciała się oddalić, ale on zastąpił jej drogę i prosił z ukłonem salonowca:

— Nie zmykaj przede mną, seniorka. Byłoby mi bardzo żal, gdybym miał przeszkodzić jej w upajaniu się wonią tych pięknych kwiatów.

Spojrzała nań badawczym wzrokiem i zapytała:

— Czego tu szukasz, senior?

W blasku odległego ogniska ujrzał wysmukłą a jednak pełną postać o ciemnym obliczu z parą palących oczu i ustami, które niejako zapraszały do rozkoszy. Widział przed sobą, wedle jego zdania, jedną z tych rozkosznych, ognistych Indianek, które uważają się za zaszczycone, jeśli któryś biały się nimi zainteresuje.

— Nie szukam nikogo. Wieczór taki piękny, że wyszedłem do ogrodu. Czy wstęp do niego nie jest przypadkiem zabroniony?

— Przed gośćmi domu wszystko stoi otworem.

— Ale pewnie ci przeszkodziłam, piękna seniorita?

— Karii nikt nie może przeszkodzić. Miejsca w ogrodzie wystarczy dla nas obojga.

Był to wyraźny znak by się oddalić. Porucznik udawał jednak, że nie rozumie. Przystąpił do dziewczyny i rzekł:

— Pani nazywa się Karia. Jak dostałaś się na tą hacjendę?

— Seniorita Emma jest moją przyjaciółką.

— Kto to jest, seniorita Emma?

— Nie widziałeś pan jej jeszcze? To córka Pedro Arbelleza.

— Masz seniorita jeszcze jakiś krewnych? — zapytał jak zręczny uwodziciel, który musi wiedzieć, czy ma się obawiać zemsty krewnych.

— Bawole Czoło jest moim bratem.

— Aha — rzekł niemile dotknięty. — Bawole Czoło, wódz Misteków. Czy on jest w hacjendzie?

— Nie.

— Był przecież wczoraj z panem Sternaudem.

— To człowiek wolny. Przychodzi i znika kiedy mu się podoba, nie zawiadamiając o tym nikogo.

— Słyszałem o nim dużo wspaniałych rzeczy. Nie wiedziałem jednak o tym, że posiada taką piękną siostrę.

Chwycił Indiankę za rękę, by wycisnąć na niej pocałunek, ona jednak wyrwała ją.

— Dobranoc, senior — rzekła odwracając się.

Teraz miał ją przed sobą. Właśnie w tej chwili ogień zapłonął jaśniejszym płomieniem i ukazał czyste linie jej ciemnego oblicza i pełny, zachwycający biust. Porucznik przyspieszył kroku i usiłował objąć swoim ramieniem jej kibić.

— Nie uciekaj, seniorita, nie jestem przecież twym wrogiem. Odsunęła jego ramię, ale choć objęcie trwało krótko, poczuł ciepło i zauważył, że zwyczajem Indianek miała na sobie tylko jedną szatę, która obwiją ją ciało jak koszula.

Żądza obudziła się w nim. Schwycił ją silnie za rękę i rzekł:

— Nie wypuszczę cię, seniorita, bo cię kocham! Pozwoliła mu trzymać rękę, ale czuł, że ciepło z niej odeszło.

— Kocha mnie pan? — rzekła — Jak to możliwe? Nie znasz mnie pan przecież!

— Nie znam, sądzisz pani? Miłość przybywa jak błyskawica, jak gwiazda spadająca, która nagle błysnie. Tak i też zrodziła się we mnie, a kogo się kocha, tego się zna.

— O tak, miłość białych rodzi się jak błyskawica, jak piorun co niszczy wszystko. Miłość białych jest zniszczeniem i obłudą.

Wyrwała mu rękę i odwróciła się w stronę domu. On jednak ciągle usiłował przycisnąć ją do siebie.

— Czego chcesz pan? — zawołała tonem surowym.

— Czego chcę? — zapytał — Kochać cię, przytulać i ucałować! Przycisnął ją do siebie i schylił się, chcąc pocałować. Wywinęła się ruchem węża i rzekła:

— Puść mnie pan! Kto panu pozwolił tknąć mnie?

— Moja miłość.

Chwycił ją na nowo i przycisnął ją do siebie. Jego płomienny oddech palił jej oblicze. Usiłowała się wyrwać.

— Precz ode mnie, bo...

— No; bo? — zapytał. — Kocham cię. Muszę cię mieć. Musisz być moja za wszelką cenę.

Gdy myślał, że osiągnął cel, Karia uderzyła go ściśniętą pięścią tak silnie pod szczękę, że mu głowa odskoczyła.

— A do pioruna! Czekaj diablico. Odpłacisz mi za to!

Pospieszył za uciekającą kobietą.

Rotmistrz także siedział przy otwartym oknie i przypadkiem był świadkiem miłosnej awantury w ogrodzie.

— Do diabła, kto to taki? — zapytał sam siebie. — Czy to przypadkiem nie córka hacjendera? A co to za drab koło niej? No, teraz się nie dziwię, że była dla mnie taka niedostępna. Muszę poznać tego człowieka!

Wybiegł do ogrodu. Właśnie kiedy otworzył furtkę i chciał wejść do ogrodu, wpadła na niego biała postać i nawet go nie zauważyła.

— A, seniorita! — rzekł.

Dopiero teraz go spostrzegła i zatrzymała się. Chwycił ją i chciał przygarnąć do siebie. Lecz ona, jak przedtem porucznikowi, tak i jemu wymierzyła cios.

— Do biesa! Co to za kotka?

W tej chwili przebiegł porucznik.

— Poruczniku Pardero! To pan? Dokąd się tak pan spieszy?

— A, kapitan! — rzekł zatrzymując się — Czy spotkała pana ta mała, biała, diablica?

— Pewnie. Nie tylko ją widziałem, ale także poczułem.

— Widocznie wpadł pan na nią?

— Tak jest, to znaczy jej pięść zetknęła się z moją szczęką.

— O przekleństwo! To pan ją widocznie także chciałeś pocałować?

— Możliwe! A pan także! Jak smakował całusa?

— Diabelnie słony. Miałem raczej cios niż całusa.

— To mnie pociesza! Ale Pardero, złymi chodzi pan ścieżkami. Czyż tak się odwzięczasz za gościnność?

— Ba, a kto pana pędził do ogrodu?

— Piękny wieczór.

— Powiedzmy. Założę się, że panu zdarzyło się to samo co mnie: patrzył pan przez okno, potem biała sukienka niewieścia, żądza całusa czy czegoś podobnego... schodzi pan do ogrodu i wreszcie, wynik taki sam jak u mnie — śmiał się porucznik.

Rotmistrz był jego przełożonym, ale w Meksyku stosunki służbowe bywają mniej rygorystyczne, a z resztą obaj byli przyjaciółmi i często pomagali sobie w małych i wielkich awanturach. Stąd też ten swobodny ton.

— Kim była ta mała? — zapytał Verdoja.
— Nazywa się Karia, Indianka, nadzwyczaj piękna. Dla tej dziewczyny można by nawet... Zapaliłem się jak ogień. Ona zaś... ale spodziewam się, że stopnieją te lody.
— Co ona robi w hacjendzie?
— Zdaje się jest towarzyszką córki pana domu.
— Ta dziewczyna jest jeszcze piękniejsza niż Karia.
— Ale może przystępniejsza?
— Nie powiedziałbym tego, tu panują zasady klasztorne, ale mam pomysł. Pan chce mieć tę małą Indiankę? Dobrze! Ale pomożesz mi w oblężeniu tej fortecy, Emmy.
— Zgoda! Oto moja ręka!
— Naprzód trzeba się dowiedzieć, czy serca tych dam są wolne, bo chyba nie.
— Może wyprzedził nas ten Sternau. To przystojny mężczyzna, który z pewnością jest w stanie zawrócić w główkach setce dziewcząt.
— Nie sędzę, podejrzewam raczej tego Mariano. Czy nie spostrzegł pan tego, jak hacjendero bardzo dyskretnie go wyróżnia? Zdaje się, że jest najważniejszy między tymi trzema obcymi.
— Nie obserwowałem ich tak dokładnie. Pozwoli pan, że pójde spać. Ta dziewczyna ma pięść, jak indiański atleta. Nie można się tego spodziewać po jej małych rączkach. Kark mnie boli. Niech diabeł porwie miłość, która okazuje swoją czułość pięścią.
— Niech się pan wyśpi, poruczniku. Jutro odnowimy zaloty i jestem dobrej myśli. Dobranoc!
— Dobranoc, senior Verdoja.

Pardero odszedł, rotmistrz jeszcze długo bawił w ogrodzie, potem udał się w południowy kąt ogrodu, na miejsce gdzie umówił się z włóczęgami Korteja.

— Senior — szepnął herszt, kiedy Verdoja chciał przejść obok
— A, to ty? Gdzie twoi towarzysze?
— W pobliżu. Nikt ich nie zobaczy. Co pan rozkaże?
— Znasz Sternaua osobiście?
— Nie, żaden z nas.
— To źle. On jutro wyjeżdża ze mną, będziecie na niego oczekiwać i zastrzelicie go.
— Zgoda, uczynimy to. On pozabijał naszych kamratów. Musi również zginąć.
— Wy go nie znacie, a ja nie wiem jeszcze kto nam będzie towarzyszył. Nie możemy jechać sami, wezmę może kilku z moich ludzi, a może pojedą jeszcze inni. Jaki mam dać znak, byście go poznali.
— Opisz mi go pan.
— Jest wyższy i silniej zbudowany niż ja, nosi jasną brodę. Jakie ubranie będzie miał i na jakim koniu jechał, nie wiem.
— Mam propozycję. Proszę, o ile możliwości, zawsze jechać po jego prawym boku.
— Dobrze.
— A co będzie z dwoma pozostałymi?
— To przy innej okazji. Codziennie o północy masz być w tym miejscu, a teraz rozejdźmy się. Mogliby nas zauważyć.

Poszedł i położył się spać. Sen miał spokojny. Nie ciążyło mu planowane morderstwo...

Na drugi dzień, przy śniadaniu wspominał o umówionej wycieczce do rozpadliny tygrysa. Uważał, że byłoby dobrze, uczynić to rankiem i Sternau zgodził się. Towarzyszyli im dwaj porucznicy.

Dla Verdoji sytuacja układała się wspaniale. Sternau był jedynym cywilem, tak więc nie mogła zajść żadna pomyłka. Kula musiała trafić tylko jego.

Jechali tą samą drogą, którą Sternau odbył z Bawolim Czołem. W lesie zsiadli z koni, i pieszo zbliżyli się do rozpadliny. Kiedy doszli do wejścia, Sternau stanął.

Zostawmy konie tutaj, niechaj pasą się do naszego powrotu.

Sternau nie miał innej broni przy sobie oprócz swojego sztucera i krótkiego noża, który tkwił za pasem. Kiedy doszli do samego wejścia jaru, stanął i przyglądał się trawie.

— Czego pan szuka? — zapytał rotmistrz.

— Hm, chodźmy dalej.

Nie rzekł nic więcej, ale oko jego wciąż tkwiło na ziemi, a Verdoja trzymał się obok niego. Spojrzeniami badał obie ściany i brzegi jaru, w każdej chwili mógł paść śmiercionośny strzał. Były to minuty niemiłego oczekiwania. Na dnie doliny leżeli martwi, nikt do tej pory ich nie pochował. Gdzieniedzie czuć było zgniliznę.

— A więc, to zdarzyło się tutaj? — zapytał rotmistrz.

— Tak — odparł Sternau.

— I te wszystkie zwłoki są pańskim dziełem?

— Nie liczy się takich rzeczy. Zauważył pan, że wszyscy postrzeleni są w głowę?

— W istocie.

Oglądali zwłoki i wiedzieli, że każdy z zabitych miał ranę w tym samym miejscu czoła. W czasie tego nie zauważyli, że Sternau zginał się częściej niż było potrzeba i że szukał w ten sposób starannego ukrycia za ich ciałami. Nie zmiarkowali również jak jego spojrzenia kierowały się to na prawo to na lewo.

— A to dużo znaczy — rzekł rotmistrz. — Jesteś pan naprawdę znakomitym strzelcem. Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby jeden mężczyzna zabił w przeciągu dwóch minut około trzydziestu wrogów.

Sternau wzruszył lekceważąco ramionami.

— A tak, taki sztucer to straszliwa broń. — rzekł. — Ale także nie lada rzecz użyć takiej broni w stosownym wypadku. Trzydziestu wrogów, których się widzi łatwiej zabić niż jednego niewidzialnego.

— Tak, zdaje się, że wtedy nie można zabić ani jednego — zauważył porucznik Pardero.

— Dobry strzelec zabije nawet takiego — uśmiechnął się Sternau, trzymając się ciągle przy innych.

— To niemożliwe — rzekł rotmistrz.

— Czy mam to panu udowodnić?

— Uczyni pan to — rzekł zaciekawiony porucznik.

— Pytam więc pana, czy sądzisz, iż tutaj znajduje się bodaj jeden nieprzyjaciel?

— Któżby to mógł być i gdzieby się ukrył?

Sternau zaśmiał się hardo i rzekł:

— Czatuje na mnie, by mnie zastrzelić.

Już dawno zdjął swój sztucer i trzymał go pod pachą. Rotmistrz zląkł się. Skąd Sternau wiedział, iż coś zagrażało jego życiu?

— Żartujesz, pan chyba — rzekł jeden z oficerów.

— Udowodnię panu, że nie.

Z tymi słowami podniósł sztucer, wymierzył i wypalił. Okropny krzyk rozległ się na krawędzi jaru. Sternau pobiegł w tym kierunku i zniknął za krzewami. Od jego wystrzału aż do tej chwili nie minęła nawet minuta.

— Co to było? — zawołał Pardero.

— Zabił człowieka — zawołał drugi oficer.

— Straszliwy człowiek! — wyrzekł rotmistrz.

Inaczej nie mógł powiedzieć.

— Jesteśmy w niebezpieczeństwie, uciekajmy! — rzekł Pardero.

Uciekli do wyjścia i czekali. Po chwili zabrzmiały na górze jeszcze dwa strzały, potem nastąpiła cisza. Tak minęło może kwadrans, nagle zaszleściło coś koło nich, przestraszeni spojrzeli w bok i chwycili za broń.

— Nie bójcie się panowie, to ja.

Przed nimi stał Sternau.

— Ale senior, co to było? Co uczyniłeś? — zapytał porucznik.

— Strzelałem — odparł.

— To wiemy, ale dlaczego?

— W obronie własnej, bo chciano mnie zastrzelić. Oczy moje powiedziały mi to.

— A my nic nie spostrzeżliśmy.

— No, to nie dziwne, nie jesteście ludźmi prerii. Pan rotmistrz zauważył, jak oglądałem trawę. Widziałem ślady ludzi, którzy tu byli przed kwadranssem. Szły one w górę, na prawo. Proszę popatrzeć, można je jeszcze zobaczyć.

Wskazał na ziemię, oficerowie nie widzieli nic mimo usilnych starań..

— Na to trzeba mieć wprawne oko — zaśmiał się Sternau. — Wkrótce spostrzegłem głowy męskie, śledzące nas gdy odpoczywaliśmy. Było to pięciu lub sześciu ludzi. Ale nie przyglądałem się im dokładnie.

— Pan rotmistrz zdaje się będzie coś wiedział, bo u niego Kortejo nocował; to przecież jego ludzie — rzekł nieświadomie porucznik.

Rotmistrz spojrział nań wściekle, ale ten nic nie zauważył. Sternau tylko podchwycił to, jednak nie dał po sobie nic poznać i rzekł spokojnie:

— Nie sądzę bym mógł od seniora Verdoji otrzymać jakiegokolwiek wyjaśnienie. Zresztą sprawa już skończona. Odebrali swoją nagrodę i niech gniją tam, gdzie ich towarzysze.

Trącił zwłoki, tak że po stromej ścianie spadły na dno jaru. Teraz wszyscy czterej wrócili do koni. Pasły się spokojnie. Podczas powrotu Sternau nie przemówił ani razu. Rotmistrz także był milczący, tylko obaj porucznicy rozmawiali półgłosem, a przedmiotem ich rozmowy był Sternau. Jego odwagę, przytomność umysłu i zwinność omawiano z podziwem. W hacjendzie już w godzinę po ich powrocie wszyscy wiedzieli o przygodzie, jaką przeżyli.

Mieszkańcy hacjendy przyjęli tę wiadomość rozmaicie. Kiedy jedni chwalili zachowanie Sternaua, drudzy z ulgą twierdzili, że teraz nareszcie będzie się można czuć w hacjendzie bezpieczniej, a trzeci żałowali, że tylko dwóch zostało zabitych, a nie wszyscy.

Sternau trzymał się od wszystkich z daleka, gdyż wiedział, że cały czas jest pilnie obserwowany przez kapitana. Podczas obiadu uczynił parę ogólnych uwag co do tej sprawy. Kiedy jednak po obiedzie wyjechał Verdoja na przechadzkę, zaprosił hacjendera i przyjaciół do siebie, by podzielić się z nimi swoimi podejrzeniami.

Myślano z początku, że się myli, kiedy jednak usłyszano o jawnych dowodach zbrodni rotmistrza, postanowiono śledzić pilnie jego każdy krok.

Minął wieczór. Karia nie schodziła do ogrodu. Kiedy rotmistrz pożegnał się wieczorem, Sternau także udawał, że idzie spać, jednak na schodach zawrócił i wszedł do pokoju, który miał bezpośrednie wyjście na zewnątrz.

Jeśli rotmistrz był w związku z mordercami, to było jasne, że w nocy musi się z tymi ludźmi porozumiewać. Dlatego Sternau postanowił czatować. Tylne drzwi były zamknięte, wyjść z domu można było tylko frontowymi drzwiami i Sternau musiał go zobaczyć skoro by tylko wyszedł.

Uchylił jedno skrzydło okna, by lepiej wszystko słyszeć i usiadł a krześle. Przychodziła mu często na myśl ojczyzna i jego piękna, wspaniała żona, ale on te obrazy odsunął, by całą swoją uwagę skupić na jednej rzeczy. Siedział tak dopóki nie nadeszła północ.

Wydało mu się, że usłyszał szelest dochodzący z zewnątrz. Nadśluchiwał pilnie i usłyszał, jak otwarto frontowe drzwi. Wyglądął przez okno i zobaczył rotmistrza, który ostrożnie wymknął się z domu w stronę bramy, która nie była zamknięta; stacjonujący żołnierze dawali poczucie bezpieczeństwa. Poza tym musiała być otwarta, by oficerowie mogli zmieniać warty nawet wieczorem i nocą.

Rotmistrz wyszedł, a Sternau za nim. Przy ogrodzeniu zatrzymał się. Zobaczył rotmistrza idącego od ogniska do ogniska i sprawdzającego strażę. Kiedy poszedł dalej, Sternau ruszył za

nim. Popatrzawszy mimo woli na budynek mieszkalny, spostrzegł Sternau, że po płaskim dachu spacerowała jakaś postać. Nie mógł zobaczyć twarzy, ale wiedział, że to Emma, której dziś ostro kazał zażywać świeżego powietrza. W ciągu dnia nie chciała się spotkać z wojskowymi i dlatego też wybrała sobie tę porę na przechadzkę, a na dodatek ukochany właśnie spał.

Rotmistrz przeszedł cały obóz i miał właściwie wracać, jednak udał się w południową stronę domu.

Czego tam chciał? Dlaczego stąpał cicho, jak ktoś, kto ma nieczne zamiary? Sternau szedł za nim w bezpiecznej odległości i tak przybył na miejsce, gdzie dwaj osobnicy rozmawiali ze sobą.

Słyszał obcy głos:

— Pan sam stał na drodze strzału. Mogliśmy pana trafić.

— Dlaczego nie ustawiliście się po lewej stronie?

— Na jedno by wyszło. Kto mógł przypuszczać, że to taki niezwykle człowiek.

— Ma się wrażenie, że jest wszystkowiedzącym. Na razie nie mogę podać nowego planu, muszę poczekać i wszystko na nowo zaplanować. Do tego pewne jest, że ten Sternau będzie mnie śledził, dlatego nie możemy się tutaj więcej spotykać.

— A gdzie?

— Masz papier i ołówek?

— Nie.

— Ale czytać i pisać umiesz?

— Tak

— Tu masz parę kartek papieru i ołówek. Gdy idzie się stąd do jaru tygrysa i tuż pod lasem, przy pierwszych drzewach leży niewielki kamień. Tam przed południem albo kiedy tam wypadnie, zostawię dla ciebie instrukcję. Wszelkiej odpowiedzi oczekuję na tym samym miejscu. Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem. Nie trzeba do tego specjalnego wykształcenia. Ale powiedz, senior, co to za postać, która tam, na dachu bez ustanku spaceruje?

— Gdzie?

— No, tam.

— Nawet jej nie spostrzegłem. A, to Emma, córka hacjendera. Idę jej potowarzyszyć. Masz może jeszcze jakieś pytanie?

— Nie.

— To dobrze, ale pamiętaj, jeżeli mi się jeszcze raz tak się spisiecie, jak dzisiaj rano, to nie chcę mieć z wami więcej do czynienia. Nie potrzebuję cielejących głów. Dobranoc!

Kiedy Sternau usłyszał ostatnie słowa, podskoczył pospiesznie do swojej strażnicy. Dowiedział się dosyć, a więc przecucie go nie zawiodło, rotmistrz był jego śmiertelnym wrogiem. Dostał od Korteja zlecenie i starał się wszelkimi siłami wykonać go.

Szczęście, że Sternau dowiedział się o schowku na korespondencję, łatwo mógł pokrzyżować machinacje wrogów. Ale czego rotmistrz szukał na dachu? Czy była to tylko lekkomyślna uwaga, czy może naprawdę miał chęć spotkać się z Emmą? Musiał poczekać na to, co nastąpi.

Sternau zobaczył swojego przeciwnika wracającego główną bramą. Słyszał, jak się dostał do sieni, a potem wspinał po schodach. Po kilku minutach też otworzył drzwi swojego pokoju i poszedł za oficerem. Gdy dotarł na dach, wsadził ostrożnie głowę w otwór i zobaczył Emmę oraz rotmistrza stojących w pobliżu.

— Chcesz naprawdę uciec przede mną, seniorita?

— Muszę odejść — rzekła Emma odwróciwszy się do drzwi.

Sternau spostrzegł, że rotmistrz chwycił ją za rękę i trzymał mocno.

— Nie, zostaniesz seniorita — odpowiedział oficer. — Zostaniesz i wysłuchasz tego, co mam ci do powiedzenia o mojej nieskończonej miłości i o moim palącym pragnieniu, by przycisnąć cię do serca. Chodź Emmo, nie wzbraniaj się, gdyż to i tak daremne!

— Proszę pana bardzo, puść mnie, chcę odejść — prosiła tonem pełnym trwogi.

— Nie, nie puszcze pani. Muszę całować twe usta, muszę twe bijące serce poczuć przy moim, chcę być z tobą spleciony ramionami, usta na ustach!

Usiłował przycisnąć ją do siebie, broniła się na próżno, aż w końcu zawołała:

— Mój Boże, czy mam zawołać o pomoc?

Szybkim krokiem stanął Sternau przy niej.

— Nie trzeba, seniorko. Pomoc nadeszła sama. Jeżeli senior Verdoja nie wypuści w tej chwili twej ręki, to zleci z dachu na podwórze!

— A, senior Sternau! — jęknęła z widoczną ulgą — Proszę mi pomóc!

— Sternau! — zgrzytnął rotmistrz.

— Tak, to ja. Puść pan tę damę!

Dopiero teraz objął ją oficer swoim ramieniem i zapytał:

— Czego pan tutaj szuka? Co mi masz do rozkazywania? Zabieraj się stąd, bezczelny!

Ledwie wymówił to słowo, świsnęła w powietrzu pięść Sternaua, straszne uderzenie spadło na jego głowę i rotmistrz padł na ziemię. Wtedy Niemiec zwrócił się do dziewczyny, której upadający oficer o mało nie pociągnął za sobą:

— Chodź seniorita, odprowadzę cię na dół!

— O mój Boże — skarżyła się, drżąc na całym ciele. — Nic takiego nie uczyniłam, co by mogło ośmielić tego człowieka!

— Wiem o tym, ten rodzaj ludzi ma śmiałość do wszystkiego co złe, tylko nie do dobrego.

— Ci lansjerzy nie zostawiają mnie w spokoju nawet na platformie domu, nawet tu nie mogę być u siebie.

— Nie, seniorita. Potrzebujesz świeżego powietrza i swobody, i dlatego nie można pani zabronić od tych wieczornych przechadzek. Postaram się by w przyszłości nikt pani nie przeszkadzał.

— Ale pan sobie przez to znajdziesz nowych wrogów!

— Nie obawiam się ich! — odrzekł bagatelizującym tonem.

— Powalił go pan na ziemię. Nie będzie z tego jakiejś kłótni?

— Może. Ale proszę się nie troszczyć o mnie. Otwarte wyzwanie nie jest takie groźne, jak zdradliwy napad, na który nie jest się przygotowanym. Zostawmy go leżącego, a pani niech raczej zapomni o tej obrazie. Proszę spać spokojnie, on nie jest godny, by z jego powodu mieć dodatkowe troski.

Towarzyszył jej aż do schodów przed drzwiami komnaty chorego, do którego się obecnie udała. Potem wrócił do siebie i lekko przytknął drzwi. Czekał nadsłuchując. Po dłuższym czasie dopiero usłyszał kapitana schodzącego lekkimi krokami z dachu i przesuwanego się korytarzem. Dopiero teraz udał się Sternau na spoczynek.

Emma czuła się obelgą tak dotkniętą i rozdrażnioną, a do tego także wystraszoną, że leżąc w hamaku przy łóżku chorego nie mogła usnąć. Kapitan Verdoja mógł w każdej chwili powtórzyć swój napad. Lansjerzy chcieli jeszcze jakiś czas przebyć w hacjendzie. A czy znajdzie się znowu taki dzielny obrońca? Na swojego ojca nie mogła przecie liczyć. On po pierwsze nie urodził się bohaterem, a po wtóre musiał uważać na żołnierzy, którzy byli jego gośćmi. Wiedziała również, iż rola obrońcy w tych okolicznościach była połączona z ogromnymi niebezpieczeństwami. Sternau z pewnością odpokutuje za swój wyczyn. Co znaczyło dwóch albo trzech mężczyzn w stosunku do licznej drużyny niecywilizowanych lansjerów, z których prawie każdy był już w kolizji z prawem!

Wśród takich myśli i obaw minęła jej noc. Chory spał snem mocnym, zdrowym, nie ruszył się ani razu. Spał nawet wtedy, kiedy rankiem przyszła piękna Karia, chcąc wedle swojego zwyczaju zastąpić Emmę w domowych obowiązkach.

— Miał spokojną noc? — zapytała.

— Tak, spał cały czas. Można się więc spodziewać, że szybko wyzdrowieje. Senior Sternau powiedział, że trepanacja sama nie jest niebezpieczna, ale należy się obawiać gorączki i innych podobnych następstw. Już podaliśmy zioła, a gorączki prawie nie ma. Bóg da, że rychło wyjdzie z choroby.

— To jest moim najgorętszym życzeniem — rzekła Karia. — A więc o seniora Helmera nie trzeba już tak bardzo się troszczyć. Ale o ciebie mi chodzi. Jesteś bardzo blada i znużona. Nocne czuwania wyniszczają cię.

— Nie moja kochana. Jeżeli czuję się zmęczona, to nie z czuwania, tylko z innego powodu.

Opowiedziała jej całą przygodę na dachu. Karia słuchała ze współczuciem, a potem opowiedziała jej o swoim spotkaniu z innym oficerem, w ogrodzie. Obie rozmawiały, kiedy wszedł Sternau. Chciał zobaczyć pacjenta i mimo woli usłyszał ostatnie słowa ich rozmowy. Kiedy go zobaczyły, było już za późno by milczeć. Usprawiedliwił się i zapytał Indiankę:

— Pani też miała podobnie niemiłą przygodę, jak seniorita Emma? Z czyjej strony?

Opowiedziała mu całą rzecz.

— Draby!

Rzekł tylko jedno to słowo i zwrócił się w stronę śpiącego. Patrzył nań uważnie, licząc jego spokojny oddech. Był zadowolony. Oblicze rozjaśniło się i rzekł:

— Zostawmy go, niech śpi. Sen i spokój są najlepszym lekarstwem.

Wyszedł na poranną przechadzkę, daleko aż na pastwiska, gdzie dosiadł konia i galopował na nim aż do sawanny. Potem wrócił. Przy bramie spotkał porucznika Pardero.

— A, senior Sternau! — rzekł niezbyt grzecznym tonem — Właśnie pana szukałem.

— Co się stało? — zapytał Sternau krótko.

— Muszę z panem pomówić.

— Musi pan? — zauważył zdziwiony. — Czy nie znaczy to może, iż ja muszę pana wysłuchać?

— Naturalnie — brzmiała szydercza odpowiedź.

— No tak, wykształcony człowiek nie odmawia nikomu posłuchania, naturalnie, jeżeli należna grzeczność będzie zachowana. Pod bramą nie udzielam żadnych audiencji. Jeżeli chce pan ze mną mówić, proszę do mnie, do domu.

Porucznik zarumienił się, cofnął o krok, a Sternau rzekł:

— Rozumiem audiencję w szerszym zakresie, gdzie ma się odbyć rozmowa między wyżej i niżej postawioną osobą. Przyzna pan, że nasza pozycja nie jest taka sama. Gotów jestem jednak wysłuchać pana.

Chciał odejść, ale porucznik schwycił go za ramię i zapytał z groźną miną:

— Sądzi pan może, iż stoję moralnie niżej od pana?

— Nie sądzę, tylko mówię to, o czym jestem przekonany. Weź pan zresztą swoją rękę z mojego ramienia, nie lubię takich dotyków.

Zdjął rękę Meksykanina i odszedł. Porucznik patrzył za nim i mruczał ze złością:

— Czekał odpokutujesz za to. Ci Niemcy to jak muły. Niosą cierpliwie bez zapału i bez poczucia swojego ja” największe ciężary. Niech jednak jednemu wpadnie coś do głowy, staje się zaraz nie do zniesienia i czyni wszystko na przekór. Trzeba bata. Tego samego eksperymentu użyję tutaj. Zobaczmy czy ten Sternau będzie nadal taki dumny, skoro się dowie, o co chodzi.

Czekał chwilkę, potem udał się do mieszkania Sternaua.

— Widzisz senior, iż przychodzę — rzekł z ironicznym uśmiechem.

Sternau przytaknął.

— Na audiencję — dodał jeszcze.

Sternau jeszcze raz przytaknął, nie wyrzekł ani słowa.

— Dlatego spodziewam się, że mnie pan wysłucha — dodał Pardero groźnie.

— Oczywiście, jeżeli godnie się pan zachowa. Porucznik wybuchnął:

— Czy widziałeś mnie bym się niegodnie zachowywał?

— Przystąpmy do rzeczy, senior Pardero! — rzekł Sternau lodowato.

— Dobrze, tymczasem porzućmy ten temat. Ale ja nie jestem przyzwyczajony rozmawiać na stojąco.

Sternau udał, jakoby nie wiedział o niczym i odpowiedział z uśmiechem sarkastycznym:

— No cóż, jeżeli to panu nie odpowiada, to muszę obecne spotkanie uważać za zakończone.

Jeśli miał ochotę słowami tymi obrazić gościa, to udało mu się to w całej rozciągłości. Oblicze Pardera zapaliło się gniewem, a głos drżał.

— Senior, nie czuję się w obowiązku uważać pana nadal za zacnego człowieka.

— Zdanie pańskie jest mi zupełnie obojętne — uśmiechał się Sternau. — Ale proszę do rzeczy. Nie jestem w stanie zatrzymać się dłużej dla czezej gadaniny.

Pardero chciał wybuchnąć, kiedy jednak spostrzegł, że Sternau sięgnął po kapelusz, chcąc odejść, przewyciężył się i rzekł możliwie spokojnie:

— Przybywam z polecenia mojego przełożonego, kapitana Verdoji.

Kiedy Sternau nic nie odrzekł, ciągnął dalej:

— Przyznaje pan, że go obraziłeś?

Sternau wzruszył ramionami i rzekł:

— Pan zdaje sienie ma zwyczaju dobierać wyrażień. Przyznać się może zbrodniarz wobec sędziego, ja zaś nie jestem ani jednym ani drugim. O przyznaniu się nie ma więc mowy. Zresztą nie obraziłem tego człowieka, tylko go powaliłem. Czy to wedle pańskiego zdania jest obraza w stopniu wyższym czy najwyższym?

— Jest — zawołał porucznik. — Kapitan pragnie i żąda zadośćuczynienia.

— Zadośćuczynienia! I żąda tego przez pana?

— Jak pan słyszy.

— Hm, znane panu są reguły pojedynku, senior Pardero?

— Wątpi pan w to?

— Tak.

— Do diabła!

— Proszę, nie jestem przyzwyczajony słuchać w mojej izbie takich wyrazów. Wątpię zaś w pańską znajomość ustaw pojedynkowych, ponieważ jesteś pan posłańcem w sprawie, która niewiele czci panu przynosi. Czy znany jest panu powód uderzenia, jaki otrzymał ode mnie kapitan Verdoja?

— Całkiem — odparł zapytany głosem drżącym od złości.

— Gardzę więc panem! Powaliłem kapitana, bo ubliżył damie, która na dodatek jest córką naszego gospodarza. Kto udaje się jako pośrednik w takim wypadku, tego uważam za moralne zero!

Porucznik chwycił za pałasz, wyjął go do połowy i zawołał:

— Co pan mówisz? Ja pana...

— Nie, ja pana — rzekł Sternau spokojnie, ale był to spokój przed burzą.

W oczach jego błyszczały pierwsze błyskawice. To mogło przerazić nawet takiego śmiałka, jakim był Pardero. Sternau mówił dalej:

— Weź pan rękę z szabli, bo ją rozłamię w pańskich oczach! Nie bardzo mnie zresztą dziwi, że przyjąłeś pan poselstwo od kapitana, gdyż jesteś takim samym drabem, jak on! Pan...

— Stój! — krzyknął wściekle Pardero — Powiedz pan jeszcze jedno takie słowo, a przebiję pana! Odwoła pan zaraz tego „draba”?

Wyciągnął szablę i przygotował ją do ciosu. Sternau postawił się przed nim jowialnie, założył ręce na potężną pierś i rzekł:

— Dobrze, jeżeli sobie pan tego życzy, to odwołuję słowo „drab”. To prawda, nie jesteś pan drabem, tylko podwójnym drabem, wręcz nędznikiem!

Wrażenie tych słów było ogromne. Porucznik stał osłupiały. Nie mógł pojąć swego przeciwnika. Potem jednak wykrzyknął chrapliwym głosem i chciał zadać cios. Ale w tej chwili znalazła się ostra, spiczasta broń w ręce lekarza. Meksykanin nie wiedział nawet, w jaki sposób mu ją wyrwano. Sternau zgiął ostrze dwa razy i rzucił kawałki pod nogi oficera.

— Ma pan tu swój kozik do krajania jabłek! — zawołał śmiejąc się. — Obraził pan senioritę Karię tak samo, jak pański kapitan Emmę. Jeden drab wart drugiego. Jeżeli mi natychmiast nie wyniesie się pan, wyrzucę go przez okno!

Wyciągnął swoją rękę w stronę przeciwnika. Ten prześliznął się zręcznie przez nią i podskoczył do drzwi. Tam obrócił się jeszcze raz i rzekł zaciskając pięści:

— Odpowie mi pan za to i to bardzo rychło! Będzie pan bił się z dwoma zamiast z jednym i jeden z nas zabije pana, na pewno!

Wyszedł. Sternau zapalił spokojnie cygaro i czekał obojętnie na to, co nastąpi. Nie trwało to długo. Po kwadransie zapukano do jego drzwi i wszedł drugi porucznik. Skłonił się uprzejmie i grzecznie rzekł:

— Przebacz senior, możesz mi poświęcić z pięć minut?

— Chętnie, senior. Proszę siadać, może cygaro?

Oficer był zdziwiony tą uprzejmością. Porucznik Pardo opowiedział mu o zachowaniu Sternaua, tymczasem spotkał się zupełnie z czymś innym. Zapalił cygaro i usiadł naprzeciw Sternaua.

— Szczerze mówiąc, przychodzę do pana w sprawie niekoniecznie przyjacielskiej. Przychodzę z polecenia panów Verdoji i Parda, którzy czują się przez pana znieważeni.

Sternau przytaknął.

— Użyłeś pan trafnego wyrazu. Oni sądzą, że ich obraziłem; a to oni obrazili dwie damy i za ten uczynek spotkała ich należna kara. Przychodzi pan z wezwaniem na pojedynek?

— Tak doktorze, od obu.

— Żal mi pana, gdyż jesteś zastępcą ludzi, których nie mogę cenić. Zresztą nie muszę przyjmować wyzwania. Ale nie chcę pana smucić i wiedząc w jakim kraju się znajduję, przyjmuję wyzwanie. Czy obaj ci panowie zgodzili się już na przeprowadzenie tej rzeczy?

— Hm, kapitan chce bić się na szablę, porucznik na pistolety.

— Przypuszczam. Porucznikowi złamałem szablę, więc wie, że umiem obchodzić się z tą bronią i dlatego wybiera pistolety. Życzeniom ich pragnę odpowiedzieć, ale pod dwoma warunkami: biję się na szablę z kapitanem, dopóki który z nas nie będzie ranny.

— Na to mogę się zgodzić.

— A z porucznikiem strzelam się przez barierę na dwie nabite lufy. Bariera na trzy kroki, każdy z nas ma dwie kule.

— Mój Boże, senior, to śmierć niechybna! Skoro ujdiesz cało kapitanowi, nie ustrzeżesz się przed porucznikiem, gdyż to najlepszy strzelec, jakiego znam.

— Może są lepsi od niego. Słyszał pan już o sławnych strzelcach, myśliwych i ludziach prerii?

— O, bardzo często.

— Znasz pan imiona niektórych?

— Pewnie. Słyszałem o Sansearze, o Firehandzie, Winnetou, o sławnym Księżu Skał i o...

— Czeka pan! Sądzi pan, iż ten Książę Skał umie się obchodzić z pistoletem?

— Lepiej jak każdy inny.

— Ja jestem Księżem Skał, więc nie sądz pan, że obawiam się porucznika. Nawet mogę panu podać wynik tego podwójnego pojedynku.

Porucznik popatrzył nań zdziwiony.

— Że pan jest właśnie Księciem Skał wiem już o tym, również mi wiadomo, że znakomicie pan strzela. Ale jesteś tylko człowiekiem i zaszkodzić może panu nawet drobnostka.

— Nie sądzę, resztę będzie pan łaskaw omówić z Mariano, który będzie moim sekundantem.

— A bezstronni świadkowie?

— Tych nie potrzebujemy, sam jestem lekarzem, moich przeciwników nie dotknę jednak.

— Przemyśl to senior, ty też możesz być ranny! — rzekł porucznik.

— Żaden z tych ludzi nie jest w stanie mnie zranić!

Oficer wyszedł, a Sternau poszukał Mariano, by mu opowiedzieć o przebiegu sytuacji. Młodzieniec z chęcią przyjął funkcję sekundanta i poszedł odszukać swych odpowiedników. Niedługo powrócił oznajmiając, że warunki Sternaua zostały przyjęte. Lekarz miał prawo przynieść swoje pistolety, a ponieważ był ich pewny, więc o wynik pojedynku się nie martwił.

Od tej chwili nie odchodził od okna. Wiedział dobrze, co może nastąpić i dlatego uważał na drzwi. W południe kapitan dosiadł rumaka i wyjechał. Sternau domyślał się, że jedzie włożyć list i wybrał się za nim krótszą drogą, aby na miejscu być przed rotmistrzem.

Musiał jednak być bardzo ostrożnym, gdyż w pobliżu mogli się znajdować pomocnicy Verdoji.

W pobliżu kamienia położył się na ziemię i czołgał ostrożnie. Sprawdził, że w pobliżu nikogo nie ma, więc wyszukał sobie bezpieczne schronienie.

Dziesięć kroków od kamienia rósł wysoki cedr, którego konary łatwo można było dosięgnąć. Wylazł na drzewo i skrył się w gęstwinie.

Zaledwie to uczynił, zabrzmiał tętent kopyt. Jeździec zeskoczył z siodła i przystąpił szybko do kamienia. Podniósł go do połowy, włożył pod niego kartę i ułożył kamień w pierwotnym miejscu, wrócił do konia i odjechał.

W tej chwili Sternau zszedł z drzewa, wyjął kartkę, rozwinął ją i przeczytał:

Dzisiaj punktualnie o dwunastej równo przy ladrillos. Konieczna jest wasza pomoc. Jutro osiągniemy cel.

Podpisu nie było. Verdoja uważał to za zbyt cenną, a nawet niebezpieczną rzecz Sternau złożył kartkę i wetknął ją pod kamień. Zatarł ślady i powrócił do hacjendy.

Kiedy dotarł na miejsce, kapitana jeszcze nie było.

Ladrillos po hiszpańsku znaczy tyle, co cegły. Pramieszkańcy środkowej Ameryki budowali swoje piramidy i miasta najczęściej z cegieł suszonych na słońcu, które sami nazywali *adobes*. Jeszcze dzisiaj znaleźć można ruiny takich miast z *adobes*. Na prerii albo skalistej pustyni spotyka się pozostałości murów budowanych z *ladrillos*, jako świadectwo kultury minionych czasów.

W pobliżu hacjendy del Erina były też takie ruiny. Leżały o dobrą godzinę drogi od budynku, pośród skał i były tak zarośnięte powojami, że nie można było się do nich dostać. Ale przed frontowym murem znajdował się okrągły otwór, jak gdyby specjalnie przygotowany na czyjeś przyjęcie. Łatwo się można było dostać do środka i Sternau domyślił się, że spotkanie nastąpi właśnie w tym miejscu.

Nie powiedział nikomu ani słowa o tym, czego się dowiedział i siedział całe popołudnie koło chorego, który czuł się zupełnie dobrze i odzyskał pamięć na tyle, że mógł mu opowiedzieć całą przygodę w królewskiej jaskini. Emma przyniosła kosztowności i Sternau mógł podziwiać te bogactwa.

Emma radowała się niezmiernie, widząc swojego ukochanego, zdrowym. Spodziewała się rychłego szczęścia i rzekła do chorego:

— Właściwie nie potrzebujesz tego bogactwa, bo hacjenda del Erina będzie nasza. Czy nie podzieliłbyś się ze swoim bratem?

Chory przytaknął radośnie i rzekł:

— Oczywiście, co mam, jest również i jego własnością. Ma przecież syna i żonę.

Sternik, któremu w końcu pozwolono odwiedzić brata, opowiadał choremu o swojej rodzinie, która pozostała w dalekiej ojczyźnie, a Sternau pomagał mu w tym. Chory wysłuchał uważnie opowiadania, potem rzekł:

— Ten chłopiec, mój bratanek jest dzieckiem cudownym i musi otrzymać odpowiednie wykształcenie. Masz wielkiego, wielkiego dobroczyńcę w panu nadleśniczym, ale zawsze to jednak zależność. Musisz wziąć ode mnie potrzebne środki. Jestem twoim bratem, stryjem twego syna i mogę ci zrobić ten niewielki prezent.

Pocziwy sternik odmawiał prośbie brata, nie chcąc przyjąć daru, ale wszyscy obecni, nawet hacjendero, byli innego zdania. Tak więc postanowiono, że połowa skarbu królewskiego darowanego Helmerowi, przypadnie w udziale małemu Robertowi.

Wieczorem pacjent czuł się znużony, Emma została przy nim, a inni poszli na wieczerzę. Oficerów nie było. Uważali bowiem za rzecz naturalną spożywać kolację w swoich pokojach.

Po wieczerzy Sternau oddalił się do siebie pod pozorem pilnej pracy. Nie chciał, by zauważono jego nieobecność. Czekał na stosową chwilę, pozbierał broń, rzemienie i udał się do jednego z niezamieszkałych pomieszczeń, z tyłu domu. W swojej izbie zostawił zapaloną lampę, by myślano, że jest w domu. Otworzył okno, wyskoczył i udał się w kierunku *ladrillos*.

Było ciemno, on jednak miał wzrok wyćwiczony i nie mógł pomylić drogi. Kiedy był blisko celu, zachował najdalej idącą ostrożność. Nagle zatrzymał się i pociągnął nosem powietrze.

— Co to? Toć to dym zmieszany z zapachem pieczonego mięsa. Nie wiem, czy ten drab jest taki głupi, czy śmiały, że zapala tutaj ogień. No, zobaczymy!

Doszedł do dołu głębokiego na jakieś dziesięć stóp, a szerokiego i długiego na dwadzieścia. Na skraju rosły krzaki, w których Sternau się ukrył.

Ujrzał mężczyznę, który siedział przy małym ognisku i piekł dzikiego królika. Północ była blisko i Sternau ukrył się w ciemności. Człowiek przy ognisku zaczął zajadać swoją pieczeń z ogromnym apetytem. Obok niego leżała dubeltówka, za pasem tkwił nóż. Postać jego była wprawdzie silna, Sternau jednak widział, że bez trudu mógł pokonać tego człowieka.

Niedługo dały się słyszeć kroki. Meksykanin nadśluchiwał, potem wstał. Krzewina się rozchyliła i ukazała postać kapitana, oświetlonego blaskiem ognia.

— Czyś ty oszalał, człowieku? Palisz ogień?

— O, nikt tego nie widzi. Zresztą byłem głodny, to upiekłem królika.

— Diabeł niech porwie twoją pieczeń! Czuć mięso na sto kroków!

— Tak, ale na sto kroków zbliża się tylko ten, który ma tu coś do zrobienia. Jesteśmy zupełnie bezpieczni. Proszę się zbliżyć, senior!

Kapitan zbliżył się, ale nie usiadł koło niego.

— Nie mam dużo czasu. Gdzie są twoi ludzie?

— Z tamtej strony, za górami, w lesie.

— Chciałbym, żeby niewielu z nich wiedziało o sprawie. Czy nie możesz się ich pozbyć w jakiś sposób? Bo rzecz, którą ci teraz powierzę, będziesz mógł wykonać sam.

— Co to takiego?

— Widzę, że masz obok siebie dubeltówkę, czy jesteś pewny jej celności.

— Nie chybiam nigdy.

— Masz oddać dwa celne strzały: w stronę Sternaua i Hiszpana.

— Ładnie, będą mieli kule. Ale kiedy i gdzie?

— Znasz stary, wapienny kamieniołom za górą. Tam jutro, o godzinie piątej odbędzie się pojedynek.

— *Caramba!* Chce się pan dać zamordować?

— Bez twojej pomocy, może się to stać. Ja i Pardo wyzwaliliśmy Niemca, a ten Mariano jest jego sekundantem. Sternaua trzeba się strzec. Musi się go unieszkodliwić jeszcze przed rozpoczęciem pojedynku i to ty masz uczynić.

— Chętnie, senior. Piekło ich pochłonie! Jak mam sprawę rozpocząć?

— Przed piątą ukryjesz się w pobliżu. Jest tam masa drzew i krzaków.

— Dobrze.

— Musi się odbyć widowisko jak na scenie. Wyzwałem go na pałasze, kolej porucznika przyjdzie dopiero po mnie. Jestem więc pierwszy. Kiedy Sternau stanie naprzeciwko mnie, zastrzelisz go. Druga kula musi trafić Hiszpana. Zapłatę otrzymasz jutro tutaj, o północy. Teraz wiesz wszystko, spodziewam się, że mogę na tobie polegać. Dobranoc!

— Dobranoc! Bądź pewny, senior, że moje kule trafią do celu!

Rotmistrz odszedł. Meksykanin zgarnął popiół, zjadł jeszcze parę kęsów, potem wstał, zarzucił strzelbę i wspiał się w górę. Sternau szybko wyskoczył z ukrycia i pobiegł w tę stronę, gdzie zbój miał się ukazać. Bez najmniejszej obawy rozsunął Meksykanin gałązki. Zaledwie się uchylły, stanął przed nim Sternau i schwycił go za gardło. Nie pisnął ani słowa. Gardło było ściśnięte tak mocno, że stracił oddech. Padł na ziemię jak nieżywy. Po paru chwilach był związany i owinięty w prześcieradło.

Sternau wziął go i dubeltówkę na ramię, i powrócił do hacjendy. Przez okno wsunął swój pakunek do izby, sam wszedł także i przymknął okno. W mieszkaniu jego wciąż paliło się światło.

Kiedy porozwijał pojmanego, spostrzegł, że ten zwrócił na niego oczy pełne strachu.

— Aha, chłopcze, poznajesz mnie? — rzekł półgłosem — Kapitan mówił, że mam diabła w sobie. To bardzo możliwe, gdyż inaczej nie dostałbyś się w moje ręce. Tu możesz się wyspać lepiej, niż na dworze. Najpierw oglądnę jednak twoje kieszenie. Kto jest taki nieostrożny, że piecze w pobliżu wroga króliki, może będzie taki głupi, by trzymać przy sobie kartki, znalezione pod pewnym kamieniem.

Znalazł zwiniętą karteczkę. Włożył mu ją na powrót do kieszeni i rzekł:

— Zatrzymasz ją do rana, prędzej nie potrzebuję. Teraz myśl nad tym, czy podczas przesłuchania masz zaprzeczać czy odwrotnie.

Związał go dobrze sznurami, przypiął obie nogi do łóżka, w którym sam się położył chociaż na parę godzin. W stosownym czasie obudził go Mariano, pukając do drzwi.

Nawet mu na myśl nie przyszło uczynić ustnie albo pisemnie rozporządzenie ostatniej woli. Czuł się już zwycięzcą, oglądnął jeszcze raz swojego więźnia, zamknął drzwi pokoju i schodził tak spokojnie, jakby szedł na śniadanie.

Na dole czekał Mariano. Spojrzał na okno rotmistrza i spostrzegł go w nim.

— Kapitan widzi, że odjeżdżamy.

Sternau nie popatrzył w tę stronę, tylko rzekł:

— A wiesz o czym on myśli?

Przyjaciele od jakiegoś czasu mówili sobie po imieniu.

— Zgaduję. On sądzi, że im nie ujdiesz. Jeżeli jeden cię nie położy, to uda się to drugiemu. Porucznik jest podobno tęgim strzelcem. Wczoraj omawiali sprawę tak obojętnie, iż jestem przekonany, że nie mają żadnych wątpliwości co do rezultatu.

— Wierzę w to, że nie mają obawy. Sądzą z pewnością, że do pojedynku nie dojdzie, bo my dwaj przedtem padniemy trupem.

— Nie rozumiem!

— Zaraz zrozumiesz, posłuchaj.

Opowiedział mu wszystko. Mariano przeraził się. Taka podłość i złośliwość wydała mu się wręcz nieprawdopodobna. Patrzył długo na Sternaua, czy przypadkiem nie żartuje.

— Mordercę masz w pokoju?

— Powiedziałem ci przecież.

— A jeżeli się wyrwie?

— Związany jest mocno. Wołać nie będzie w stanie. Nawet gdyby mógł stękać, to go nie wypuszczą, bo przecież będą się domyślać, że mam przyczynę więzić go w moim pokoju.

— A jego towarzysze nie są przy wapiennym kamieniołomie?

— A do diabła! O tym nawet nie pomyślałem! Co za głupota! Biorę człeka ze sobą i nie myślę nawet o tym, że on nie powinien oddalić się od swoich towarzyszy. No, może da się to jakoś naprawić. Nie znam wprawdzie kamieniołomu, ale nie sądzę, byśmy byli w niebezpieczeństwie. Musimy drabów napaść zniemacka. Już jedziemy dziesięć minut, tam jest góra, a po lewej stronie kamieniołom. Musimy go wziąć szturmem!

Pędzili dalej galopem. Po kilku minutach byli na miejscu. Ujrzeni dwóch mężczyzn i trzy pasące się konie. Sternau najechał zaraz na jednego z nich, Mariano na drugiego.

— Holla, co tu robicie? — zawołał Sternau chwyciwszy zbira — Coście za jedni?

— Oho! — odpowiedział, skrobiąc się w kolano, które rozbił podczas napadu Sternaua — A wy, coście za jedni, że odważacie się najeżdżać na porządnym ludzi?

— Wiesz dokładnie kim jesteśmy, ty drabie! Macie przecież rozkaz powystrzelać nas. Ja cię drabie, nauczę rozumu!

Walnął go pięścią w skroń tak, że zbir upadł. Teraz zwrócił się do Mariano, który klęczał na drugim, także pokonanym.

— Czekaj, pomogę ci!

Z tymi słowy przystąpił i wymierzył morderczy cios.

— A teraz związać, zakneblować i uprzątnąć, żeby ich nie znalezione.

Obu związano ich własnymi rzemieniami i zakneblowano chustami. Potem przywiązano ich do koni. Trzeci koń należał widocznie do dowódcy. Odprowadzono je na bok. Potem przyjaciele wrócili do kamieniołomu pozacierać ślady. Tymczasem zjawili się trzej oficerowie.

Powitano ich grzecznie. Sternau i Mariano zauważyli, że kapitan cały czas rozglądał się na boki, szukając swoich sprzymierzeńców. Nie zobaczył nikogo.

Obaj sekundanci zeszli się jeszcze raz, by ostatecznie omówić warunki. Sekundant strony przeciwnej przyniósł Sternauowi szablę kawalerii, gdyż ten nie miał takiej. Usiłował, jak to w zwyczaju doprowadzić najpierw do pojednania, ale kapitan odmówił z dumną miną:

— Ani słowa na ten temat! Chcę widzieć krew! Mój przeciwnik postawił warunek, że zadośćuczynienie nastąpi dopiero wtedy, kiedy któryś z nas nie będzie w stanie władać orężem. Przyjąłem warunki i nie mam ochoty odstąpić od nich.

— A pan Sternau? — zapytał sekundant.

— Ja także obstaję przy nich, tym bardziej, że sam je podyktowałem. Ale mam jeszcze jedną uwagę, jeżeli pan pozwoli.

— Proszę!

— Już wczoraj zauważył pan, że znam wynik dzisiejszego pojedynku. Dam panu dowód. Komu wypadnie pałasz, ten zwycięży. Odetnę mojemu przeciwnikowi cztery palce prawej ręki. Łatwo mógłbym go zabić, ale łądak musi być raczej naznaczony, a nie zabity.

— Panie! — ryknął rotmistrz.

— Senior — upomniał sekundant. — Sam pan wczoraj zwrócił uwagę na reguły. Czy do dobrego tonu należy opluwanie swojego przeciwnika?

— Nie. Ale jeżeli człowiek musi pojedynkować się z szubrawcem, to tylko wtedy, gdy może go należycie traktować. Zresztą to samo sądzę o moim drugim przeciwniku, szkoda czasu. Naprzód!

— Tak, naprzód! — zawołał kapitan. — Pójdzie do diabła nim się obejrzy.

Sternau nie odpowiedział, ale gdy otrzymał swój pałasz i stali już na przeciw siebie, zapytał sekundanta:

— Czy wolno jeszcze jedno słówko?

— Jeżeli nie będzie nową obelgą, to tak.

— To nie obelga tylko twierdzenie, którego prawdziwość udowodnię później. Człowiek na przeciw którego stoję, z wielką niecierpliwością oczekuje na dwa strzały. Jeden ma trafić mnie, drugi mego sekundanta. Skrytobójca dzisiaj o północy, koło *ladrillos* ma otrzymać za swój czyn zapłatę.

Oficer cofnął się o krok i zawołał gniewnie:

— Senior, to śmiertelna obelga!

— To czysta prawda — odpowiedział Sternau zimno. — Proszę tylko popatrzeć na swego towarzysza, kapitana. Czyż nie jest błydy jak trup? Czy ręka mu nie drży? A jego usta? A wzrok, czy to jest wzrok niewinnego?

Sekundant spojrzął na swego przełożonego i rzekł zbladły:

— O *dios*, pan rzeczywiście drży, kapitanie!

— On kłamie — wycedził Verdoja.

— Słyszysz pan drżenie jego głosu? — zapytał Sternau. — On wie, że Księcia Skał nie można pokonać. Wie, że dotrzymam słowa, a jego prawica jest zgubiona. No cóż, rozpoczynajmy tę komedię.

— Tak, zaczynajmy — zawołał rozdrażniony kapitan i natarł na Sternaua.

— Stój — zawołał lekarz, wytrąciwszy mu jednym cięciem pałasz z ręki. — Jeszcze sekundanci nie stoją na swoich miejscach, znak nie został jeszcze dany. Proszę stosować się do zasad, gdyż inaczej rzucę pałasz i chwycę za pierwszą lepszą różgę.

Pałasze podano, a zawodnicy ustawili się znowu. Mariano był znakomitym szermierzem, dotychczas niepokonanym, ale nie wiedział, jak Sternau zamierza odciąć przeciwnikowi cztery palce. Uważał to za rzecz niemożliwą.

Dano znak, zaczęła się walka.

Kapitan rzucił się z impetem na Sternaua, ten jednak stał dumny, spokojny i uśmiechnięty, każdy wypad parując z gracją i niespotykaną łatwością... aż nagle jego oczy błysnęły: strasliwe uderzenie rzuciło ręką przeciwnika na bok, klinga obróciła się lotem błyskawicy. Usłyszano potworny krzyk rotmistrza i pałasz padł na ziemię.

— O ja nieszczęsny, moja ręka — krzyczał.

Płaszcz leżał na ziemi, a ranny ukrywał swoją rękę pod surdudem. Sternau wyciągnął spokojnie chustkę i otarł krew z ostrza swojego pałasza. Zwrócił się do swojego sekundanta:

— Widzisz, że ja zawsze dotrzymuję słowa. Człowiek ten już nigdy nie dotknie swoją łapą żadnej takiej damy, wbrew jej woli.

Kapitan podniósł swe krwawiące ramię i rzekł:

— Człowieku, jesteś diabłem, ale ja cię jeszcze nauczę!

Jego sekundant i Pardero przystąpili do niego. Starali się zatamować krwotok prowizorycznym opatrunkiem.

Sternau nie zajmował się jego osobą, Mariano podszedł do niego i rzekł:

— To było arcydzieło, nie miałem pojęcia, że to jest możliwe. Czy dotrzymasz też drugiego przyrzeczenia?

— Z pewnością — odparł Sternau. — Uważaj na to, co robię. Nie stawaj z boku, tylko za mną.

— Ale może mnie trafić kula przeciwnika.

— Nie, mnie najpierw musiałby zastrzelić.

— Kula ma polecieć w bok?

— Tak i moja, i jego. Wyceluję w otwór jego pistoletu, w prawą lufę.

— A jeżeli najpierw wypali z lewej?

— Tego się raczej nie czyni. Nie bój się. Nie stanie mi się nic złego.

Po przeciwnej stronie Verdoja pouczał Pardera:

— Jeżeli pan zabije tego psa, daruję ci cały dług, jaki do mnie przegrałeś!

Pardero przytaknął głową, ale wyglądał nieszczerze, patrzył na sekundantów, którzy znaczyli odległość.

Zbadano dokładnie oba pistolety i nabit je, potem podano, do wyboru. Zawodnicy ustawili się na przeciw siebie, w odległości trzech kroków. Porucznik stanął z boku, Mariano za Sternauem.

— Senior, co za ostrożność! — zawołał ironicznie sekundant Pardery — przecież zostanie pan trafiony.

— O, mego przyjaciela i mnie, nikt nie zrani — odparł ze śmiechem.

Był pewnym, że tylko zimna krew i zręczność Sternaua pozwalają mu na ten krok. Kapitan stał na boku trzymając rękę w prowizorycznej przewiązce i rzucał nienawistne spojrzenia na Sternaua. Dałby w tej chwili połowę swego życia, jeżeli nie więcej, żeby kula Pardery przebiła serce przeciwnika. Porucznik podniósł rękę i liczył:

— Raz!

Prawe ręce podniosły się z pistoletami, lufy skierowano w przeciwnika.

— Dwa!

Ręka Pardery zdrząła. Zacisnął zęby i drzenie rąk ustało. Oczy utkwił w sercu Sternaua. Właśnie tam miała trafić kula. Chybić i to z takiej odległości było niemożliwe. Sternau stał z uśmiechem wyższości na ustach.

— Trzy!

Padło to śmiercionośne słowo. Sternau nie odwrócił wzroku od Pardera, jednak przy ostatnim słowie komendy, zwrócił swoją broń w stronę pistoletu przeciwnika i Pardero w tej samej chwili krzyknął, pistolet mu wypadł. Krzyknął także stojący z boku kapitan:

— Moja ręka! — wołał porucznik.

— Jestem trafiony! — krzyczał kapitan.

— Niemożliwe! — zawołał sekundant i pobiegł do niego.

— A jednak — rzekł Sternau spokojnie. — Senior Pardero nie ma silnej ręki. Moja pierwsza kula trafiła w lufę, druga zaś roztrzaskała mu rękę, poszła w bok i jak widzę, trafiła rotmistrza. Kto pragnie strzelać, musi się najpierw tego nauczyć, a kto ma odwagę obrażać damy, powinien mieć również odwagę znosić skutki porażki. Mam zwyczaj odpłacać takim ludziom. *Adieu*, panowie!

Chciał podejść do konia, lecz sekundant zastąpił mu drogę:

— Panie, jesteś lekarzem. Tutaj jest dwóch rannych!

— Nie mam zwyczaju leczyć ran, które sam zrobiłem, zwłaszcza że są zasłużone. To samo powiedziałem wczoraj. Zresztą rana pańskiego przyjaciela jest tylko powierzchowna. Może na przyszłość będzie stosował zasady *fairplay*, jak i przeciwnik. *Adieu!*

Odjechali, na miejsce, gdzie zostawili dwóch pojmanych.

— Jak mi lekko — rzekł Mariano. — Szedłem na spotkanie pełen obaw.

— Nie znalazłeś mnie — zauważył wesoło Sternau. — Teraz jednak do hacjendy, czekają tam na nas.

Pojmanych przywiązali do koni.

— Nie śmiecie przemówić ani słowa, inaczej zastrzelę! — ostrzegął ich Sternau — Rozwiążę wam ręce, ale macie się trzymać obok nas.

Chodziło o to, aby lansjerzy nie poznali, że Sternau przyprowadził z sobą jeńców. Nie chciał, aby kapitan dowiedział się o tym zbyt wcześnie.

Jechano galopem. Brama była otwarta, a przy niej stał hacjendero.

— No, nareszcie jesteście! Szukaliśmy was. Przyprawdzacie gości?

Sternau wyjaśnił co to za goście i poprosił o klucze do piwnicy, w której by mógł umieścić więźniów.

Bandytom związano ręce i zaprowadzono do lochu, pomieszczenia pozbawionego okien, o wyjątkowo mocnych drzwiach.

Przyjaciele udali się na śniadanie. Tam zastali Helmera, Karię i Emmę, opowiedziano im o całej awanturze. Pedro Arbellez nie wiedział o tym, że jego córkę obrażano. Przestraszył się, a gdy mowa zesłała na pojedynek, zbladł. Spodziewał się zemsty lansjerów. Sternau usiłował rozwiązać te obawy.

— Lansjerzy są przecież poddanymi Juareza, który prędzej czy później zostanie prezydentem. On zaś jest do pana pozytywnie nastawiony. Dał tego dowód i oficerowie będą musieli o tym pamiętać, zresztą mam na nich haka, mianowicie naszych więźniów, których zaraz przesłuchamy. Człowiek pojmany wczoraj leży w moim pokoju. Zaraz go wprowadzę.

Zastał więźnia w tej samej pozycji w jakiej go pozostawił. Można było się domyśleć, że usiłował uwolnić się z więzów, twarz miał siną, ciche stękanie wydobywało się z zakneblowanych ust. Sternau poznał, że pojmany mógł się wkrótce udusić, wyjął knebel i oswobodził mu nogi, zostawił tylko więzy na rękach.

— Wstawaj! Muszę z tobą pogadać.

Więzień podniósł się z trudem. Rzucił na Sternaua spojrzenie, w którym nie było ani śladu pokory.

— Jak śmiesz porywać się na mnie! Jestem wolnym człowiekiem!

— Ależ nie żartuj! Właśnie przestałeś nim być.

— Ale bez mojej winy. Żądam wolności i zadośćuczynienia!

— Czego ty żądasz jest mi obojętne, a co dostaniesz, zobaczysz wkrótce. Nie myśl jednak, że bawię się z tobą. Idziesz ze mną!

Schwycił go i wypchnął za drzwi. Meksykanin usiłował stawiać opór, ale to mu sienie udało, krew nie grała w nim jak dawniej. Nie był panem swoich mięśni, i nie próbował nawet ucieczki, chociaż Sternau nie trzymał go wcale.

Gdy weszli do jadalni, zobaczył obecnych i zapytał:

— Co to ma znaczyć?

— Masz odpowiadać na moje pytania i nic więcej! — odparł Sternau popchnąwszy go naprzód. — Stawaj tutaj, Widzisz te rewolwery, przy najmniejszej próbie ucieczki zastrzelę cię.

— Protestuję przeciw takiemu traktowaniu — wołał uparcie.

Sternau ruszył lekceważąco ramionami i obrócił się do okna. Z zewnątrz dał się słyszeć odgłos podków, przybiegł zlany potem lansjer, który widocznie był posłańcem, przynoszącym rozkazy.

Sternau zwrócił się do pojmanego i rzekł:

— Stoisz przed przesłuchaniem, które będzie stanowić o twoim losie. Spodziewam się, że będziesz miał na uwadze swoją sytuację i odpowiadać będziesz otwarcie, a także szczerze.

— Nikt nie ma prawa przesłuchiwać mnie. Takie prawo mają tylko sędziowie, a ich nie widzę.

— Mylisz się. Wszyscy tutaj jesteśmy twoimi sędziami. Wkrótce to poznasz. Mówię ci, że nie będę robić z tobą długich korowodów. Zostałeś najętym żeby zabić kilku z nas. Podśledzałem waszą rozmowę o północy przy ogrodzeniu, a potem w ruinach. W tygrysim jarze strzelaliście do mnie, a ty byłeś tam także. Jesteś mordercą i jeżeli nie będziesz mówił prawdy, to zostaniesz powieszony.

Słowa te uczyniły wrażenie na bandycie, zrozumiał, że wszystko zostało odkryte i upór ustąpił z jego oblicza, jednak wciąż milczał.

— Pytam, czy będziesz mówił szczerze — ciągnął dalej Sternau. — Jeżeli nie, to przesłuchanie skończone i będziesz wisiał.

Zbój patrzył w ziemię ponuro, potem rzekł:

— Jeżeli pan to uczynisz, zemsta cię nie ominie. Może być pan pewny. Mam jeszcze przyjaciół.

— Pozostało ci tylko dwóch. Czekali na ciebie w kamieniołomie, ale dzisiaj pojмалиśmy ich. Niebawem ich zobaczysz.

Meksykanin zbladł i odparł:

— Nie wierzę. Chcecie mnie tylko zastraszyć.

— Nic podobnego, podejdź do okna i spójrz na podwórzec. Stoją tam ich konie, twój zresztą też.

Widok koni nie skruszył go, dalej mówił z miną pełną buty:

— Kapitan zemści się za mnie!

Sternau także patrzył w okno i spostrzegł trzech jeńców, którzy jechali z zachodu w kierunku hacjendy. Poznał ich i powiedział zabójcy:

— Popatrz tam! Widzisz tych jeźdźców? To kapitan i dwaj porucznicy. Skoro się zbliżą zobaczysz, iż Verdoja i Padero mają przewiązane prawe ręce. Biłem się dzisiaj z nimi w wapiennym kamieniołomie i obu zraniłem. Od nich nie oczekuj pomocy!

Pojmany tym razem przeląkł się nie na żarty. Rotmistrz i porucznicy przegalopowali obok żołnierzy, zatrzymali się dopiero na podwórzu i zaraz udali się do swoich pokoi. Wszyscy zauważali na ich twarzach wyraz dzikiej żądzy zemsty. Te miny nie zwiastowały nic dobrego na przyszłość, spokoju w hacjendzie nie można się było spodziewać, mając pod boki takich zaciętych wrogów. Martwiło to srodze poczciwego Arbelleza, który na starość pragnął pozbyć się burz i innych niespodzianek.

— Nadal spodziewasz się pomocy kapitana? — zapytał Sternau. Pytany milczał, trudno było mu przyznać, że chętnie by zaprzestał oporu.

— Odpowiadaj! — ciągnął dalej Sternau — Przyznajesz, że niejaki Kortejo najął was byście napadli na mnie i moich towarzyszy. Nie udało się to, więc tych, którzy przeżyli zaangażował kapitan Verdoja i dlatego strzelaliście do mnie.

— Ja nie, tylko ci dwaj, których pan zabił w jarze.

— Nie usprawiedliwiał się. Byłeś ich dowódcą. To ty spotykałeś się z Verdoją.

— Tak, ale wierz mi senior, nigdy bym cię nie zastrzelił. Powiedziałbym co kapitan względem pana zamierza.

— Opowiadaj te bajki komuś innemu. Zaraz zresztą zobaczysz swoich kamratów. Mariano wprowadź ich!

Przerazili się ujrawszy swego towarzysza i Sternau nie potrzebował specjalnie się wysilać, by doprowadzić do ich zeznań. Dowiedzieli się, że ich towarzysz powiedział całą prawdę, nie widzieli więc żadnego powodu, by temu zaprzeczać, a tym samym pogarszać swoje położenie.

— Jesteście mordercami, zasłużyliście na stryczek, ale jeżeli spełnicie jeden warunek, to wykazę względem was łaskawość. Pragnę byście powtórzyli to wszystko wobec kapitana, jeżeli zajdzie taka potrzeba.

Popatrzyli po sobie i nic nie odrzekli. Wreszcie jeden z nich zapytał:

— Czy to jest niezbędne?

— Tak. Nie uczynicie tego, to każę was powywieszać. Nie sądźcie, że to tylko groźba.

— Dla rotmistrza nie damy się powiesić. Jeżeli inaczej, nie da rady, to zeznamy prawdę nawet w jego obecności.

— Dobrze, daruję wam życie a o reszcie porozmawiamy później. Nawet nie starajcie się uciekać, gdyż wszelkie próby karane będą śmiercią.

Całą trójkę zamknięto w lochu. Spodziewano się, że ze strony Verdoji mieszkańców hacjendy mogą spotkać nieprzyjemności i dla bezpieczeństwa postanowiono się trzymać razem.

* * *

Gdy Sternau i Mariano opuścili miejsce pojedynku, Verdoja wraz z Paderem opatrywali rany złorzecząc cudzoziemcom.

— I kto by pomyślał! — rzekł Pardero.

— Że będzie pan taką ofermą, która strzela do mnie! — przerwał mu kapitan.

— Ja? Przecież pan słyszał, jak się to stało! Ten Sternau jest najlepszym na świecie szermierzem i strzelcem.

— A pan za to jest do niczego.

— Proszę panów nie kłóćcie się! — rzekł sekundant, który obwiązywał rany, gdyż żaden z dwóch nie mógł mu w tym pomóc.

— Spotkanie było rzeczywiście nieprawdopodobne. Tego Sternaua można naprawdę nazywać diabłem. Jest wyjątkowo zręczny tak w strzelaniu jak i szermierce, ale zdziwiły mnie jego słowa.

— Rzeczywiście — zauważył Pardero. — Oskarżał naszego kapitana o wynajęcie morderców!

— Bzdura! — odparł Verdoja. Mimo to nie mógł ukryć zmieszania.

Sekundant obserwował go dokładnie. Był on człowiekiem honoru, który nie chciał być posądzony o pomoc w sprawie nieczystej. Nie miał pojęcia o właściwych zamiarach swojego przełożonego, ale przeczuwał, że oskarżenie Sternaua miało podstawy i dlatego zapytał:

— Cóż mogło spowodować, by ten Niemiec wypowiadał takie sądy?

— Jego złośliwość — powtórzył kapitan.

— Może się pan mylisz! — zauważył sekundant spokojnie. — O ile znam Sternaua, to nie sądzę, żeby był zdolny do takiej złośliwości.

— A może był to frazes obliczony na efekt.

— I to mnie nie przekonuje. Sternau to znakomity myśliwy, ale nie jest aktorem.

Verdoja tupnął gniewnie nogą i rzekł:

— Milcz pan! Czy chce mi pan może powiedzieć, iż wierzysz w to, co ten człowiek nałgał?

— Zarzucił panu niegodne postępowanie, a pan nic na to nie odparł — rzekł porucznik umiarkowanie. — Wstrzymuję się oczywiście od kategorięcznego wyroku w tej sprawie, dopóki nie udowodni swych zarzutów.

— Radzę to panu.

Młody mężczyzna ściągnął brwi i zapytał:

— — Czy to ma być groźba?

Pewnie! — brzmiała gniewna odpowiedź.

W tej chwili puścił porucznik chustę i cofnął się.

— Wypraszam sobie! Jesteś pan moim przełożonym, ale w sprawie honorowej moje stanowisko wcale nie jest niższe od pańskiego. Pańskie zachowanie wobec mnie jest niepojęte i powiadam, że zaraz po powrocie będę mówił z seniorem Sternauem. Zarzucił panu skrytobójstwo i jeżeli powiedział to bez żadnych podstaw, to musi wszystko odwołać i dać zadośćuczynienie, a jeżeli powiedział prawdę, to opuszczę swoje stanowisko.

— Zakazuję panu mówić z tym człowiekiem! — krzyknął kapitan.

— Rozkazywać może mi pan tylko w sprawach służbowych. Zna pan mój pogląd. Jeżeli mam dokończyć opatrywanie ran, to proszę zaprzestać rozmowy na ten temat.

Kapitan umilkł zmuszony koniecznością. Spojrzał na Pardero i poznał, że w nim znalazł sojusznika.

Powrócili do hacjendy mając posępne miny. Między lansjerami był jeden, który kiedyś miał zostać lekarzem, był więc wojskowym chirurgiem i w czasie pojedynku powinien być obecny, ale Sternau odrzucił tę propozycję, a kapitan był przekonany o skutecznym skrytobójstwie. W hacjendzie natomiast ranni zaprosili go i kazali sporządzić należyte opatrunki.

Przy tej sposobności dowiedzieli się od niego, że przybył posłaniec od Juareza z rozkazem natychmiastowego wymarszu do Monclowy, gdzie ludność zbuntowała się.

Czy będę mógł jechać? — zapytał chirurga Verdoja. Tak. Jazda nie naruszy rany, obawiać się można tylko gorączki, ale zioła, które zaaplikowałem znacznie ją zmniejszą. — A porucznik Padero?

— Jego rana jest groźniejsza niż pańska, ale też może jechać, w każdym razie szablą władać panowie nie będziecie mogli.

— Będę się bił lewą ręką. Jutro rano wyruszamy.

Tymczasem porucznik wykonał swoje postanowienie i udał się do Sternaua. Ten poznał wprawdzie iż ma do czynienia z człowiekiem honoru, odmówił jednak wyjaśnień.

— Ja jednak nalegam — rzekł porucznik. — Przybył posłaniec z rozkazem natychmiastowego wymarszu. Juarez prowadzi nas do Monclowy. Jeżeli masz pan podstawy, by oskarżyć kapitana o skrytobójstwo lub namowę do tego, to ja występuję z tego wojska. Właściwie wystarczy już ich bezczelne zachowanie wobec dam, by się od nich odwrócić!

— Mimo to został pan ich sekundantem.

— A kto miał nim być? Zresztą o całej sprawie dowiedziałem się dopiero w drodze. Teraz wie pan dlaczego muszę bezzwłocznie prosić o wyjaśnienia.

— Dam je panu i to możliwie niedługo. Kapitan, jak sądzę, wkrótce wyjedzie, by ponownie nawiązać kontakt z najętym mordercą. Zamierzam go śledzić, pan, jeśli można prosić, będzie mi towarzyszył. Tym sposobem przekona się pan o prawdziwości mych słów.

Porucznik musiał się na razie tym zadowolić.

Zaledwie chirurg wyszedł, kapitan wyruszył z hacjendy, ale nie sam, tylko z porucznikiem Padero.

Padero był prawdziwym Meksykaninem, lekkodusznym, namiętym, podporządkowującym wszystko swoim żądom i życzeniom. Był biedny, i aby to zmienić, nie przebierał w środkach. Narobił dużo długów. Jednym z jego wierzycieli był kapitan, który umiejętnie wykorzystywał tę sytuację. Potrzebował sojusznika całkowicie zależnego, Padero do tego nadawał się najlepiej.

Verdoja nie wiedział, że jego pomocnicy zostali pojmani. Nie mógł pojąć, jakim sposobem Sternau dowiedział się o wszystkim i chcąc tę sprawę wyjaśnić udał się w kierunku kamienia.

— Dlaczego wyruszamy do Monclowy dopiero jutro? — zapytał Padero. — Wedle wskazówek mamy wyruszać natychmiast.

— Mamy jeszcze jedną rzecz do załatwienia. Czy chcesz zostawić tego Sternaua w przekonaniu zwycięstwa?

— Gdybym mógł go ująć! — zgrzytnął porucznik.

— Osiągniemy to. Zresztą sądzę również, iż piękna Indianka wzburzyła panu krew. Ona jest wszystkim winna, chce pan stąd odejść nie odpłaciwszy za te winy?

W oczach Padero zaświecił się niebezpieczny ogień.

— Do czarta! Przyznam, że pali się we mnie chęćka na tę dziewczynę. Jest najpiękniejsza z wszystkich, jaką widziałem. Dużo dałbym za to, by ją pojąć za żonę!

— Dobrze, powiem otwarcie, że ja te same uczucia żywię w stosunku do Emmy... Nie osiągniemy tego jednak po dobroci, musimy działać wspólnie, sądzę, że wtedy nikt nam się nie oprze. No co, zgoda, poruczniku? — wyciągnął rękę.

— Zgoda! — zawołał Padero — Ale jak to zrobimy?

— Pozostaw pan to mnie! Mam plany, które są korzystne nie tylko dla mnie, ale i dla pana.

— Sądzę, że dowiem się o nich!

— Ma pan dziwną naturę, nie wiem, czy mogę ci całkiem zaufać i wierzyć, że zachowasz tajemnicę.

— Przysięgam!

— Dobrze, i tak nie mam wyjścia. Co pan sądzi o tym, co powiedział Sternau? Przyznaję, że mówił prawdę.

Padero zdziwił się.

— Prawdę?

— Tak. Gdyby mój plan się udał, mielibyśmy całe ręce, a diabeł by zabrał Sternaua z sekundantem. Muszę panu powiedzieć, że mam rozkaz od bardzo wysokiej i wpływowej osoby unieszkodliwić Sternaua i jego towarzyszy.

Ostatnie słowa były chytrze pomyślane, miały nakłonić Pardera do pomocy.

— A to zadziwiające — rzekł porucznik. — Czy wolno spytać kto to taki?

— Na razie nie. Ten Sternau jest kimś o wiele bardziej wpływowym, od jego zniknięcia wiele zależy, a ten, który spowoduje jego zniknięcie, może liczyć na wielką wdzięczność. Możesz pan sobie wyobrazić, iż nie wdawałbym się w zbędne awantury, gdybym nie wiedział, że to w przyszłości otwiera mi drogę do kariery, o jakiej nie mógłbym nigdy w świecie marzyć nawet.

Wszystko to było wierutnym kłamstwem, obliczonym na złowienie porucznika, ale cel został osiągnięty.

— Sądzi pan, że i mnie wynagrodzą, gdy panu pomogę?

— Naturalnie, tak samo, jak mnie. Naprzód możemy się spodziewać rychłego awansu albo znacznej pomocy materialnej. A potem, już to samo będzie zadośćuczynieniem, gdy udowodnimy tym drabom, że jesteśmy w stanie się zemścić. Mogę liczyć na pana?

— Całkowicie! Jestem gotowy. Proszę mi tylko powiedzieć, co mam czynić.

— Na razie sam jeszcze nie wiem. Przede wszystkim muszę się dowiedzieć, dlaczego nie przybył mój pośrednik. Dam mu znak, że dzisiaj wieczorem chce się z nim widzieć. Pomówię z nim o warunkach.

— Ale jak Sternau dowiedział się o całej sprawie?

— To zagadka.

— Pośrednik przecież jej nie zdradził!

— Nie, to pewne. Sądzę, że nas podsłuchał przypadkiem. Dlatego dzisiejsza rozmowa będzie w innym miejscu. Chodźmy!

Pardero musiał się na razie zadowolić tym wyjaśnieniem i jechał razem z kapitanem.

Zaraz po ich wyjeździe z hacjendy Sternau z porucznikiem też dosiedli koni i udali się w kierunku kamienia. Na miejscu porucznik wdrapał się na cedr, Sternau zaś schował się w krzakach.

Długo czekali nim jeźdźcy przybyli. Verdoja podniósł kamień i wsadził pod niego karteczkę, a gdy sprawdzili, że są sami i bezpieczni wrócili do koni i odjechali.

Obaj tropiciele wyszli z ukrycia i wyjęli kartkę.

— Pardero był przy tym — rzekł porucznik. — Jest więc wtajemniczony w sprawę. Co tam jest napisane?

Bądź w pobliżu tego miejsca, o północy spotkam się z tobą. Czekam na wyjaśnienia.

I tym razem nie było podpisu. Porucznik zapytał:

— To przeznaczone jest dla tego, który miał panów zastrzelić?

— Tak, ale człowiek ten o północy nie przyjdzie. Jest uwięziony w hacjendzie. Chodźmy do koni, podczas drogi powrotnej opowiem panu całą historię.

To, co porucznik usłyszał, wywołało w nim nie tylko zdziwienie, ale też głęboką pogardę. Postanowił działać zgodnie ze swoją honorową naturą.

— Co powinienem teraz czynić? — zapytał Sternaua.

— Zdemaskuję kapitana i jego pomocnika, pana zaś proszę na świadka w tej sprawie. Więzniom obiecałem darować życie, skoro szczerze powiedzą wszystko. Na razie to uczynili, więc ja dotrzymam słowa.

— Hm, nie bardzo to rozsądne, te draby zasłużyły na stryczek. Jeżeli się ich puści bezkarnie, to nigdy się pan nie będzie czuł bezpieczny.

— Tak też sędzę, ale dotychczas nigdy nie złamałem słowa, może moje postępowanie zmieni tych ludzi.

— Nie jestem tego zdania. Na ludzi tego rodzaju nie robi wrażenia łagodność czy względy, uważają je raczej za słabość, ale skoro pan, dał słowo, to trudno je zmieniać.

Przybyli do hacjendy później niż kapitan i Pardero. Verdoja zobaczył jak wracają, zmarszczył czoło. Niemiłym zaskoczeniem był widok porucznika w towarzystwie Sternaua, dlatego wystąpił na jego spotkanie z ponurą miną i zapytał:

— Poruczniku, gdzie pan był?

— Na przechadzce.

— Miał pan na to moje pozwolenie? — zapytał groźnie.

— Czy muszę je mieć? — zapytał oficer ostro.

— Oczywiście, jesteśmy w stanie wojny!

— Sędzę, że teraz odpoczywamy.

— Te rozróżnienia są zbyteczne, poruczniku. Skoro chce się pan przejechać, to proszę o tym meldować!

Młody oficer zarumienił się, nie ze wstydu jednak, podwładni stali dokoła i mogli słyszeć każde słowo.

— To musiałbym uczynić tylko wtedy, gdybym miał zamiar odjechać albo oddalić się na czas poświęcony służbie. Obecnie jednak wyjechałem na spacer, tak samo jak pan i porucznik Pardero. Co wolno jednemu, musi być dozwolone i drugiemu. Chyba pan to przyzna?

— Senior, czy wiesz, co znaczy nieposłuszeństwo? — zawołał groźnie kapitan.

— Wiem tak samo jak pan. Ale o nieposłuszeństwie nie ma tutaj mowy, chodzi tylko o zwyczajną różnicę zdań. Jest sprawą powszechnie znaną, że oficer nie może się pozwolić karać w oczach szeregowców!

W oczach kapitana błysnął gniew, przystąpił bliżej, wyciągnął rękę i rozkazał:

— Oddaj swoją szpadę, poruczniku. Natychmiast! Porucznik był wprawdzie jeszcze młody, ale nieustraszony, zapanował nad sobą i odparł:

— Moją szpadę? No, tego nie może pan ode mnie żądać!

— Jestem pańskim przełożonym!

— Byłeś pan nim! Teraz jesteś łotrem, wielkim, rafinowanym zbrojcem. Byłoby dla mnie hańbą, gdybym swoją szpadę oddał panu!

Słowa te były wymówił podniesionym głosem. Wszyscy żołnierze je słyszeli i natychmiast, otoczyli oficerów kołem. Pardero także był przy tym, a Sternau stał obok dzielnego porucznika.

Obelga była wielka, że kapitan w pierwszej chwili nie mógł znaleźć żadnej odpowiedzi. Nagle chwycił za rewolwer, wymierzył w porucznika i zawołał głosem drżącym z wściekłości:

— Odwołaj pan to zaraz, bo cię zastrzelę!

— Odwołać? Nie, powtórzę to raczej — rzekł nieustraszenie porucznik.

Wtedy chciał kapitan naprawdę wypalić, ale Sternau rzucił się na kapitana i wymierzył mu przy tym tak mocny cios, że ten runął.

— Co? Jak pan śmie! — krzyknął Pardero.

— Ośmieliłem się tylko splamić swą rękę!

— A tak! — zawołał młody porucznik — Pana także ogłaszam łotrem, którego dotknąć, znaczyłoby splamić się!

Pardero zbladł, częściowo ze złości, częściowo z obawy.

— Fantazjujesz pan! — zawołał.

— Nie, jestem panem mych zmysłów i mam nawet moralne zasady, czego panu brakuje.

— Pomyśl pan, że jestem jego przełożonym, jesteś najmłodszym oficerem!

— Nie jesteś pan więcej moim przełożonym. Nie będę służył z panem ani chwili więcej!

— Odchodzi pan ze służby?

— To się jeszcze okaże, albo ja albo wy obaj.

— Zapomina pan, że nie łatwo jest wystąpić — zaśmiał się Pardero szyderczo. — Naprzód aresztuję pana z przyczyny niesubordynacji, a senior Sternaua z powodu okaleczenia mnie i kapitana!

— Sądzi pan? — zapytał Sternau. — Taki robak chciałby się chlubić uwięzieniem mnie. Przystąp no pan bliżej!

Pardero stał w pobliżu. Była to nieostrożność z jego strony, gdyż Sternau zbliżył się, schwycił go za kołnierz i cisnął z taką siłą, że porucznik upadł na ziemię. Tego było lansjerom już za dużo. Stary wachmistrz wystąpił z grona, zsalutował przed porucznikiem i zapytał:

— Poruczniku, czy wolno nam wiedzieć, co to wszystko znaczy? Zapytany skinął mu uprzejmie głową i rzekł:

— Bartolo, który z oficerów jest wam najbliższy, powiedz otwarcie!

— Hm, pan porucznik wie o tym dobrze. Przecież nie przyglądalibyśmy się temu całemu zatargowi tak spokojnie, tym bardziej, że włączył się w to cywil.

— Bardzo dobrze, Bartolo. Powiem ci więc, że ci dwaj panowie bardzo niegodnie się zachowali. Są powiązani ze zbójcami i rabusiami, by mordować porządnych ludzi i obrażać damy.

— Czy to prawda, senior?

— Prawda, możesz mi wierzyć. Dzisiaj rano mieliśmy pojedynek, przy tym utracili swoje prawe ręce. Był to sąd boży. Nie są oni godni, by prowadzić poczciwych meksykańskich lancowników. Nie służę pod nimi więcej.

— *Caramba* to ja też występuję! — rzekł sierżant.

— To nie jest potrzebne, Bartolo. Jesteś starym, wysłużonym wojakiem i wiesz dobrze, co przystoi, co nie. Sądzę, że zbadamy wypadek i rozstrzygniemy, kto ma wystąpić: oni obaj czy ja.

— To prawda poruczniku — powiedział wachmistrz, gładząc wąsy. Gdy pan wystąpi, wtedy występuję i ja, cały szwadron się rozleci. Kiedy zaś wypędzą tych obu do diabła, wtedy pan zostanie kapitanem.

— A ty porucznikiem. Inni też awansują.

— Musimy więc ukonstytuować sąd wojenny?

— Nie, występki ichnie są wojskowe. Sądzę raczej, że sąd honorowy.

— Dobrze, odbierzmy im broń.

— To zrozumiałe.

— Związać ich?

— Nie, są tymczasowo uwięzieni i będą przebywać w jednym pokoju hacjendy pod strażą. Sąd odbędzie się na podwórzu, tak by cały szwadron słyszał. Każ ich zamknąć i otoczyć strażą, potem przyjdiesz na górę, by być obecnym przy ich przesłuchaniu.

To wielkie szczęście, że ten młody porucznik cieszył się sympatią swoich podwładnych, gdyż sytuacja mogła wyglądać całkiem inaczej. Na jego znak zabrano obu oskarżonym broń, a potem ich odprowadzono do małej izby.

Mariano obstawał przy tym, by sąd honorowy odbył się w obecności mieszkańców hacjendy i żeby więźniów przyprowadzono w asyście kilku silnych *vaqueros*. Jedno i drugie zostało zaakceptowane.

Lansjerzy stali na dworze grupami i omawiali niezwykły wypadek. Stary wachmistrz nadszedł i udał się ze Sternauem oraz porucznikiem do trzech pojmanych, którzy mieli powtórzyć swe zeznania, potem przyniesiono na podwórze ławki i krzesła, na których miały zasiąść osoby sądzone.

Przy jednym stole siedział porucznik, obok niego wachmistrz i podoficerowie. Tworzyli trybunał. Po drugiej stronie miejsca zajęli: Sternau, Mariano i obie damy, to byli oskarżyciele. Naprzeciw nich siedział Helmer i hacjendero jako świadkowie, a z czwartej strony lansjerzy, *vaqueros* i *ciboleros*, jako publiczność.

Wprowadzono oskarżonych.

Nie da się opisać, w jakim nastroju znajdowali się obaj. Takiego upokorzenia nie uważali nawet za możliwe. Pienili się ze złości i gdyby mogli, to z pewnością nawet czterej *vaqueros*, którzy ich prowadzili, nie mogliby ich powstrzymać.

— Co to znaczy? — zawołał Verdoja, ujrzawszy całe zgromadzenie — Co tu robicie? — ryczał na żołnierzy — Zabierajcie się stąd, natychmiast!

— Uspokój się, senior! — rzekł porucznik jako przewodniczący trybunału — Stoi pan jako oskarżony przed naszym obliczem i wiele zależy od twego zachowania!

— Jako oskarżony? Kto mnie oskarża?

— Zaraz się pan dowie.

— Kto ma być moim sędzią?

— My, jak pan raczył zauważyć. Zaśmiał się szyderczo.

— Czy nie znajduję się pomiędzy obłąkanymi? Moi żołnierze chcą mnie sądzić! Łajdaki, a idźcie stąd na swoje miejsce! Każę was na miejscu rozstrzelać!

Podniósł lewą pięść i przystąpił do wachmistrza, ale *vaqueros* go powstrzymali.

— Stawiam wniosek, aby związać obu pojmanyh, jeżeli się nie uspokoją — rzekł Sternau.

— Wniosek przyjęty! — odpowiedział porucznik.

— Odważcie się na tylko, a każę zburzyć całą hacjendę! — wołał dalej kapitan.

— Macie rzemienie albo sznury? — zapytał porucznik.

Vaqueros przynieśli żądane przedmioty.

— Widzicie, panowie, że nie żartujemy. Poddajcie się swojemu losowi, gdyż inaczej zmusimy was do tego!

— Zmusicie? Co takiego uczyniliśmy? Kto się odważy wykonywać sąd wojenny nad swoimi przełożonymi? Tylko ja mam prawo tutaj oskarżać.

— Myli się pan! Chodzi tu bowiem o sprawę honorową, musimy się przekonać, czy jesteście ludźmi honoru.

Kapitan chciał dać jedną ze swoich mocnych odpowiedzi, ale Pardero położył rękę na jego ramieniu i szepnął mu do ucha:

— Dla Boga, cicho! Gburowatością daleko nie zajdziemy.

— Zaczynajcie więc swoją komedię, ja sobie pozostawiam ostatnie słowo — odparł Verdoja nieco spokojniej.

— Senior Sternau, oddaję panu głos — przemówił przewodniczący.

Sternau wstał.

— W imieniu obu tych dam oskarżam obecnych tu mężczyzn o niegodne zachowanie się wobec bezbronnych kobiet. Dalej, oskarżam ich o skrytobójczy zamach na mnie, seniora Mariano i seniora Helmera.

— Może pan udowodnić to oskarżenie?

— Tak.

Porucznik zwrócił się do oskarżonych i zapytał:

— Co powiecie na te oskarżenia?

— Są bezpodstawne, nie uważam za godne odpowiadać na nie.

Tak odpowiedział Verdoja, Pardero przyłączył się do jego zdania.

— Dziękuję panom. Jeżeli rzeczywiście nie macie nic do powiedzenia, to upraszczacie przeprowadzenie rozprawy. Nad pierwszym oskarżeniem przejdziemy zatem do porządku dziennego. Oskarżenia nie odpowiadają na nie i tym samym przyznają prawdziwość zarzutów. Co się zaś tyczy drugiej sprawy, to tu jesteśmy zmuszeni do większej dokładności. Ponieważ obaj oskarżeni odmówili odpowiedzi, to będę prosił pana Sternaua o podanie dokładnych informacji w tej sprawie.

Sternau przedłożył swoje oskarżenie w jak najdokładniejszy sposób, nie dając w ogóle poznać, że ma trzech morderców, za świadków w tej sprawie.

Opowiedział wszystko co wydarzyło się od czasu pierwszego spotkania się z Bawolim Czołem.

Kiedy skończył, głos zabrał kapitan, chociaż powiedział, że nie da żadnej odpowiedzi.

— Zdaje mi się, jakbym rzeczywiście miał do czynienia z obłąkanymi. Ten człowiek wyrzekł same czcze domysły i na ich podstawie ośmielają się dwóch kawalerów, i oficerów naszej sławetnej armii stawiać przed sądem. To nie tylko śmieszne ale i haniebne. Taką hańbę potrafię sobie powetować, gdy komedia ta się skończy.

— Takiego ukarania nie obawiam się — odpowiedział Sternau. — Domysły, jak je pan nazywasz wzmocnię dowodami. Kiedy obaj panowie dzisiaj wyjechali, znałem już cel ich przejażdżki i wybrałem się za nimi. Kapitan Verdoja zorganizował sobie w lesie swoistą pocztę, kamień, pod który wtykał rozkazy. Dzisiejszy brzmi: *Bądź w pobliżu tego miejsca, o północy spotkam się z tobą. Czekam na wyjaśnienia.* Nie sądzę by kapitan chciał temu zaprzeczyć.

Kiedy Sternau wspomniał o kamieniu i wyciągnął kartkę, Verdoja zbladł, Pardero także. Obaj milczeli widząc zwrócone na siebie oczy wszystkich, Sternau mówił dalej:

— Muszę jeszcze zauważyć, że podsłuchałem oskarżonego podczas jego tajemnych spotkań. Mam świadków, którzy dadzą nam najdokładniejsze objaśnienia.

Po tych słowach wprowadzono trzech pojmanych. Na ich widok Verdoja aż podskoczył. Tego się nie spodziewał, więc wszystko musiało wyjść na jaw.

I wyszło. Pojmani złożyli zeznania z wielkim ociąganiem, ale zgodnie z prawdą, a oskarżeni uciekli się do bezsłownego oporu, nie chcieli w ogóle zeznawać.

— Wina oskarżonych została jasno udowodniona — rzekł przewodniczący. — Wedle obowiązującego w tym kraju prawa Verdoja zasłużył na śmierć. O współwinie Pardery nie będziemy rozmawiać. Ukonstytuowaliśmy się tylko jako sąd honorowy. Nie mamy więc karać, tylko rozstrzygnąć, czy dalej mamy z tymi ludźmi służyć. Co się tyczy mojej osoby, to ja oznajmiam stanowczo, że występuję natychmiast.

— Odmawiam panu tego — zawołał Verdoja ze złością.

— O to nie pytam. Okazał się pan człowiekiem bez czci, żaden człowiek honoru nie uzna cię za swego przełożonego. Zresztą, podkreślam to mocno, sam pan zawinił przeciw subordynacji i posłuszeństwu. Stałeś się krnąbrnym i samowolnym. Otrzymał pan rozkaz, by wyruszyć do Monclowy, nie uczyniłeś tego jednak, bo zatrzymały cię skrytobójcze zamiary. Uważam się w obowiązku spisać protokół i przesłać go do Juareza. Wedle tego osądzisz pan, że za wszystko co zamierzałem uczynić, zdołam przyjąć na siebie odpowiedzialność. Od chwili, w której nie posłuchałeś rozkazu Juareza, jesteś rebeliantem, podwładni mają nie tylko prawo, ale nawet obowiązek odmówić panu posłuszeństwa.

— Dobrze, to odmawiaj pan sobie! Nie zatrzymuję go wcale.

— Ani mnie ani innych pan nie zatrzyma, gdyż jestem przekonany, że przykład mój będzie naśladowany.

— No, niech mi się któryś odważy!

— Widzisz pan! — stary wachmistrz powstał — Ja również oznajmiam, że dłużej nie chcę służyć pod łajdakami i spodziewam się, że za mną pójda pozostali.

Verdoja podniósł głos w celu sprzeciwu, ale głośnie, liczne wołania podoficerów i szeregowców, którzy oznajmili, że nie chcą widzieć ani Verdoji, ani Pardery, nie dały mu dojść do słowa. Chciał się rzucić między żołnierzy, ale *vaquerowie* trzymali mocno. Kiedy się uspokoił porucznik rzekł:

— Przejmuję dowództwo szwadronu i uzupełnię oficerów wedle kolejności. Juarez otrzyma moje wyjaśnienia w tej sprawie i on postanowi, czy nasza dotychczasowa hierarchia ma istnieć w tym samym stanie. Tym sposobem nasz sąd spełnił swoją powinność. Morderców i ich towarzyszy oddajemy tym, którzy mieli paść ich ofiarą. Oni pozostają tutaj, my zaś za kwadrans wyruszamy do Monclowy.

Rozkaz przyjęto wśród ogólnej radości. Jeńców odprowadzono do więzienia, a porucznik pożegnał się serdecznie z mieszkańcami hacjendy i polecił swym żołnierzom wymarsz.

Verdoja kipiał ze złości. Nie mógł sobie wyobrazić takiego strasznego upokorzenia, mogła je zmazać tylko zemsta. Nie dał jednak po sobie nic poznać porucznikowi, który stał przy oknie.

— Dwóch *vaqueros* stoi na podwórku — rzekł. — Uzbrojeni są aż po zęby. Sądzą, że chcemy zwiać. Ale, Verdoja co z panem? Upokorzono nas niesłychanie, a pan poddałeś się wyrokowi. Zaczynam już wątpić w to, co mi pan powiedziałeś. Ta propozycja, szczodra nagroda...

— Pardero, czy mam pana nazwać baranią głową? Czy nie może pan zrozumieć, że cała sprawa jest niemiłym epizodem, który ma jednak swoje znaczenie? Ten nowo upieczony kapitan dzisiaj jest górą, ale to co straciliśmy, odzyskamy w dwójnasób. Mam rozkaz pewne osoby unieszkodliwić i zrobić to, chociaż nie od razu. Za to nagroda będzie tym większa.

— Czy jesteś pan tego pewny?

— Zupełnie.

— Ale jak unieszkodlimy osoby, w których mocy się znajdujemy? Przecież mogą nas zabić.

Verdoja także się tego obawiał, ale udawał twardziela. Starał się uspokoić swego towarzysza, co mu się wreszcie udało. Wiedział dobrze, iż na Juareza liczyć nie może, gdyż ciągle mu nie dowierzał i miał go na oku. Postanowił więc zrezygnować ze służby wojskowej i żyć tylko dla dwóch powodów. Pierwszy to ten kawał ziemi, który mu obiecał Kortejo, drugi posiadanie Emmy... i zemsta ach, zemsta za obelgę, jaką mu ona pośrednio przyniosła. Jednak do tego potrzebował pomocy, wiernego i posłusznego towarzysza. Miał nim być Pardero.

— Ja, prawdę powiedziawszy, jestem nawet z tego zadowolony, służba była dla mnie przeszkodą, ciężkim zadaniem. Skoro zaś przeszkoda została usunięta, mogę działać swobodnie. Wie pan ile jesteś mi winien?

— Hm, będzie tego z kilka tysięcy piastrów.

— Których nie będziesz mi musiał zwracać, gdy pomożesz mi wykonać moje zadanie. Zniszczę wtedy weksle, a oprócz tego może pan jeszcze liczyć na nagrodę. A ponadto ciągle istnieje piękna Indianka Karia.

— Do diabła! Za taką cenę jestem na pańskie usługi.

— To dobrze i niech się pan nie martwi, nic nam nie zrobią. Puszczą nas wolno, a potem do roboty.

— A więc tych trzech mężczyzn...?

— Tak. Unieszkodliwić, to znaczy zabić. Do chwili obecnej pragnąłem tylko ich śmierci, po tym jednak co zaszło, będą przed śmiercią musieli się porządnie namęczyć.

Diabelska radość zjawiała się na jego obliczu. Był to przedsmak zemsty.

— Musimy ich pojmać i odstawić w pewne miejsce, gdzie skosztują rozkoszy więzienia, aż do syta. Niedaleko mojej hacjendy jest stary, meksykański ołtarz ofiarny: piramida z korytarzami i jaskiniami. Ja jeden znam ten labirynt, to tajemnica mojej rodziny. W tej jaskini będą powoli zdychać z głodu. Wsadzimy tam też obie seniority: Emmę i Karię; bardzo szybko staną się uległe.

Pardero zadrżał na te słowa.

— Z pana to istny diabeł!

— Tak, będziemy diabłami, które zwyciężą. Przy tym idę nie tylko za głosem zemsty i miłości, ale też wyrachowania. Obiecano mi wielką nagrodę. Muszę się przekonać, czy dotrzymają słowa; w takich niespokojnych czasach, trzeba być ostrożnym. Jeśli zabiję tych trzech, a nagrody nie zechcą mi wypłacić, wtedy nic nie będę mógł zrobić, przeżyją. Jednak, gdy całej trójce daruję życie, wtedy będę mógł zażądać okupu. Widzi pan, że działam w naszym wspólnym interesie.

— Tak, jest pan wyjątkowo bystry i chytry i to właśnie wzbudza we mnie zaufanie do pana, spodziewam się, że ziszczą się nasze plany. Możesz pan na mnie liczyć. Ale czy sami będziemy mogli pokonać trzech silnych mężczyzn i dwie kobiety?

— To najmniejszy problem. W naszym błogosławionym Meksyku znajdzie się dosyć chętnych, którzy za kilkanaście dolarów gotowi są wykonać największą zbrodnię. Niczego się nie obawiamy. Jedziemy na pustynię Mapimi, a tam nikt za nami nie pojedzie.

— Mapimi? Zginiemy tam!

— Nie ma obawy. Znam tę pustynię jak własną kieszeń. Składa się ona nie tylko z piasków i skał, jak o niej powiadają, ale także z lasów, gdzie można znaleźć mnóstwo owoców, by nie zginąć z głodu.

Oni też byli tematem rozmowy, która się odbywała w jadalni. Rozmyślano nad tym co z nimi zrobić. Mariano radził rozstrzelać ich, inni się temu sprzeciwili. Chciano znać opinię Juareza. Ostatecznie uchwalono zabrać im broń i wypuścić po dwóch dniach.

Jeżeli chodziło o trzech zbójów, to Sternau zgodnie z danym przyrzeczeniem chciał ich puścić wolno. Otrzymali swoje konie, noże, lassa, pistolety zaś i strzelby odebrano im. Zagrożono przy tym, że jeżeli któryś z nich pokaże się w okolicy hacjendy, zostanie poczęstowany kulką.

Trzeciego dnia wyprowadzono Verdoję i Padero z więzienia. Sternau obwieścił im decyzję i potem puszczono ich wolno. Odjechali nie powiedziawszy ani słowa. Pierwszy postój mieli w miasteczku Nombre de Dios. Tam zamienili swój oficcerski uniform na zwyczajne cywilne ubrania.

* * *

Po czasach rozdrażnienia i ruchliwego niepokoju nastąpiła dla hacjendy chwila ciszy. Sternau nie mógł wyjechać wcześniej, nim pacjent nie wyzdrowieje. Najmniejsza nieprzewidziana przeszkoda mogła zniszczyć całą jego pracę.

Po dniach czternastu chory mógł wstać z łóżka o własnych siłach, a po dalszych ośmiu przechadzał się po ogrodzie, a wreszcie wybrał się na dłuższy spacer. Pamięć wróciła mu całkowicie i od tej pory żył tylko myślą zemsty na hrabim Alfonso de Rodriganda. Dlatego koniecznie chciał się przyłączyć do przyjaciół. Nie było to łatwe zadanie, gdyż długo nie siedział w siodle, teraz więc rozpoczął codzienne ćwiczenia.

Tak minęło parę tygodni.

Przez cały ten czas Mariano korespondował ze swoją Amy. Otrzymywał od niej pełne serdeczności i miłości listy, w których zachęcała go, by zaufał Sternauowi, on natomiast zapewniał ją o swej niezłomnej i gorącej miłości.

Sternau jeszcze w Vera Cruz napisał do Róży, by listy wysłała na ręce swej przyjaciółki Amy Lindsay, gdyż ona będzie znała miejsce ich pobytu i z ccałą pewnością przekaże wszelkie informacje. Właśnie dziś Mariano otrzymał pismo od ukochanej o nadzwyczajnej objętości; kiedy go odpieczętował, w środku znalazł list dla Karola.

Pismo było z Kreuznach, przepełnione szczęściem, radością i miłością. List był długi, gęsto zapisany i zawierał też dodatek dla kapitana Helmera.

Róża opowiadała o wszystkim co się zdarzyło podczas ich nieobecności. Potem mówiła o sprawach osobistych. Prokurator zadał sobie wiele trudu, nie mógł jednak dotychczas osiągnąć nic szczególnego. Największą jednak radością napełniły Sternaua słowa końcowe, Róża donosiła mu o wielkim szczęściu jakie ich czeka...

I tak, skoro podróż Twoja, mój najmilszy, będzie trwała dłużej, to przywita Cię niejedna Róża, tylko z maleńką Różyczką albo Karolem na ręku.

RS.

Sądzę, że nie będziesz się na mnie gniewał, jeżeli o tej radosnej nowinie doniosę także Amy. To moja jedyna przyjaciółka i z pewnością bardzo się ucieszy, słysząc o mym szczęściu.

Róża.

Sternau schował list do kieszeni i zszedł na dół. Wybrał najdzikszego konia, dosiadł go i pojechał na przestronną sawannę.

Hacjenda była za mała na jego szczęście. Jednak skoro tylko wrócił, czytał list jeszcze i jeszcze raz...

Antonio Helmer, już codziennie wyjeżdżał konno ze Sternauem i nabierał sił.

Sternau określił dzień wyjazdu, miano zostać w hacjendzie jeszcze tylko tydzień.

Ten czas był dla Helmera i Emmy porą niewymownego szczęścia i wielce byli wdzięczni doktorowi za jedyną w tym względzie pomoc.

Pedro Arbellez, który obecnie dzięki uprzejmości Juareza dzierżawił hacjendę Vandaqua często do niej wyjeżdżał. Jednego dnia postanowił pojechać tam ze swoim przyszłym zięciem, mieli wrócić następnego dnia.

Wkrótce po ich odjeździe Sternau z okna swej izby spostrzegł na horyzoncie jeźdźca, który zbliżał się szybko. Szybko zszedł do jadalni i powiadomił zebranych o gościu.

Emma, jako pani domu, przyjęła go bardzo uprzejmie.

— Czy to hacjenda del Erina, której właścicielem jest Pedro Arbellez? — zapytał skłoniwszy się.

— Tak, jestem jego córką.

— Ja zaś kurierem, którego Juarez wysłał do Monclowy z depeşami. Juarez powiedział, że senior Arbellez chętnie mi użyczy gościnności, jeśli nie dotrę do celu przed nocą.

— Oczywiście, senior. Ojca wprawdzie nie ma, ale wróci jutro. Znajdzie pan wszystko, co panu będzie potrzebne. Proszę oddać konia któremuś *vaqueros* i udać się ze mną.

W salonie przedstawiła go obecnym. W czasie kolacji Sternau zapytał go o teraźniejsze miejsce pobytu Juareza, lecz odparł wymijająco:

— Dyplomatyczne i wojenne powody zakazują mi odpowiedzieć na to pytanie, senior. Juarez nie pragnie, a by wiadano, gdzie się znajduje.

Brzmiało to dziwnie. Sternau rzucił badawczym wzrokiem na mówiącego i zaprzestał rozmowy.

Przybysz po jakimś czasie, udał się na spoczynek, gdyż o świcie musiał wyruszyć w dalszą drogę. Maria Hermoyes wskazała mu jego pokój. Nie rozbierał się i nie kładł do łóżka, tylko wyciągnął się w hamaku, zapalił cygaro i nasłuchiwał, aż nadeszła północ. Wziął światło do ręki, przystąpił do okna i trzykrotnie zakreślił w nim łuk. Po paru minutach rzucono w okno parę ziarenek piasku, więc je otworzył.

Kiedy oficer wyszedł z jadalnej sali, rozpoczęła się żywa rozmowa. Jego obecność krępowała mieszkańców, miał w sobie coś odpychającego: ostry głos, rozbiegane oczy... Najwięcej zastanawiał się nad przybyszem Sternau. Coś przemawiało przeciw temu człowiekowi. Nawet mundur nie pasował do postaci oficera, zdawało się, że szyty był na kogoś innego.

Kiedy udano się na spoczynek, Sternau nerwowo chodził po pokoju. Czuł niepokój, którego nie pojmował. Wiedział tylko, że uczucie to związane jest z obecnością oficera.

Czy rzeczywiście był to oficer? Verdoja i Pardo wyjechali, a od kiedy Arbellez zajął się hacjendą Vandaqua, w del Erina była tylko garstka *vaqueros*. Sternau postanowił być czujny. Podkraść się i podsłuchiwał pod drzwiami gościa. Wydawało mu się, że przybysz śpi, gdyż nie było słychać najmniejszego szumu, wyszedł więc na podwórzec, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Nie spodziewał się tego, co go spotkało.

Od strony miasteczka Nombre de Dios nadjechał o zachodzie zbrojny orszak konny. Liczył piętnastu mężów, na czele których jechał Verdoja i Pardero. Jeźdźcy spieszyli w kierunku hacjendy del Erina i zatrzymali się pod lasem. Tam zsiadli z koni i przywiązali je między drzewami. Trzech pozostało na czatach, reszta zaś udała się ze swoimi przewodnikami pieszo do hacjendy.

Verdoja i Pardero poszeptywali ze sobą:

— Dobrze się stało, że przywieźliśmy mundury do miasta — rzekł pierwszy. — Tym sposobem mógł się Enrico wkraść do środka i powiadomi nas o wszystkim, zanim podejmiemy odpowiednie kroki.

— Żeby nas tylko nie zauważyli! — rzekł Pardero.

— Nie mam obawy. To zręczne drabisko, nie zdradzi się on ani spojrzeniem ani miną. Mam przecucie, że wszystko uda się wybornie.

Była ciemna noc. Jeźdźcy obeszli hacjendę i o północy stanęli za jej tylnymi budynkami.

— Tam na górze są pokoje dla gości, w którymś z nich mieszka Enrico — rzekł cicho Pardero. — Wkrótce da nam znak. Czy nie przeskoczyć tymczasem muru?

— Dobrze, schowamy się gdzieś w środku.

Zaledwie ukryli się w cieniu, gdy usłyszeli czyjeś kroki na podwórzu, nadszedł Sternau.

— Ktoś nadchodzi! — szeptał Verdoja.

Sternau szedł pomału i spokojnie. Przy rogu domu przystanął, posłuchał chwilę i zwrócił się dalej.

— To był on! — rzekł szeptem Pardero. — Co mam robić?

— Atakuj! Ja go powalę kolbą na ziemię. Na górze byłby większą przeszkodą, niż tutaj, skoro go napadniemy niespodzianie.

— Ale jeżeli go tam nie zobaczą?

— Wszyscy śpią już. On wyszedł z własnej woli na tę inspekcję. Uwaga!

Verdoja chwycił dubeltówkę za lufę i podczołgał się w kierunku Sternaua. Tam rosła bujna trawa, kroków jego nie można było słyszeć. Zbliżywszy się do Sternaua, przykucnął, a potem nagle podskoczył.

Uszy Sternaua były bystre. Usłyszał za sobą szelest i obrócił się. Ale właśnie w tej chwili straszne uderzenie spadło na jego głowę. Runął na ziemię, nie wydawszy z siebie głosu.

— Pardero! — rzekł eks-kapitan półgłosem. — Chodź tutaj i przynieś knebel!

Za parę chwil zjawił się Pardero.

— Wspaniale, udało się. Ten człek był jedynym, którego mogliśmy się obawiać. Skoro go mamy, reszta pójdzie z łatwością. Aha, Enrico daje znaki!

Spostrzeżono trzykrotne machanie światłem.

— Gdzie schowamy Sternaua? — zapytał Pardero.

— Położymy go w kącie, w którym czekaliśmy, tam będzie bezpieczny. Związałem go, może go nawet zabiłem. Uciec nam nie powinien jednak w żaden sposób.

— Enrico, wszystko w porządku? — spytał Verdoja.

— Tak.

— Dawaj sznur!

Kiedy Enrico spuszczał z góry sznur, Pardero kazał podać jednemu z oczekujących pod murem drabinę sznurową, którą w tym celu przyniesiono ze sobą. Przywiązano ją do sznura i umocowano w górze.

Verdoja, gdy wlaźł na okno, rzekł:

— Mieliliśmy szczęście. Mamy już Sternaua. Teraz właściwie nie potrzebujecie już drabiny.

— Przeciwnie. Tędy dostaniemy się bez szmeru. Tymczasem trzeba postawić straż przy drzwiach.

Verdoja wydał rozkaz swoim ludziom, by bez szmeru przeprawili się przez ogrodzenie. Nakazał jednemu za drugim wchodzić po drabinie do pokoju Enrico. Dwóch ustawił przy drzwiach, tak żeby nikt nie mógł wejść do środka.

Wtedy dopiero sam wszedł po drabinie i zamknął za sobą okno.

Dotychczas wszystko przebiegało nad podziw sprawnie. Przybycia ich do hacjendy nikt nie spostrzegł, schwytano najgroźniejszego przeciwnika, a teraz należało pomyślnie rzecz przeprowadzić do końca.

— Hacjendera nie ma w domu — szeptał Enrico. — Pojechał wraz z zięciem do Vandaqua.

— Cóż to za jeden, do czorta? — zapytał spieszenie ekskapitan.

— Chciałem rzec, z narzeczonym swojej córki, do którego ona mówiła Antoni. Był podobno bardzo chory. Inni są tutaj. Także Emma i Karia.

— Dobrze, znam rozkład ich sypialni. Masz latarkę? Otworzyli po cichu drzwi i wyszli jeden za drugim na korytarz.

Verdoja poprowadził ich najpierw pod drzwi Mariano, zapukał parę razy, dopóki wewnątrz nie odezwał się głos:

— Kto tam?

— Ja, Karol! — odrzekł ledwie słyszalnym szeptem — Otwórz prędko, mam ci coś ważnego do powiedzenia... A światła nie potrzebujesz zapalać! — szepnął przezornie.

Mariano ubrał się pospiesznie i otworzył drzwi. Ciekaw był czego pragnie od niego Sternau.

— Zamknąć drzwi za sobą? — spytał i...

W tej samej chwili poczuł na gardle czyjeś silne ręce, stracił oddech, nie mógł nawet krzyknąć. Chciał się bronić, ale mocne rzemienie owinęły się około jego nóg i rąk, usta zostały zatkane kneblem.

— No, mamy i tego! Teraz do Helmera!

Takim samym sposobem i z tym samym rezultatem pochwycili Helmera, nikt w domu nie obudził się.

— A teraz do seniority. Zapukano do drzwi Emmy.

— Mój Boże, kto to? — zapytała.

Verdoja miękkim i delikatnym głosem odpowiedział:

— To ja, Karia. Muszę z tobą pomówić. Otwórz, Emmo!

— O czym?

— Ach, nie tak głośno. O tym obcym oficerze. Nie wiem, czy mam obudzić doktora Sternaua.

Emma dała się złapać w pułapkę.

— Co znowu? — rzekła — Poczekaj moment!

Usłyszano, jak wstała z łóżka, odsunęła rygiel i rzekła drżącym z obawy głosem:

— Chodź, co takiego się stało?

Verdoja wszedł błyskawicznie i chwycił ją za gardło. Padła, nie usiłując nawet bronić się. Leżała na ziemi omdlała z przerażenia. Verdoja związał ją mocno i zakneblował usta. Potem udano się do sypialni Indianki.

I tu, za pomocą tego samego fortelu, ujęto Karię.

Wszystkie zatem osoby, które chciano pojmać, zostały złapane. Całe pierwsze piętro zajęli bandyci. Verdoja i Pardoer wiedzieli, że na parterze były pokoje *vaqueros*. Zachowywano więc się nadzwyczaj cicho, aby ich nie pobudzić. Po czterech rabusiów przeznaczono do Mariano i Helmera, Verdoja udał się do Emmy, a Pardoer pozostał przy Indiance.

Gdy wszedł do Emmy w pokoju było ciemno. Zapalił świecę, Emma leżała nadal na ziemi, bez przytomności. Ubrana była tylko w lekką koszulę, i oczy rozpustnika spoczęły na jej odkrytych wdziękach. Jednak czas naglił, oswobodził dziewczynę z więzów i naciągnął na nią suknie, potem wyszukał w szafie jeszcze kilka rzeczy potrzebnych w dalekiej drodze, a w końcu usiadł i czekając na jej przebudzenie.

Parderze na widok Karii aż dech zaparło.

Leżała na ziemi bez żadnego odzienia, podniecając tym Parderę do szaleństwa. Rzucił się do niej, całował twarz, szyję, piersi, jednak dziewczyna choć skrzepowana zaciekle się broniła. Wtedy wstał i chwycił jej koszulę.

— Dobrze, nie będę się teraz tobą zajmował — rzekł, — ale będziesz moją, choćbym miał to przypłacić życiem. Wstawaj!

Chwycił ją i postawił na nogi. Teraz dopiero ujrzał jaka była piękna. Oczy jego rozszerzyły się, usta zadrgały, z trudem panując nad sobą zawołał:

— Jesteś więcej niż Wenera. Jesteś jak Kleopatra!

Ale czas naglił. Schwycił koszulę i ubrał dziewczynę. Nie sprzeciwiała się temu. Patrzała na niego oczami bezgranicznej dzikości, po chwili jednak zupełnie zobojętniała, jakby to, co się z nią działo, zupełnie nie dotyczyło jej. Kiedy dotknął jej ręki, poczuł, że była zupełnie zimna.

Naraz otworzyły się drzwi i stanął w nich Verdoja.

— Gotów?

— Tak.

— Zabierz pan jeszcze parę chust i prześcieradeł. Pojmanych zaprowadzono na podwórze. Wszystko odbyło się tak ostrożnie i cicho, że nikt ich nie usłyszał. Teraz otwarto wielką bramę i przyniesiono Sternaua; nadal nie dawał znaku życia.

Każdy z dwóch rabusiów wziął jednego więźnia na ramiona i wyniósł na zewnątrz. Verdoja został w tyle, aby zamknąć drzwi, cała awantura trwała jakiś półtorej godziny, po tym czasie dotarli do swych koni.

Pojmanych przywiązano do koni, przy czym okazało się, że Sternau przyszedł już do siebie.

Teraz piętnastu rabusiów podzieliło się na pięć grup. Każda z nich miała jednego jeńca. Jechali w rozmaitych kierunkach. Był to podstęp, który miał utrudnić ewentualną pogoń. Pomysłodawcą był Verdoja. Dopiero po upływie dnia, po dwa oddziały miały się ze sobą spotkać, a te znowu miały się zetknąć, po upływie następnych dwunastu godzin. Punkty, w których miało się to stać, były doskonale znane rabusiom, nie można więc było wątpić w pomyślny przebieg sprawy.

Verdoja wymyślił to wszystko, gdyż bał się, że pomocnicy mogą go bardzo łatwo oszukać, a po drugie, trójka jeźdźców nie wzbudzała podejrzeń.

Myślał o tym wszystkim, kiedy wraz ze swoimi zorganizował pierwszy popas. Pierwsza droga zaprowadziła ich do gór, które ciągną się z północy na południe i stanowią środkowoamerykańskie Kordyliery. Następnego ranka jechali zachodnim stokiem tego pasma i w południe dotarli do skrajnej pustyni Mapimi.

Tu było miejsce spotkania z czterema innymi oddziałami. Oczekiwał więc z bijącym sercem na wynik swej chytrych i przebiegłości.

W godzinę po dotarciu na miejsce zbiórki, ujrzeli orszak jeźdźców nadciągających od strony południa. Serce Verdoji zabiło żywiej, ta grupa należała do niego. Okazało się, że były to połączone oddziały, które transportowały Sternaua i Mariano.

Przyjął ich z wielką radością.

Obaj pojmani związani byli wręcz w nieludzki sposób. Tylko kneble mieli wyjęte, żeby móc oddychać.

Wieczorem przybyła reszta, z Helmerem i Karią. Żaden z oddziałów nie natknął się na jakiegokolwiek przeszkody, dlatego więc eks-kapitan spodziewał się dalszego, spokojnego przebiegu drogi.

Zorganizowano obozowisko. Zapłonął ogień, przyrządzono jedzenie. Nakarmiono pojmanych i w końcu rozdzielono warty, reszta udała się na spoczynek.

Verdoja, chociaż jako dowódca nie musiał tego robić, objął wartę pierwszy. Postanowił dręczyć pojmanych, chociaż żaden z nich nie przemówił ani słowa. Najpierw przystąpił do Helmera.

— No chłopcze, jak ci się podoba nasza przejażdżka? Mam was pozdrowić od kogoś, kto bardzo się wami interesuje.

— Od kogo? — zapytał Helmer.

— Od niejakiego Korteja. Zdaje się, że jest waszym bardzo dobrym przyjacielem.

Specjalnie zdradził tajemnicę. Chciał się przekonać i dowiedzieć, dlaczego Kortejowi zależało na zgładzeniu tej trójki. Chciał koniecznie mieć na niego jakiś hak. Dlatego rozmowę rozpoczął od Helmera, sądząc że ten najszybciej powie jakieś nierozważne słowo.

— Niech go bies porwie! — zawołał Helmer.

— Tego nie uczyni, raczej porwie was!

— Bez ciebie sobie nie poradzi!

— Milcz drabie! Pokażę ci, kogo masz przed sobą! — kopnął Helmera i przystąpił do Mariano.

— Widzisz, co to znaczy służyć łajdakowi za sekundanta? — rzekł — Poszedłeś z nim, wojowałeś, zostałeś pojmany i powieszonym będziesz razem z nim! Znasz swojego przyjaciela, Korteja?

Mariano nie odpowiedział.

— Znasz go? — powtórzył Verdoja. Mariano ciągle milczał.

— Widzę, że cię muszę zmiękczyć. Już ja was nauczę mówić! Kopnął i tego, potem przystąpił do Sternaua. Ten był tak związany, że nie mógł ruszyć ani ręką ani nogą, ale kolana mógł podnieść aż do ciała.

— Jak ci było, kiedy otrzymałeś mój cios w głowę? A teraz mam ciebie, psie! Pozbawiłeś nas rąk i ciężko to odpokutujesz!

Sternau nie zważał na niego.

— Co i ty nie chcesz odpowiadać? Czekaj, zaraz cię nauczę!

Podniósł nogę, aby go kopnąć. Ten jednak w mgnieniu oka przyciągnął nogi do siebie, wyprostował, wyprężył je i trzasnął z taką siłą w dolną część ciała, że Verdoja padł głową prosto w płonące ognisko. Wprawdzie zerwał się w jednej chwili, ale bolesny krzyk był dowodem, że się zranił.

— Ach, moje oko, moje oko! — ryczał z bólu.

Śpiący podnieśli się natychmiast, odciągnęli mu rękę od oka i... Okazało się, że wbił sobie w oko płonącą gałązkę. Złamała się i końcem tkwiła jeszcze w oku.

— Oko stracone, gdyż nie ma lekarza — rzekł Pardo. Verdoja ciągle jęczał, biegał wokół i prosił, by mu wyciągnięto drzazgę, ale nikt się na to nie ważył.

— Tu mógłby poradzić tylko jeden, Sternau — rzekł Pardo.

— Ten pies, Sternau? On jest sprawcą mojego nieszczęścia. Zatłukę go na śmierć! — zawołał gniewnie ranny.

— Tak pomyślałem, on jest przecież lekarzem.

— Lekarzem? Ach tak, naprawdę jest nim. Przecież opiekował się tym chorym w hacjendzie.

— On panu wyciągnie drzazgę z oka.

— Powinien. On to musi uczynić. A potem... potem nadejdzie moja zemsta.

Pardo przystąpił do Sternaua i zapytał:

— Pan jest lekarzem okulistą?

Grzeczny ton, grzeczna odpowiedź:

— Tak jest.

Sternau natychmiast pomyślał o szansie ucieczki.

— Czy będziesz w stanie wyciągnąć drzewo z oka?

— Nie wiem. Musiałbym najpierw oko zbadać.

— Proszę więc za mną.

— Nie mogę się podnieść.

— No cóż, zdejmę panu więzy, byś mógł się podnieść. Czekał pan!
Zdjął rzemienie i popchnął Sternaua w stronę ognisku, gdzie leżał Verdoja.

— Zbadaj go pan! — rozkazał Pardero.

Verdoja, popatrzył na lekarza drugim, zdrowym okiem i rzekł z gniewem:

— Drabie, jeżeli mi w tej chwili nie wyleczysz oka, każę cię rozerwać rozżarzonymi szczypcami. Przyglądaj się!

Przez parę sekund trzymał zranione oko otwarte. Pardero przyświecał płonącym drzewcem. Rozmowę prowadzono naturalnie w języku hiszpańskim. Sternau był przekonany, że wśród wszystkich, którzy się tutaj znajdowali, tylko Helmer znał niemiecki i oglądając bacznie oko rzekł:

— Odwagi. Ja was ocale!

— Co mówisz? — zaryczał Verdoja.

— My lekarze mamy na wszelką ranę i chorobę łacińskie określenia. Właśnie wymówiłem łacińską nazwę tego skaleczenia — odrzekł Sternau.

— Czy można wyjąć drzazgę?

— Można.

— Bardzo to boli?

— Prawie nic.

— Uczyń to więc natychmiast!

— Czym mam przecież związane ręce.

— Rozwiązać go! — rozkazał Verdoja.

— A jak ucieknie? — zauważył Enrico.

— Czy jesteś przy zdrowych zmysłach? — zapytał Verdoja — Przecież nas jest piętnastu! Jak ucieknie? Utwórzcie koło i weźcie go w środek!

Kiedy Sternau powiedział po niemiecku, chrząknął Helmer na znak, że go zrozumiał, teraz mógł Sternau działać.

— Palcem nie mogę ruszyć rany — rzekł. — Dajcie mi nóż. Dostał nóż. Teraz był pozbawiony więzów i miał już broń. Chodziło jeszcze o to, by dostać strzelbę i naboje.

Naokoło obozu pały się konie. Strzelby ustawione były w piramidy i Verdoja miał u bioder zwinięty szeroki szal, za którym było dużo prochu i kul. Sternau powziął śmiały plan.

Oglądając nóż; był dobry, szeroki i ostry. Przystąpił do Verdoji, położył na jego głowę swoją rękę. Wszystkich oczy zwrócone były na nich obu, najuważniej przyglądali się im pojmani.

— Otwórz pan chore oko, zamknij zdrowe — rzekł Sternau.

Zamiarem jego było, by Verdoja nic nie widział. Posłuchał lekarza, a ten zbliżył nóż do twarzy eks-kapitana. W oka mgnieniu odciął pas od ciała Verdoji, chwycił go z herkulesową siłą i cisnął nim na stojących wokół rozbójników. Trzech czy czterech z nich runęło na ziemię. Powstał wyłom, w który się Sternau rzucił. W chwilę później schwycił jedną z rusznic, a w sekundę później siedział na grzbiecie konia i galopował przed siebie.

Wszystko to stało się tak błyskawicznie, że aż niezauważalnie. Kiedy wyrwał się krzyk z piętnastu piersi, było już za późno. Każdy chwycił za strzelbę lub pistolet. Padło dużo strzałów, żaden nie trafił.

— Na koń! Za nim! Musicie go pojmać! — ryczał Verdoja. Kilku rzuciło się natychmiast do koni i pojechało za uciekającym. Sternau spodziewał się tego. Pędząc ciągle w jednym kierunku, badał swoją rusznicę. Była to dubeltówka i na dodatek nabita. To wystarczało. Miało to prześladowcom przynieść zgubę.

Zatrzymał swojego rumaka i zwrócił głowę w kierunku swoich prześladowców. Nie jechali gromadą, podzielili się szeroką linią. Nie posiadali ani przytomności umysłu, ani zręczności Sternaua. Sądziło się, że zawsze będzie pędził prosto przed siebie, tak, że zawsze będą słyszeli uderzenie kopyt jego konia. Że mógłby się zatrzymać i czekać na nich, nawet nie przyszło im do głowy.

Było tak ciemno, że chociaż nie widzieli się nawzajem, to mogli słyszeć tętent. Koń Sternaua stał cicho a on sam przygotowywał strzelbę do strzału. Pogoń zbliżała się. Wtedy błysnęła mu inna myśl; nie potrzebował przecież wcale strzelać.

Skoczył szybko z konia i pociągnął go na ziemię. Meksykanie minęli go, w tej chwili wstał wsiadł na konia i pędził za nimi. Nie spodziewali się tego, każdy uważał go za swego, drugiego towarzysza.

— Dalej, na lewo! — zawołał.

Kolba Sternaua niespodziewanie spadła na głowę prześladowcy i roztrzaskała ją.

W tym samym momencie chwycił śmiały Niemiec za cugle meksykańskiego konia i zatrzymał go w biegu, potem zabrał zdobycz i galopował za drugim rabusiem. Kiedy się zrównali, ten zawołał:

— Na mnie wołasz, bym trzymał się lewej strony, a tymczasem sam nie trzymasz kierunku. Więcej na prawo!

— Zaraz — odpowiedział Sternau i już był przy nim.

Rabuś nie zważał na to, co się działo koło niego. Uderzenie kolbą roztrzaskało mu głowę. Sternau zatrzymał się znowu koło konia i zabrał jeźdźcowi wszystko co mu było potrzebne. Teraz nasłuchiwał.

Słyszał jak pozostali Meksykanie galopują z prawej strony, zatrzymał się i oglądał zdobytą broń. Była nabita. Miał więc cztery strzały. Było to dosyć, by dwóch najeżdżających runęło na ziemię. Z tymi była sprawa łatwiejsza.

— Hola! — zawołał. — Do mnie, mam go!

— Gdzie? — zawołał jakiś głos.

— Tutaj. On już nie żyje.

Pędzili jeden za drugim. Sternau podniósł dubeltówkę, zatrzymali się tuż koło niego.

— Mam was draby! — zawołał na ich spotkanie.

Huknęły dwa strzały. Kule były celne, jeźdźcy zachwiali się i spadli z koni. Zwierzęta stanęły.

Sternau nasłuchiwał dalej, jednak wszędzie panowała niczym nie zmacona cisza. Było ich więc czterech. Zsiadł z konia i przeszukał zastrzelonych. Od nich również zabrał wszystko, co mieli przy sobie. Miał już pięć strzelb, kilka noży i pistoletów, dwa lassa i wystarczającą ilość amunicji. Oprócz tego w odciętym pasie Verdoji znalazł dużo złota i banknotów. Był więc zaopatrzony we wszystko, brakowało mu tylko żywności. O to się jednak, tak bardzo nie troszczył.

Umieścił swój łup na siodłach zdobytych koni, powiązał je i wzięwszy za cugle wjechał w nieznaną pustynię.

Przede wszystkim troszczył się o to, by uniknąć pogoni. Wiedział, że o świcie znajdą cztery trupy. Spodziewał się, że będą za nim pędzić i dlatego musiał ich zmylić.

Pomyślał, że mieszkańcy hacjendy również będą ścigać rabusiów. Dlatego pragnął, o ile możliwości jak najdłużej przybywać na jednym miejscu. Postanowił jeździć w koło. Przejechawszy parę godzin na zachód, zawrócił na południe, a po upływie dwóch godzin zawrócił na wschód i tak o świcie stanął przy wzgórzu na południe od obozowiska.

Tutaj odpoczął, napoił konie, sam zaś zapalił cygaro. Potem zawrócił znów na północ. Musiał to jednak robić z ogromną przezornością, gdyż Meksykanie powinni rozpocząć poszukiwania. Minęły może cztery godziny, gdy zabił ścigających, ale zamiast nich, na miejscu znalazł kupę kamieni. Już więc odkryto jego dzieło.

Kiedy Sternau zbadał ziemię, zrozumiał, że cały oddział rozpoczął za nim pościg. Zaśmiał się, gdyż znajdował się za nimi, podczas kiedy oni sądzili, że jest przed i w tym kierunku go ścigali. Natychmiast puścił się za nimi, jednego z koni puściwszy wolno i to najprzydatniejszego. Zdjął zeń wszystko: cugle, siodło i popędził w stronę gór.

Miał tylko jednego konia, z którym łatwiej mu było jechać.

Sternau dotarł do miejsca, w którym zawrócił na południe. Poznał po śladach, że tutaj się zatrzymano i naradzano, jednak potem ruszono za nim. Kiedy po dwóch godzinach przybył na miejsce, na którym zawrócił na wschód, ślady kopyt wskazywały, że tutaj również odbywała się narada, w wyniku której Meksykanie wjechali na pustynię Mapimi, zaniechawszy prześladowania.

Pojechał ich śladem. Nie byli przyzwyczajeni do takiej jazdy. Indianie i myśliwi jadą zawsze gęsiego, by po śladach nikt nie mógł poznać ich liczby. Ci zaś jechali całą szerokością. Sternau naliczył piętnaście pojedynczych śladów konnych. Byli więc wszyscy, oprócz czterech zabitych: Verdoja, Padero, czterech pojmanych i dziewięciu najemników. Miał nadzieję podkraść się wieczorem pod ich obóz i znowu kilku z nich zabić. Z tymi wesołymi myślami pogalopował do przodu.

Kiedy wczoraj wieczorem tych czterech Meksykanów popędziło za uciekającym Sternauem, inni nad słuchiwali wśród ciszy nocy. Nawet Verdoja zapomniał o bólach. Wszyscy byli przekonani, że Sternaua schwytają.

Przez dłuższy czas panowała cisza, potem jednak padły w oddali dwa strzały. Huk ich był słaby, ledwo dosłyszalny.

— Mają go! — zawołał Padero.

— Tak, ale nie żywego! — gniewał się Verdoja. — Zastrzelili go łajdaki. Nie mogę więc się zemścić na nim? Kto będzie leczył moje oko?

— Może jest tylko ranny — zauważył jeden z Meksykanów. — Ten diabeł ma zdaje się mocne życie.

— W takim razie przyniosą go tutaj. Za pół godziny z pewnością wrócą.

Ale pół godziny minęło, a nikt się nie zjawił, Verdoja był niespokojny.

— Dlaczego zwlekają te draby? Ja ich już za to niedbalstwo ukarzę.

Minęło znowu pół godziny, a potem i godzina, nie było nikogo. Oko Verdoji bolało tak, że musiał przewiązać chustą. Ściekał mu po twarzy ostry płyn, który wiecznie musiał ścierać. Nie mógł usnąć. Dlatego przez całą noc przeklinał siarczyście, a kiedy już świtało wysłał następną dwójkę na poszukiwanie towarzyszy.

Dosiedli koni i ruszyli w drogę. Niedługo natrafili na leżące na ziemi zwłoki. Czaszki były roztrzaskane, a wszystkie rzeczy i konie zniknęły.

— Co to znaczy? Kto to zrobił? — zapytał jeden wahając się. — Sternau? Nie, to niemożliwe! Podczas walki, albo plądrowania pozostali, by go z całą pewnością zabili. Nie mamy tu nic do roboty, tylko jechać dalej.

Ledwie odjechali trzysta kroków, kiedy natrafili na drugiego trupa, który również miał roztrzaskaną czaszkę. Obaj mężczyźni popatrzyli na siebie pytająco i pojechali dalej, nie powiedziawszy ani słowa. Było im jakoś dziwnie na sercu.

Po pięciu minutach znaleźli nowe dwa trupy, kule przebiły im głowy.

— *Santa Madonna*, wszyscy czterej!

— Ten Sternau jest czarownikiem?

— Nie ma co, trzeba wracać.

W obozie oczekiwano ich ze zniecierpliwieniem.

— Co jest? — zapytał Verdoja. — Oślepliście i nie znaleźliście nic?

— Więcej, znacznie więcej! — rzekł jeden.

— No, gdzie jest Sternau?

— O tym wie tylko diabeł. Znaleźliśmy czterech zabitych, doszczętnie obrabowanych towarzyszy.

Na te słowa oczy pojmanych zaświeciły się blaskiem nadziei. Emma zaś krzyknęła z radości.

— Cicho! — ofuknął ją Verdoja. — Cieszycie się za wcześnie. Jeszcze nam nie uciekł. Ale jeżeli go pochwycę, to wyrwę mu każdy członek z ciała.

— Nikt go nie pochwyli! — odparła Emma odważnie. — On jest bohaterem. On was będzie ścigał i zabije was wieczorem, albo jutro wieczorem tak samo, jak to uczynił z tamtymi czterema, a nas uratuje.

Mariano i Helmer rzucili jej spojrzenie ostrzegające, a Karia leżąca koło niej, szeptała trwożliwie:

— Ach, zamilcz! Przez twoje słowa będę ostrożniejszy!

— Cicho! — rozkazał Verdoja, nie usłyszawszy szeptu. — Kto jeszcze raz przemówi, będzie ukarany. Ten szatan nie będzie nam już więcej szkodzić, zapewniam was! Naprzód! Muszę wiedzieć, w którym kierunku wyruszył.

Pojmanych uwiązano na koniach i wszyscy udali się w okolice, w której leżały zwłoki. Znalaziono dwóch pierwszych, nie można było jednak poznać jakim sposobem ich zabito. Konie uciekły nocą w szeroki świat. Dwóch jeźdźców zabrało zwłoki ze sobą. Przybyto do zastrzelonych, zbadano należycie teren.

— To prawdziwy szatan — wołał jeden z rabusiów przeżegnawszy się pobożnie. — Uciekinier, który potrafi wyrwawszy się, pokonać czterech prześladowców, to sztuka.

— Milcz głupcze! — zawołał Verdoja. — Sternau jest tylko chytrym człowiekiem, nic więcej. Pozbierał konie i popędził. Musimy go wysłedzić.

Tak też się stało. Jadąc na południe naradzano się.

— On powróci do hacjendy — przypuszczał Pardo.

— Nie — rzekł Verdoja. — Hacjenda leży na wschodzie a nie na południu. O zamierza coś innego. Gdyby chciał wrócić do hacjendy, to byłby to uczynił zaraz. On zaś dopiero przed paru godzinami wyjechał w kierunku pustyni, to nas zmusza do ostrożności. Jedźmy dalej jego śladem!

Jechali tak przez parę godzin, a potem dotarli do miejsca, z którego Sternau zawrócił na wschód.

— Widzi pan, miałem rację! On wrócił do hacjendy po pomoc.

— Głupstwo! — rzekł Verdoja. — Jest nas jeszcze jedenastu. Łotr, który w ciągu pięciu minut kładzie trupem czterech napastników, nie potrzebuje ściągać pomocy z tak daleka, by jedenastu mężczyzn zastrzelić, jednego po drugim. Sternau potrzebowałby dwa dni w jedną stronę, dwa dni w drugą, to czyni w pomyślnym przypadku cztery dni, zanim tutaj powróci. Wtedy ślady nasze zatrze wiatr. W każdym razie zyskujemy trzy dni i trudno będzie nas dopędzić.

— Ale co on zamierza?

— Jesteś pan oficerem, Pardo, ale nie taktykiem. Sternau wziął ze sobą cztery strzelby, po co? Przecież nie po to, by je wlec ze sobą. Może on z nich oddać pięć strzałów, jest bowiem między nimi jedna dubeltówka. Zabrał konie zabitych, po co? Czy dlatego, by udawać pastucha? Nie. On przez to zyskuje na szybkości, gdyż w każdej chwili, może dosiąść nowego, wypoczętego konia.

— A dlaczego jedzie na wschód?

— Odgaduję, jedzie łukiem. Za górami w dole skręci na północ, by nam spaść na kark. Może chce nas zatrzymać, dopóki nie nadejdą ludzie z hacjendy. Wie pan iż Sternau jest tym sławetnym Księciem Skał. Wierz mi pan, on się nawet boi sam rozpocząć z nami walkę, już dał na to dowody. Ale ja odgaduję co on zamierza i nie dam się mu złapać w pułapkę. Jestem przekonany, że on wieczorem, lub w nocy zawsze kogoś z nas zabierze. Wobec takiego trapera nie pomoże żadna ostrożność. Nie możemy więc w ogóle spać. Jedziemy przez całą noc, potem wypoczniemy parę godzin, znowu będziemy jechać, aż dotrzemy do zachodniego skrawka pustyni, a wieczorem będziemy u celu. On jednak będzie musiał odpoczywać dwie noce. Takim więc sposobem uciekniemy mu.

— Ale czy nasze konie wytrzymają tę forsowną jazdę?

— Z pewnością. Jutro rano będziemy nad jeziorem. Tam musimy napoić i napaść nasze konie. Pojutrze, na ich miejsce, dostaniemy na każdym pastwisku świeże konie.

— Ba, a dziewczyny?

— Muszą to wytrzymać. Zwolnimy więźniom ręce, by się tak bardzo nie męczyli. Na krańcu pustyni zostawimy paru ludzi, którzy będą czekać na Sternaua. Skoro go tylko zobaczą, mają go schwytać albo zastrzelić. Naprzód!

Verdoja dał dowód, że poznał plan Sternaua i że był daleko roztropniejszy, niż ten o nim sądził. Jeżeli jego plan udałby się, to pojmanym groziło wielkie niebezpieczeństwo.

Zwolniono ręce pojmanych, jednak nadal nie mogli się ze sobą porozumiewać.

Po skrzywionej twarzy Verdoji można było poznać, że bardzo cierpiał, ale nie skarżył się. W jego wnętrzu wrzało od strasznego gniewu, a jednak trzeba było jak najprędzej dotrzeć do celu. Zemstę odłożył na później.

Tak więc spieszyli przez cały prawie dzień w kierunku zachodnim, przez kamieniste przestworza i płaszczyny, nagie skały i puste, piaszczyste ziemie, dopiero wieczorem dotarli do skrawka lasu. Tutaj musieli napoić zmęczone konie, a potem dalej w drogę.

Podczas gdy dni w tych okolicach są parne i gorące, noc bywają czasem bardzo chłodne. Ten chłód był dla orszaku rabusiów zbawienny, gdyż konie daleko mniej się męczyły. Trudno wprost uwierzyć, jaką wytrzymałość posiadają meksykańskie konie.

Następnego ranka dotarli do utęsknionego przez wszystkich jeziora Muszli, gdzie na krótki czas zorganizowano popas. Konie rozsiadłano i napojono. Mogły paść się do woli. Ludzie zaś orzeźwili się i wzmocnili.

Kiedy pokrzepione konie zaczęły rzeć i poczęły igraszki, wiedziano, że nie są już zmęczone i można ruszać w dalszą drogę.

Teraz częściej spotykali porośnięte trawą miejsca albo las, a następnego ranka opuścili pustynię Mapimi.

W krótkim czasie pędzili w stronę wąskiej dolinki i tutaj stanęli na popas. Można było przewidzieć, że teraz konie wytrzymają jazdę aż do wieczora.

Dolinka była zarośnięta gęstymi krzewami. Verdoja przy wejściu do niej umieścił na straży dwóch Meksykanów, którzy mieli czekać na Sternaua, gdyby się tylko pojawił, chociaż spodziewano się go nie wcześniej niż następnego wieczora.

Kiedy znowu wyruszono w drogę, ukazała się przestronna równina, pokryta soczystą, zieloną trawą. Puszczono się drogami, na których nie spodziewano się nikogo.

Dzień minął i nie natknięto się na ani jedną hacjendę, chociaż kilka było w pobliżu. Skoro zapadła noc, zatrzymano się przed wysoką, potężną, piramidalną budowlą, której podnóże było zasłonięte złomami skał i krzakami. Verdoja wetknął palce w usta i gwizdnął. Natychmiast zaszeleściło w krzakach i ukazał się jakiś człowiek.

— Był mój posłaniec u ciebie? — zapytał Verdoja.

— Tak, senior. Przyniósł mi list. Wszystko jest w porządku. Nawet światło mam u siebie.

— Prowadź więc. Wy wszyscy macie na mnie poczekać — powiedział do swoich ludzi.

Przystąpił do Emmy i zawiązał jej ręce na plecach, odpiął od konia, podniósł do góry i wsunął między krzewy. Zrozumiała, że wszelki opór byłby daremny.

Teraz zawiązano jej oczy i Verdoja wziął ją na ręce. Niósł ją. Słyszała głuchy odgłos jego kroków, rozumiała, że znajdują się w sklepionym budynku. Raz szli w dół, raz w górę, powietrze było wilgotne.

Wreszcie zaskrzypiały jakieś drzwi, Verdoja postawił Emmę. Gdy jej zdjęto przepaskę z oczu, zobaczyła, że znajduje się w kamiennym ciasnym pomieszczeniu. Nie było w nim nic oprócz pryczy ze słomą, dzbankiem wody, kromki suchego chleba i dwóch łańcuchów, tkwiących w ścianie. Verdoja trzymał w ręce latarkę. Przewodnik skrył się za żelaznymi drzwiami.

— Jesteśmy na miejscu — rzekł Verdoja triumfująco. — Nie będziesz w stanie stąd umknąć, więc zdejmę ci więzy.

Uczynił to, patrząc przy tym swoim zdrowym, pełnym żądzы okiem na piękną postać dziewczyny.

— Ależ, senior, co ci takiego uczyniłam! — wybuchła nieszczęśliwa. — Dlaczego mnie porwałeś i zawiozłeś w takie straszne miejsce?

— Moje serce mi wyrwałeś — odpowiedział. — A serce to, pragnie teraz zadośćuczynienia. To komórka miłości. W niej złamany został już niejeden opór. I ty również nauczysz się odwzajemniać miłość.

Wyciągnął ku niej rękę, chcąc ją do siebie przycisnąć. Wymknęła się przestraszona.

— Nigdy, ty złoczyńco! — zawołała odchodząc w najdalszy kąt. — A jednak udowodnię ci, że będzie inaczej!

Przyskoczył znowu. W oka mgnieniu wyrwała mu zza pasa nóż i zwróciwszy go ku niemu, zawołała stanowczym głosem:

— Precz, obronię się sama.

Przeraził się naprawdę i cofnął, potem jednak zaśmiał się krótko, szyderczo i rzekł:

— Nóż w tej dłoni nie straszniejszy od igły. Oddaj go w tej chwili. Chciał wyrwać nóż i dlatego postawił latarkę na ziemię. Podniosła nóż do pchnięcia i rzekła:

— Jestem słabą dziewczyną, ale pan ma tylko jedną rękę. Nie waż się mnie dotknąć!

Zawahał się, wtedy przewodnik stanął za drzwiami i zapytał:

— Czy mam panu pomóc?

— Tak — odpowiedział Verdoja. — Chodź tu i odbierz jej nóż. Emma poznała, że nie będzie w stanie obronić się przed dwoma mężczyznami. Nie straciła jednak nadziei i postanowiła ratować swoją cześć. Przyłożyła nóż do piersi i zagroziła:

— Jeżeli mnie dotkniecie zabiję się!

Wyraz jej twarzy, przy tych słowach był taki stanowczy, że Verdoja poznał, iż mówiła prawdę, a to nie było jego zamiarem. Szkoda mu było pięknej dziewczyny. Koniecznie chciał ją mieć, dlatego rzekł do przewodnika:

— Zostaw ją na razie. Głód to twardy jegomość, niebawem złamie jej opór. Od dzisiaj nie dostanie nic więcej jeść, dopóki sama nie okaże mi miłości. Chodźmy stąd!

Wziął latarkę i wyszli z więzienia. Służący spieszył za nim, Emma usłyszała zasuwanie rygła, ucieczka była niemożliwa.

Tak siedziała ta przyzwyczajona do swobody, miłości i do rozkosznego życia dziewczyna w wąskiej, ciemnej komórce. Słoma była jej łóżem, a brudna woda napojem.

Świeże powietrze nie miało dostępu do nędznego lochu, została skazana na głód. Bowiem kawałek razowego chleba, który leżał obok dzbanka, mógł wystarczyć tylko na czas krótki.

Podczas długiej jazdy miała sposobność zamienić parę słów z Karią, która zwróciła przy tym jej uwagę, by jeżeli tylko nadarzy się okazja zaopatrzyła się w broń, zawsze się przyda.

Tej dobrej rady Emma posłuchała. Posiadała spory nóż i przekonała się jaką korzyść może on przynieść. Jeszcze trzymała za rękę jeść i postanowiła nie dać go sobie wyrwać.

Daleka jazda i ostatnie zdarzenia tak nadwreżyła jej siły, że zsunęła się na łożo i zalała rzewnymi łzami. Znajdowała się głęboko pod ziemią jako ofiara żądzы nieczułego złoczyńcy i nie miała żadnej nadziei, chyba tylko tę, że Sternauowi uda się ujść ręki morderców, którzy się zaczęli na niego i odnaleźć ich ślady.

Verdoja wrócił do swoich, którzy zostali przed wejściem.

Piramida ta, to pozostałość starej, meksykańskiej sztuki budowlanej. Była zbudowana z ciosowego kamienia na gruncie skalistym. Na tym samym gruncie wykopano przed rozpoczęciem budowy liczne komory i połączono je korytarzami. Piramida miała takie wykute komórki, w których książęta i kapłani chowali swoje tajemnice. Kamień porozsuwał się z biegiem czasu, a w szczelinach powyrastały krzewy. To naruszyło podstawami budowy.

Wierzch jej był zwietrzały i dzisiaj piramida wyglądała raczej na pagórek, cały porośnięty krzewami i kwieciami.

Ale wnętrza były jeszcze całkiem dobrze zachowane; komory i korytarze miały taką samą moc, jaką miały przed wiekami. Stara budowa leżała pośród posiadłości, które były niegdyś własnością przodków Verdoji. Jeden z nich szukał długo, lecz daremnie wejścia do wnętrza. Znalazł je wreszcie pod gruzami z kamienia i cegły. O tym nie powiedział nikomu, tak więc owa tajemnica na zawsze pozostała w rodzinie.

Od tego czasu niejedno zmieniło się w tej piramidzie. Działy się tam rzeczy, o których sądy meksykańskie nie miały nawet najmniejszego wyobrażenia, a posługacz, który wprowadził Verdoję i Emmę był strażnikiem budynku i zaufanym swego obecnego pana. Obaj dochowywali tajemnicy i wiedzieli, że jeden na drugim może całkowicie polegać.

Kiedy Verdoja powrócił z piramidy, odwiązano Karię. Zakryto oczy jej i porucznikowi Padero, który bez wahania dał sobie to uczynić, gdyż wiedział, że Verdoja tylko dla bezpieczeństwa i dochowania tajemnicy to czyni. Wewnątrz Padera mógł zdjąć z oczu przepaskę i chodzić gdzie mu się podoba, tylko wejście, jak powiedziano, było dla niego zamknięte.

Strażnik chwycił dziewczynę, a Verdoja prowadził Paderę. Doszli do celi, w której była zamknięta Emma. Obok znajdowała się podobna i tu miał znaleźć swoje więzienie piękna Indianka.

— Tymczasem — rzekł Verdoja do Padero. — Muszę rozkwaterować resztę jeńców. Wie pan, jak ma z nią postępować. Jeśli będziesz pan gotów, proszę tylko u wylotu korytarza zawołać i chwilę zaczekać.

Oddalił się ze strażnikiem, a Padero zdjął dziewczynie przepaskę z oczu i więzy z rąk, tak więc mogła już swobodnie ruszać członkami. Latarkę trzymał w ręce i przyglądał się dziewczynie pożądlivym wzrokiem.

— Teraz jesteś moją i żaden człowiek nie jest w stanie mi ciebie odebrać. Masz się tylko zdecydować, czy pragniesz odwzajemnić moją miłość dobrowolnie, czy będę cię musiał zmusić.

Oczy jej zabłyśły, ale nie pożądaniem, tylko dumą i gniewem. Ona, córka słynnego wodza, siostra co najmniej tak samo słynnego „króla *ciboleros*” nie czuła ani odrobiny strachu przed jednorękim porucznikiem.

— Tchórz! — odparła tonem najwyższej pogardy.

— Tchórz? — zapytał śmiejąc się. — Czy nie zwyciężyliśmy was? Czy nie wzięliśmy was w niewolę i nie przynieśliśmy aż tutaj?

— Wzięliśmy nas w niewolę podstępem, kiedy wszyscy spali. Mężczyzna nie walczy z kobietami. Czy Sternau nie wyrwał się wam? To jest mężczyzna, a wy nie byliście w stanie go zatrzymać. Jesteście jak wilki na prerii, które tylko nocą i to w przeważającej liczbie wychodzą na łup, ale z obawy wyją, skoro tylko usłyszą strzał. Jestem dziewczyną, ale obawiam się ciebie mniej niż zająca albo chrabąszcza, którego mogę zgnieść końcami palców.

Słowa te wymówiła tonem takiej pogardy, że nawet tak mało honorowy człowiek jak Padero, rozgniewał się śmiertelnie.

— Milcz! — zawołał. — Znajdujesz się w mojej mocy i tylko od twojego zachowania zależy czy rozdepczę cię, czy umilę twoje obecne położenie.

— Mnie rozdeptać? Ach, do tego, by rozdeptać siostrę Bawolego Czoła, potrzeba mężczyzny! Zginałbyś, gdybyś mnie tylko dotknął!

Stała przed nim z groźnie podniesionym ramieniem i była w tej rozkazującej postawie taka piękna, że rozpałała wszystkie jego zmysły. Przystąpił do niej i zdrową, lewą ręką chciał ją do siebie przyciągnąć. Wiedziała, co sama radziła Emmie. Chodziło jej tylko o to, by dostać jakkolwiek broń do ręki i dzielna Indianka bez żadnego lęku przystąpiła do Padero i wyrwała mu obiema rękami broń zza pasa: nóż i rewolwer. Zarazem tak silnie popchnęła porucznika, że

odleciał aż do drzwi. Teraz wymierzyła w jego stronę rewolweru, a w jej lewej ręce zabłysła ostra stal meksykańskiego noża.

— Bestio! — zawołał Pardero. — Czekaj, ja cię oswoję. Chciał się na nią rzucić.

— Ani kroku dalej! — zawołała.

— Ba, dziewczyna nie strzela i to tak, bez zastanowienia! — odparł kpiąco.

Latarkę już przedtem postawił na ziemi, a teraz rzucił się na Karię... i w tym momencie huknął strzał, z głośnym, bolesnym wyciem chwycił się Pardero za twarz. Kula roztrzaskała mu szczękę i zraniła język. Stał tak przez chwilę, potem jednak znowu rzucił się na nią.

— Diablico, odpłacisz mi za to! — wołał bełkocząc.

Natarł na nią, przytrzymując lewą ręką krwawiącą szczękę, ale nie był w stanie uchwycić dziewczyny. Wtedy w jej dłoni błysnął nóż i zanurzył się z ogromną siłą aż po samą rękojęść w piersi napastnika.

— *O, dios!* — zawołał i zachwiał się.

— Idź do piekła! — odpowiedziała.

Wyjęła nóż i ponownie wbiła między żebra. Teraz dopiero uderzyła w serce tak, że Pardero runął na wznak. W oka mgnieniu waleczna dziewczyna uklękła nad nim, wyrwała mu drugi rewolwer, torbę z prochem i kulami, zegar, torbę z żywnością, zabrała wszystko, co tylko miał przy sobie.

Wtem usłyszała z boku pukanie.

— Kto tam puka? — zapytała.

— Ja, Emma — brzmiała głucha odpowiedź.

Karia krzyknęła z radości, chwyciła latarkę i w sekundzie stanęła przed drzwiami sąsiedniej celi. Musiała wyteżyc całą swoją siłę, by odsunąć zardzewiały rygiel, a kiedy to się stało, naprzeciw niej stanęła Emma.

— Masz broń i światło, jesteś wolna! — zawołała.

— Jestem uzbrojona, ale jeszcze nie wolna — odpowiedział Indianka. — Ty wołałaś? Wiedziałaś, że byłam w pobliżu?

— Słyszałam dwa głosy, jeden męski, więc domyśliłam się, że ten drugi musiał być twoim. Potem usłyszałam wystrzał. Kto strzelał?

— Ja. Roztrzaskałam naprzód szczękę Pardera, a potem zakłułam go nożem.

Podniosła nóż skąpany we krwi.

— Mój Boże! To straszne — zadrzała Emma.

— Straszne? — zapytała Karia. — O, nie. To była samoobrona. Odebrał swoją nagrodę. Ale teraz musimy wykorzystać ten czas. Zamknąć się znowu przecież nie damy. Kto nas dotknie, zostanie zastrzelony. Teraz chodź, zbadamy korytarz.

Weszły ciemnym korytarzem w tym samym kierunku, z którego przyszły. Pieczara była ciasna i niska, powietrze gęste i stęchłe. Karia postępowała przodem. Nagle stanęła i zawołał radośnie:

— Co tam? — zapytała Emma.

— Szczęśliwy przypadek! Nie pozostaniemy w ciemności i nie będziemy umierać z głodu. Popatrz tylko tutaj!

Przy murowaniu korytarza pozostawiono głęboki, czworograniasty otwór, w nim leżał zapas *tortillos*, tak nazywa Meksykanin swoje placki kukurydziane, obok stała wielka, butelka napełniona oliwą.

— Co za szczęście! — zawołała Emma. — Myślałam, że zginiemy z głodu.

— Na pewno nie! Mamy placki, a ja mam oprócz tego torbę z żywnością, którą odebrałam od Pardero. Chodźmy dalej!

— Ale czy to bezpieczne poruszać się ciągle tymi korytarzami? Czy nie zabłądzimy gdzieś w tych murach?

— Nie. Wiem dokładnie, z której strony przyszliśmy. Wprawdzie oczy miałam związane, ale to mi nie przeszkadza, wiesz, że mam doskonałą orientację.

Szły pomału dalej i dotarły nareszcie do drzwi, przy których znajdował się ciężki, żelazny rygiel, jak było można zobaczyć, dopiero co polany oliwą. Drzwi były tylko przymknięte, kiedy więc je trąciły, weszły do drugiego korytarza, tworzącego z pierwszym ką prosty.

Karia była ostrożna i zbadła naprzód drzwi, również miały z drugiej strony rygiel, można więc je było zamykać z zewnątrz i wewnątrz.

— To wszystko było doskonale obmyślane — rzekła. — Zewnętrzny rygiel miał służyć odcięciu korytarza, w którym się znajdowały nasze cele, a wewnętrzny miał unicestwić poszukiwania naszych obrońców.

— Boję się, — rzekła Emma — gdy pomyślę co nas czekało.

— Ale minęło bezpowrotnie.

— Jednak co dalej?

— Mam nadzieję, że Sternau będzie nas szukał i odkryje to więzienie. Mamy broń, kule, oliwę i żywność. Będziemy się bronić i nie poddamy. Gdybym tylko wiedziała, w którym kierunku mamy się zwrócić, w prawo czy w lewo.

— Słuchaj!

Karia zamilkła. Obie dziewczyny nasłuchiwały. Usłyszały odgłos kroków, zbliżających się ku nim.

— Cofnij się, zamykamy drzwi! — rozkazała Karia. Oskoczyły rychło, pociągnęły drzwi za sobą i zasunęły rygiel.

Kroki się zbliżały i przeszły obok nich. Usiłowano otworzyć drzwi, uderzono je lekko, chcąc niejako spróbować, czy są otwarte, czy nie.

— Było ich więcej, niż jeden mężczyzna.

— Tak, zdaje się cztery osoby — odpowiedziała Karia. — Sądzę, że był to Verdoja i strażnik, którzy przyprowadzili Helmera i Maria — no. Stańli. Słuchaj o czym mówią.

Czterej idący nie oddalili się jeszcze daleko, kiedy dał się słyszeć głos Verdoji:

— Stój! Tu będzie jeden, a obok drugi. Naprzód!

Tak mijały minuty i nie dochodził żaden głos, aż dopiero po kilku chwilach usłyszano trzask rygla. Usłyszano kroki wracających dwóch mężczyzn. Przed drzwiami korytarza zatrzymali się i usiłowali je otworzyć.

— Aha, zamknął je — zaśmiał się Verdoja.

— Nie musiał tego czynić! — mruzczał strażnik. — Teraz musimy czekać.

— Ba, chciał żebyśmy mu nie przeszkadzali. Indianka jest prawie tak samo piękna, jak jej pani, a w każdym razie nie broni się tak jak ona. Ale już ja nauczę seniorę Emmę posłuszeństwa. Zresztą, nie mam wcale ochoty czekać na Pardero. On jest zmęczony. Może nawet zasnął przy swojej ukochanej, w takim razie byłoby głupotą czekać tutaj na niego, dopóki nie będzie się łaskaw obudzić.

— A kiedy zechce wrócić?

— To niech poczeka.

— Polecą może w korytarze i zabłądzi, albo zobaczy coś takiego, czego nie powinien widzieć.

— W takim razie zamkniemy najbliższe drzwi tak, że będzie mógł udać się tylko tym korytarzem, a tu już będzie musiał czekać na nas.

— A kiedy ze swojej celi pójdzie w drugą stronę?

— To nie zajdzie daleko. Tylnych drzwi nie sposób odemknąć, gdyż nie zna sposobu. Chodź, za godzinę pójdiesz po niego.

Odeszli, a obie dziewczyny odetchnęły z ulgą. Nadśluchiwały kiedy umilkną kroki, potem Emma zapytała:

— Co mamy teraz zrobić?

— Ocalimy Helmera i Mariano.

— Czy nam się to uda?

— Spodziewam się. Będzie nas już czworo, bez strachu pokonamy drani.

Odrygłowała drzwi, odepchnęła je i obie dziewczyny weszły w poprzeczny korytarz. Tam postępowwały naprzód, dopóki nie trafiły na dwoje drzwi leżących obok siebie. Karia zapukała, ale odpowiedzi nie było. Kiedy również do drugich drzwi zapukała, nie było odpowiedzi. Odsunęła rygiel i oświeciła lampą celę. Dwoma łańcuchami przykuta leżała przed nią męska postać.

— Senior Helmer! — rzekła poznawszy go. — Dlaczego pan nie odpowiada?

Zabrzczały kajdany, sternik poruszył się z ogromną radością. Nie wiedział kto otworzył drzwi, gdyż Karia oświeciła wnętrze, ale sama pozostała w cieniu. Teraz poznał japo głosie.

— Seniorita Karia! Skąd się pani tu wzięła?

— Oswobodziłyśmy się! — rzekła.

— Jak? O kim pani jeszcze mówisz?

— O senioricie Emmie!

— A to ona jest z panią?

— Tak, jestem — rzekła Emma i przestąpiła próg. — Karia zabiła Padero, zabrała mu broń i oswobodziła mnie. A teraz na pana kolej.

— A, Bogu dzięki. Ale czy Verdoja odjechał?

— Tak, wróci za godzinę.

— To mamy dość czasu. Senior Mariano leży w celi obok.

— Wiem, jego też oswobodzimy — rzekła Karia. — Ale jak zluźnimy wasze kajdany? Nie mamy klucza do kłódek.

— O, tu nie ma zamków ani kłódek, tylko żelaza tkwiące z tej i tamtej strony w ścianie, tak, że ich nie mogą osiągnąć. Proszę się tylko przyglądać, seniorita!

Było jak mówił. Leżał na krzyżach i był przywiązany za pomocą łańcucha jedną i drugą rękę w równoległe strony celi. Oba te łańcuchy były takie krótkie, że trzymały ramiona z dala od siebie. Karia na pierwszy rzut oka poznała, jakim sposobem można zluźnić łańcuchy. W momencie uwolniony Helmer rozprostował swoje silne, marynarskie członki, by im wrócić utraconą cyrkulację krwi.

— A do czorta! Szczęście w nieszczęściu! Ale musimy teraz pomyśleć o Mariano.

Wyszli i otworzyli następną komórkę. Mariano leżał tak samo jak Helmer. Nie odpowiadał na pukanie, gdyż sądził iż to jeden z jego oprawców. Skoro poznał wchodzące osoby, ogarnęła go prawdziwa radość.

Przywiązany był łańcuchami w taki sam sposób jak Helmer, dlatego uwolnienie go trwało krótko. Kiedy znowu poczuł się wolny, musiały obie dziewczęta opowiedzieć, jakim sposobem udało im się ocalić.

Mariano podał myśl, aby damy zatrzymały przy sobie noże a rewolwery oddały im, na dodatek cała trójka miała się trzymać razem, dla własnego bezpieczeństwa.

Prócz tego podzielono żywność na cztery części, każda osoba dostała swoją porcję. Cztery dzbany wody także rozdzielono. Helmer i Mariano wzięli rewolwery, które Padero miał przy sobie, a Helmer wziął również butlę z oliwą.

Korytarz, w który znajdowały się cele obu mężczyzn, był z jednej strony zamknięty drzwiami. Z niego dostać się można było na korytarz, który prowadził prosto do drzwi, rygle były już dawno zardzewiałe. Udało się wspólnym wysiłkiem odsunąć je, ale drzwi nie ustąpiły. Były to te same, przed którymi Verdoja rzekł: Nie może ich otworzyć, bo nie zna sposobu.

— Co robić? — zapytał Helmer. — Nic nie wskóramy.

— Możemy tę tajemniczą sprężynę odszukać, próbujmy, nie poddawajmy się! — rzekł Mariano.

Oświecali każdy cal drzwi, a otoczenie, wszelkie nawet najdrobniejsze wypukłości czy wklęsłości na drzwiach, w podłodze i ścianach dokładnie sprawdzali. Wszystko daremnie.

— Nie pomogą nasze poszukiwania — zauważył Helmer. — I tak stąd nie wyjdziemy. Musimy szukać ratunku w podstępie.

— Jakim sposobem? — zapytała Emma.

— Godzina, w której strażnik miał wrócić, już minęła. Musimy go pochwycić, a wtedy zmusimy go do wskazania drogi do wolności.

— To najpewniejszy i najlepszy środek — przytaknął Mariano. — Muszę zgasić latarkę, by nas nie zdradziła. Wróćmy do wyjścia z tego korytarza. Jeden z nas pozostanie na korytarzu, drugi schowa się za drzwiami. Kiedy łotr nadejdzie, schwytamy go i pokonamy.

— A my? — zapytała Karia.

— Schowacie się tymczasem w celi seniority Emmy. W drugiej leżą zwłoki Pardero, którym chyba nie zechcecie dotrzymywać towarzystwa.

Tak też się stało. Dziewczęta udały się do celi, Mariano został w ciemnościach korytarza, a Helmer ukrył się za drzwiami.

Czekali dość długo, dopóki daleki odgłos kroków nie dotarł do nich.

Strażnik nadszedł. Latarka jego rzucała światło na małą przestrzeń. Niepewny jej blask padł wreszcie na drzwi celi. Tu stanął strażnik.

— Senior Pardero! — zawołał półgłosem.

Nikt nie odpowiedział. Podeszedł bliżej i spojrzał na korytarz. Blask latarki padł na Mariano, który stał oparty o ścianę.

— Senior Pardero już gotów? — zapytał strażnik.

— Tak jest — odpowiedział udanym głosem zapytany.

— Więc wychodź. Senior Verdoja pojechał do hacjendy, mam pana przyprowadzić.

— A reszta?

Gdyby korytarz nie był taki wąski, wilgotny, duszny i ciemny, może by było trudno oszukać tego człeka, jednak postać Mariano była tak skąpo oświetlona, a głos jego miał dziwny ton, że strażnik sądził, iż naprawdę rozmawia z Pardero, odpowiedział więc:

— Wszyscy wrócili tutaj.

— Wszyscy?

— Tak. Senior Verdoja chciał wysłać kilku, ale ponieważ ten Sternau jest takim straszliwym i chytrym jegomościami, więc wrócili wszyscy, by go schwytać. Otrzymają swoją nagrodę dopiero wtedy, kiedy przyniosą go żywcem, albo jego głowę. Dlatego dołożą wszelkich starań, aby go złapać.

— Ale konie ich są już znużone.

Helmer poznał, że Mariano pragnął wybadać, o ile możliwości, jak najwięcej z planów Verdoji, ale dalsze prowadzenie rozmowy mogłoby być niebezpieczne. Podkraść się więc pod drzwi i stanął za strażnikiem, ten nie podejrzewając jeszcze niczego odpowiedział:

— Na razie udali się do hacjendy, gdzie dostaną nowe konie. Zresztą obaj złodzieje, Mariano i Helmer, są dobrze zamknięci i tego zakuci tak, że nie są w stanie uciec.

— Nie? — zapytał Mariano.

Wystąpił z cienia i w tej chwili Helmer złapał strażnika rękami za gardło. Napadnięty puścił latarkę na ziemię, jęknął, zamachał rękami w powietrzu, ruszył konwulsyjnie nogami, potem jął drzeć na całym ciele i wreszcie zawisł sztywny i bez ruchu na rękach obu mężczyzn.

— Dobrze, zemdlął. Zapalmy latarkę.

Położyli go na ziemię i zapalili lampkę. Leżał sztywny i wyciągnięty, oczy miał otwarte, a twarz niebieską wręcz ołowianą.

— On nie zemdlął, on nie żyje — zawołał Mariano.

— Nie, to nie możliwe — odparł Helmer. — Ja go tylko troszeczkę ścisnąłem.

— Popatrz tu senior, to nie barwa zemdlonego, lecz nieżywego, on naprawdę nie żyje, ale nie uduszony przez pana, on umarł ze strachu, gdy tak nagle został napadnięty.

— A do diabła! To możliwe! Wygląda jak człowiek rażony apopleksją. Dużo już takich ludzi widywałem. A to głupio z jego strony.

— Dlaczego?

— Bo nam nie wskaże wyjścia.

— Prawda, ale może i znajdziemy drogę bez niego. Musimy iść tym korytarzem, z którego on przybył.

— Brzmi to dość zwyczajnie, senior, ale te korytarze, to potworny labirynt, w którym można bardzo łatwo zabłądzić, a na dodatek istnieją tu, jak widzieliśmy, drzwi, których nikt nie jest w stanie otworzyć.

— Zobaczymy. Przede wszystkim trzeba zbadać, czy ten drab naprawdę nie żyje. Tu ma nóż, a za pasem pistolet. Mamy więc nową broń.

Mariano wziął nóż i zranił strażnika rękę. To, co wypłynęło z rany, nie można było nazwać krwią, był to wyjątkowo wodnisty płyn. Teraz obaj nasłuchiwali czy oddycha, może po upływie kwadransa przekonali się, że strażnik umarł.

— Dziwne! — rzekł Helmer. — Ten człowiek czołga się po tych korytarzach, nie czując obawy, a pada przy najlżejszym podmuchu. Zanieśmy go do Pardero, by panie nie potrzebowały go oglądać.

Uczynili to, przeszukawszy najpierw jego kieszenie. Znaleźli stary, tombakowy zegarek, który posiadał dla nich obecnie wysoką wartość, mały nóż kieszonkowy i sporą ilość cygar, które Meksykanin zawsze nosi przy sobie.

Kiedy trup leżał koło Pardero, zawołali damy i opowiedzieli jakie przytrafiło im się nieszczęście.

— Zdawało się, że człowiek ten nie znał strachu — rzekła Karia. — Senior Helmer ma ręce żeglarza i udusił go.

— Ani mi się śniło. Mógł on i być strażnikiem — odpowiedział Helmer. — Ale przede wszystkim był złym człowiekiem i miał nieczyste sumienie. Kto posiada takie sumienie, łatwo się da zastraszyć. Wiem jak obchodzić się z ludzkim gardłem, może być pani tego pewną. Ale nie mówmy już o tym. Popatrzmy raczej, czy zostawił nam wolną drogę.

Wyruszyli w poprzeczny korytarz. Postępując na prawo w kierunku, z którego przyszedł strażnik, natrafili na otwarte drzwi, które prowadziły do dalszego korytarza. Postępowali i tym korytarzem ciągle na prawo i doszli do skalistej ściany, dalej nie było drogi. Wrócili i przeszli lewą stroną korytarza. Dotarli do drzwi zamkniętych na dwa rygle. Odsunęli je, ale drzwi nie można było otworzyć.

— I te drzwi mają swoją tajemnicę — zauważył Helmer z rozczarowaniem.

— Zdaje się — rzekł Mariano. — Zbadajmy je.

Użyli w tym celu całej bystrości. Próbowali całymi godzinami, ale daremnie. Natężyli swoje siły, by wyjąć drzwi z zawiasów, ale to im się nie udało.

— Usiłowania nasze daremne — rzekł Mariano. — Musimy próbować drugiego napadu.

— Na kogo?

— Na Verdoję.

— Tak, on ma słuszość — rzekł Helmer. — Skoro strażnik nie przyprowadzi Pardera ze sobą, Verdoja będzie sądzić, że mu się przytrafiło jakieś nieszczęście. Przybędzie do piramidy, a my zaczekamy z taką samą zasadzką, jak na strażnika.

— Ale jeśli go pan również udusi? — zapytała Emma.

— Ani mi to w głowie! Schwyć go za gardło. Obaj z Mariano posiadamy dosyć siły, by go przytrzymać, potem przywołamy was. Będziecie go panie musiały związać, my zaś postaramy się, by zbyt mocno nie mógł się bronić. Chcąc uratować sobie życie będzie musiał wskazać nam drogę.

— To jedyny środek do wolności — rzekł Mariano. — Wróćmy do naszego korytarza.

— Na razie mamy dużo czasu — rzekła Karia. — Teraz jeszcze Verdoja nie oczekuje strażnika. Dopóki za nim zatekni, minie parę godzin.

— Niech więc panie próbują się przespać, my zaś będziemy czuwali.

Projekt przyjęto.

Dziewczęta urządziły sobie wspólne łóżce w celi Mariano i dostały zapaloną latarkę. Panowie zajęli swoje miejsca przy drzwiach, przy których schwytyli strażnika.

Tam, najlepiej było im pochwycić Verdoję w swoje ręce.

Ten zaś nie miał najmniejszego pojęcia o losie, który go czekał w dawnej świątyni. Wyruszył ze swoimi najemnikami do hacjendy, jego ojcowizny.

Hacjenda Verdoja leżała dwa dni drogi od stolicy prowincji, do Meksyku było tydzień jazdy konnej. Dlatego też przodkowie Verdoji byli prawdziwymi plantatorami, którzy hodowali bydło, polityka zaś sama była im obca. Był on pierwszym, który zarzucił ten zwyczaj. Był ambitny i chciał odgrywać pewną rolę. W Meksyku, kraju partyzantów, łatwa ale i zarazem trudna to rzecz. Miał jakieś przeczucie. Wierzył, że Juarez ma przed sobą wielką przyszłość i dlatego się do niego przyłączył. Pod śmiałymi rządami tego partyzanta, którego czas jeszcze wtedy nie nadszedł, doszedł Verdoja do rangi rotmistrza, teraz jednak jego debiut doznał brzydkiego końca. Dobrze wiedział, iż srogi Juarez nic więcej o nim nie chciałby wiedzieć.

Gdy dotarł do hacjendy, było już bardzo późno i nikt go nie oczekiwał. Wysłał w prawdzie posłańca z rozkazami dla strażnika, ale strażnik też miał przykazane, aby wobec wszystkich zachowywać milczenie.

Dlatego, gdy dotarł na miejsce wszystko było pogrążone w głębokim śnie. Musiał zbudzić kilku *vaqueros* i rozkazał im, aby przybyłych zaopatrzyli w świeże i silne konie. Skoro je tylko dostali, najemnicy pogalopowali w drogę powrotną. Byli przekonani, że złapią Sternaua albo go chociaż zabiją i tym sposobem otrzymają obiecaną zapłatę.

Dopiero teraz mógł Verdoja pomyśleć o sobie. Ciągle był kawalerem, dom prowadziła mu daleka krewna.

Przywitała go ze zdziwieniem. Wiedziała, że się znajduje razem z Juarezem w południowym Meksyku i dlatego też solidnie się wystraszyła zobaczywszy go wracającego w nocy. Przeraziła ją jeszcze więcej jego odstrzelona prawica. Już miała rozpocząć ubolewanie, ale Verdoja tylko burknął i kazał podawać wieszak.

Podczas jedzenia oznajmił, że przybędzie jeszcze jeden gość, niejaki senior Pardo. Dla niego także należy przygotować kolację i sypialnię. Potem, zmęczony udał się na spoczynek.

Kiedy się ocknął, już dawno świtało i stara czekała ze świeżą czekoladą. Wypijał ją nie mówiąc ani słowa. Gospodyni zaś mówiła bez przerwy. A to, że bardzo dobrze uczynił, wróciwszy do hacjendy, gdyż rewolucja ogarnęła już tę spokojną prowincję, Chihuahua a gubernator posłał po pomoc wojskową do Meksyku. Wskutek tego do Chihuahua przybyło kilka szwadronów jeźdźców, którzy dają się we znaki wrogom obecnego rządu.

Wiedziano już także, że Verdoja właśnie do nich należy, służył przecież pod Juarezem i dlatego w hacjendzie należało się spodziewać przybycia niepożądanych gości.

Verdoja przysłuchiwał się w milczeniu i nie wyrzekł ani słowa, nie dając poznać, czy wieść owa sprawia mu przykrość, czy nie. Wreszcie jednak zapytał, odsuwając próżną filiżankę:

— Czy senior Pardo już wstał?

— Senior Pardo?

— No tak, ten na którego czekałem wczoraj.

— A ten. Nie ma go jeszcze.

— Jak to? — zapytał zdziwiony. — A strażnik który go miał przyprowadzić?

— Tego również nie widziałam.

— Zaspałaś z pewnością, a oni sobie widocznie musieli jakoś poradzić.

Nasrożyła się i rzekła:

— Tu się wcale z człowiekiem nie liczą. Gdy goście przyjdą to ja muszę wykonywać rozkazy. Jeżeli ktoś ma przybyć w nocy, to ja w ogóle się nie kładę. Teraz też, czekałam, jednak daremnie.

Nie rzekł ani słowa, wstał i udał się do stajni. Nagle przyjechał z pastwiska jeden z *vaquerów* i oznajmił, że znaczny oddział dragonów pędzi ku hacjendzie.

Verdoja oczekiwał spokojnie na ich przybycie. Zajechali przed dom. Oficerowie zsiadli, a dowódca pozdrowiwszy po wojskowemu gospodarza, zapytał:

— Czy to hacjenda seniora Verdoji?

— Tak — odpowiedział właściciel.

— Właściciel służy w wojsku Juareza?

— Nie.

Oficer popatrzył zdziwiony na Verdoję i rzekł ostro:

— Senior, jesteście dobrze poinformowani.

— Wątpię w to — rzekł zimno.

— Senior — zauważył kapitan prawie groźnie. — Wiem i to bardzo dobrze, iż Verdoja znajduje się teraz w Potosi razem z Juarezem.

— Ha! Jeżeli pan tak dobrze jesteś poinformowany, to ja gorzej.

— Bez wątpienia. Widzisz pan, że rząd ma powód zainteresować się tą hacjendą. Mam rozkaz stanąć tutaj na kwatery.

— Z całym szwadronem? Na koszty hacjendy?

— Naturalnie.

— Protestuję!

— Jakim prawem?

— Prawem przysługującym właścicielowi. Jestem Verdoja.

— Jesteś pan krewnym właściciela?

— Jestem właścicielem. Znajduję się tutaj, a nie w Potosi. Widzi więc pan, który z nas obu jest lepiej poinformowany!

— A więc to była pomyłka?

— Tak mi się wydaje. Właśnie mam zamiar doglądać moich *vaqueros*. To jazda, której nie da się odłożyć. Proszę się rozkwatrować wedle upodobania, lecz pamiętajcie również o tym, że nie jestem odpowiedzialny za to, co tu uczynicie. *Adieu!*

Dosiadł swego konia i odjechał, nie popatrzywszy nawet na ani jednego dragona. Nikt z nim nie jechał i tak nie zauważony dotarł do piramidy. Zsiadł, zaprowadził konia w gąszcze i przywiązał.

Z tej strony skała miała liczne pęknięcia, w których rósł mech. Przy ziemi były rysy troszkę głębsze. Verdoja przykląkł i z całej siły nacisnął na skałę, wsunęła się do wnętrza. Teraz ukazał się otwór, na którego dnie były kamienne walce, obracające skałę. Otwór nie był wielki, tylko mocno zgięty mężczyzna mógł się dostać do lochu.

Verdoja zwrócił się do bocznego zagłębienia i zasunął skałę na dawne miejsce.

W tym zagłębieniu stały latarki, takie, jakie nosił strażnik. Verdoja zapalił jedną z nich i poszedł korytarzem, który ciągnął się w głąb skały. Po jakimś czasie szedł schodami w górę, potem znowu w dół, prosto i tak doszedł do skalistych komórek. Przechodził poprzez cele, otwierał drzwi i zamykał je lekkim naciśnięciem ręki, przy tych ruchach rozlegał się ostry, metaliczny dźwięk. Ściany i podłoga były bardzo wilgotne.

Tym tajemniczym sposobem otworzył jeszcze parę drzwi, nawet drzwi, nad którymi łamali sobie głowę biedni jeńcy. Do przejścia miał jeszcze drzwi, które strażnik zostawił otwarte i wreszcie znalazł się w korytarzu, w którym leżały cele Helmera i Mariano.

Wszystkie drzwi skrupulatnie za sobą zamykał, nie spodziewając się, że w korytarzu czeka na niego niemiła niespodzianka. Sądził, że Pardoero wciąż towarzyszy Indiance, że nie poszedł ze strażnikiem i że ten z jakiegoś ważnego powodu nie mógł wrócić do hacjendy.

Tak myśląc, szedł pomału naprzód i skręcił w korytarz, w którym leżały więzienia dziewcząt. Naraz światło latarki padło na twarz Mariano. O razu go poznał, równocześnie z tyłu złapały go czyjeś silne ręce.

— Stój! Mam go! — krzyknął Helmer.

— Jeszcze nie — ryknął Verdoja.

Wyrwał się i wymierzył Mariano, który również chciał go pochwycić tak silne kopnięcie, że ten padł na ziemię. Rzucił się do ucieczki, długimi skokami biegł naprzód trzymając latarkę w ręce.

W jednej chwili zrozumiał co się stało; Padero i strażnik musieli zostać zabici, gdyż w innym przypadku jeńcy nie mogliby się swobodnie poruszać. Chodziło o to, by im się wyrwać i postarać się o to, by nie znaleźli wyjścia. Dlatego nie walczył dalej, tylko puścił się do ucieczki.

— Za nim! — zawołał Helmer. Mariano podniósł się w jednej chwili.

— Bez kobiet? — zapytał.

— Tak! — odpowiedział.

— A jeśli je zgubimy. Wezmę je ze sobą.

— Ja jednak biegnę naprzód.

Skoczył za uciekającym, Mariano zaś wrócił po Emmę i Karię. Nie było to jednak konieczne, stały już za nim z latarkami w rękach. Karia była na tyle przezorna, że chwyciła butelkę z oliwą.

— Chodźcie prędko, prędko! — zawołał i pobiegł za Helmerem. Temu udało się tymczasem prawie dopędzić Verdoję, który dotarł do drzwi. Otworzyły się przed nim chociaż nie ruszył rygla. Z tyłu ukazało się ciemne miejsce, w którego środku otwierała się czarna otchłań. Nad nią prowadziła deska.

Verdoja stanął na niej w chwili, gdy Helmer zjawił się pod drzwiami. Deskę, zadrzała i zatrzęszczała. Miał jeszcze dwa kroki do brzegu przepaści... nagle deska złamała się.

— *O Dios!*

Z głośnym krzykiem, podniósłszy obie ręce do góry runął w ziejącą przepaść. Słychać było jak ciało jego uderzyło o grunt.

— O Boże! — zawołał Helmer, stanąwszy nagle w drzwiach. — On roztrzaskał się na kawałki.

— Gdzie? — zapytał Mariano.

— Tu, na dole.

Nadbiegły też dziewczęta. Emma podchodząc do przepaści chciała zamknąć za sobą drzwi, ale Mariano pochwycił ją w samą porę.

— Na Boga, seniorito! Nie można zamykać tych drzwi, gdyż później ich nie otworzymy i będziemy musieli stać nad przepaścią. Przez nianie zdołamy się wydostać, a tu jest tyle miejsca, że będziemy mogli tylko stać.

Tak rzeczywiście było. Przestrzeń, przed którą stali w otwartych drzwiach, była czworokątna, ale w ziemi otwierał się otwór szeroki na pięć łokci. Przy blasku latarki spostrzegli, że kiedyś musiała tu być studnia.

Z głębi dały się słyszeć przytłumione dźwięki. Helmer przykląkł i zawołał w dół:

— Verdoja! Odpowiedzią był głuchy jęk.

— Jest pan przytomny? — zapytał Niemiec.

Usłyszano znowu to samo jęczenie, ale poznano, że to miała być odpowiedź. Nie można było odróżnić ani jednego słowa.

— Możemy pomóc? — zapytał jeszcze raz Helmer.

I teraz nie można było się nic dowiedzieć z przykrego jęku.

— On jest zgubiony. Studnia ma co najmniej trzydzieści łokci głębokości — zauważył Mariano.

— Ma to na co zasłużył — dodała ponuro Karia. — Ale co będzie z nami?

— Drzwi otwarte, może w końcu odkryjemy tajemniczą sprężynę — rzekła Emma.

Oświetlili wejście i ku swojemu zdziwieniu spostrzegli, że boczne części drzwi posiadały dziwny aparat, którego znaczenie w otwieraniu było niewątpliwie istotne. Samej tajemnicy nie zdołali odkryć, chociaż natężali swoje mózgi na wszystkie możliwe sposoby. Przeskoczyć przez przepaść było nieprawdopodobieństwem. Jęk unieszczęśliwionego stawał się wręcz nie do zniesienia. Wrócili znowu do korytarza, w którym się przedtem znajdowali. Drzwi zostawili otwarte, podłożywszy pod nie słomy, by przypadkiem nie zamknął ich przeciąg.

Stanęli i patrzyli na siebie, nie wiedząc jak sobie poradzić w tej trudnej sytuacji.

— Może on zostawił otwarte bodaj jedne drzwi, zanim przyszedł do nas.

Szli korytarzem aż do drzwi, które już raz znaleźli zamknięte i teraz sytuacja nie ulega zmianie, ani pomysłowość, ani wysiłek nie były w stanie tutaj nic poradzić.

— Jesteśmy zamknięci i skazani na śmierć głodową — rzekła Emma.

— Jeszcze nie — pocieszał ją Mariano. — Bóg nam nie da zginąć.

— Musimy pilnie szukać i ciągle próbować — zauważył Helmer. — Może nam się jeszcze uda zbadać tajemnicę tych przeklętych drzwi.

— Nie odkryjemy tego — rzekła Karia. — Pomoc może przybyć tylko ze strony Sternaua.

— A jeżeli i on się tutaj nie dostanie? Jeżeli go złapią i zabiją?

— On jest roztropny, może mu się uda umknąć. Zresztą z tej przyczyny, nie musimy tłuc głowami o mur. Mamy przecież do tego dobre narzędzia.

— Jakie?

— Noże.

— A prawda! — zawołała Emma. — Poprzecinamy drzwi. Helmer nie mógł mimo strasznego położenia powstrzymać się od śmiechu.

— Nie o tym myślałem, seniorita. Drzewo to twardsze jest od żelaza. Byłaby to olbrzymia robota na co najmniej kilka lat. Ale zachodzi pytanie, czy potem dostalibyśmy się do właściwego wyjścia. Na dodatek jedne drzwi nie mają dla nas wartości. Mamy tu otwarte drzwi i nie możemy zgłębić ich tajemnicy. Sądzę że należy odbić trochę muru, który otacza ramy drzwi. W tej części leży tajemnica!

— Słusznie! — przytaknął Mariano. — Do dzieła!

— Jest jeszcze środek, który jeżeli się tylko uda... — zauważyła Karia.

— Jaki? — zapytał szybko Helmer.

— Ukręcmy linę i ktoś z nas zejdzie na dół, do Verdoji. Jeżeli on żyje, to musi nam powiedzieć, jakim sposobem otwierają się te drzwi.

— Z czego skęcimy linę? — zapytał Helmer.

— Z rzemieni, którymi byliśmy związani. Znajdują się one jeszcze w celach, dalej z ubrania obu nieżyjących i z naszego, o ile okaże się to konieczne. Są także prześcieradła, które przyniesiono dla seniority Emmy i dla mnie. Leżą w mojej celi. Jeżeli je porozcinamy i powiążemy mamy gotową linę.

Radę jej przyjęto. Powiązano porozcinane rzemienie, ubranie Pardoera, strażnika, prześcieradła, a kiedy lina była gotowa, miała ponad trzydzieści stóp długości. Chcąc wypróbować jej moc ciągnęli z całej siły na wszystkie strony, nie urwała się. Marian wyraził chęć udania się w głąb otchłani, był lżejszy od Helmera.

Miano dwie latarki, jedną przyczepił sobie Mariano do pasa. Udali się nad studnię. Mariano przywiązał linę pod pachami i oświadczył, że do góry nie trzeba będzie go wciągać, sam się wdrapie po linie. To miało sens. Po pierwsze, łatwiej mu było wspinać się samemu, po wtóre, przy wciąganiu w górę, lina mogła się przetrzeć o jakiś ostry kamień, a wtedy zleciałby podobnie jak Verdoja.

Były cztery dzbany z wodą, jednym z nich polano linę, aby nadać jej elastyczność i moc. Potem wzięto się do dzieła.

— W imię Boże! Teraz w dół! — rzekł Mariano, spuszczać się w otchłań.

Helmer był silny, mógł go spokojnie utrzymać. Śmiały młodzieniec zniknął wkrótce w czarnej gardzieli. Helmer spuszczał linę bardzo powoli i nadzwyczaj ostrożnie, obie damy klęczące na brzegu studni przyglądały się ciągle znikającemu blaskowi jego latarki.

— Na Boga, a jeśli on się udusi! — krzyknęła Emma. — Studnia jest bardzo głęboka, musi wytwarzać bardzo śmiertelne gazy.

O tym nie pomyślano wcześniej, ale Helmer potrząsnął głową i zapytał:

— Seniorita słyszy ciągle jęki Verdoji?

— Tak, brzmią strasznie.

— A więc to jęczenie jest znakiem, że on jeszcze żyje. A już dawno by się udusił, gdyby tam były jakieś trujące gazy.

Po jakimś czasie nie znać było napięcia liny. Mariano dotarł na dno, a trzy osoby w górze słuchały z wielkim napięciem, co się będzie działo.

Studnia nie była okrągła, ściany jednak miała gładkie. Nie było niebezpieczeństwa dla liny. Przed setkami lat była w niej woda, ale wyschła. Mariano stał na skale, która była zewsząd otoczona piaszczystą warstwą ziemi.

Teraz młodzieniec poszukał Verdoji. Ten leżał zgięty jak pies i jęczał tak straszliwie, że nie można było na niego patrzeć. Wargi miały pokryte krwawą pianą, oczy były otwarte i przytomne.

— Nie krzycz pan, tylko odpowiadaj — rzekł Mariano. — Przychodzę panu pomóc.

Nieszczęśliwy przestał na chwilę jęczeć i popatrzył na swojego zbawiciela oczami, w których było widać piekielną złość i nienawiść.

— Gdzie Pardo? — zapytał.

Ale widać było po nim, że każde słowo sprawia mu ogromny ból.

— Nie żyje — odpowiedział Mariano.

— A strażnik?

— Także.

— A dziewczęta?

— Są obie razem z nami.

— Mordercy!

Chciał zacisnąć pięść, ale mu nie wyszło. Obie bowiem ręce miał złamane.

— Nie bluźnij! — rozkazał ostro Mariano. — Sam jesteś wszystkiemu winien, a mimo to uratujemy cię

— Wy? Jak? — zapytał Verdoja.

— Wyciągniemy pana liną w górę i zabierzemy do hacjendy. Skrzywione z bólu oblicze Verdoji wypogodziło się na chwilę, potem jednak spochmurniało, a on rzekł:

— Jak się stąd wydostaniecie?

— Powiesz nam, jak otwierać drzwi i którądy iść.

— Aha, wy nie wiecie!

Szatańska radości wykrzywiła jego oblicze jeszcze bardziej i dodał:

— Musicie zginąć z głodu, pragnienia, tęsknoty!

Każde z tych słów wypowiedział w coraz to wyższym tonie a ostatnie wręcz piszczał. Miał ogromne zadośćuczynienie za swoje boleści i to zagłuszyło jego cierpienia.

— Nie zginiemy — rzekł Marian. — Pan chcesz być zdrowy oraz wolny i dzięki temu my też nie zginiemy.

— Wolny, zdrowy! Ach! — stęknął Verdoja. — Nigdy! Ręce złamane! Krzyże złamane! Muszę umrzeć!

— Nie umrze pan! Żyć będziesz i to dzięki nam. Zechciej nam zaufać?

— Nigdy! Przenigdy! Wy musicie umrzeć! Cierpliwość Mariano wyczerpała się.

— Człowieku, sam siebie skazujesz na zagładę!

— Chcę tego! — odparł Verdoja. — Wy musicie zginąć, musicie dostać się do piekła!

— Czy to pańskie ostatnie słowo? Wyszczrzył zęby i uśmiechnął się straszliwie.

— Ostatnie, ostatnie, ostatnie!

— Dobrze. Moja dobra wola się skończyła, teraz nastąpi groźba — rzekł Mariano. — Skoro nie pomagają prośby ani własna chęć życia, to nie ma innego środka, jak zmusić diabła do rozmowy i wyznania. Nie mamy bowiem wcale chęci, dla pańskiej przyjemności i w jego towarzystwie zginąć w tych murach.

Ukląkł przy Verdoji, schwycił jego ramiona w miejscach, gdzie były złamane i ścisnął z całą mocą. Torturowany złoczyńca wydał z siebie taki krzyk, że Mariano sądził, iż usłyszą go nawet poza piramidą.

— Jak otwiera się drzwi? — zapytał.

— Nie powiem! — ryczał Verdoja.

— Musisz powiedzieć, nie popuszczę!

Ponownie ścisnął w tym samym miejscu. Krzyk Verdoji z przyczyny tych niezmiernych bóleści podobny był do wycia dziesięciu tygrysów, a mimo to nie dał oczekiwanej odpowiedzi. Nic nie pomogło. Mariano schwycił więc za nogi, ale one były bez czucia. Verdoja miał złamaną dolną część kręgosłupa i śmiał się szyderczo widząc bezskuteczność wysiłków Mariano.

— Śmiej się, śmiej szatanie! Są jeszcze inne bóle.

Nie mógł zapanować nad gniewem. Chwycił ręce rannego bandyty i rzucił nimi z taką siłą, że jak sądził, odpadną od tułowia. Verdoja wrzasnął straszliwie, ale i tak nie odpowiedział na pytanie.

— Człowieku, jesteś skończonym łajdakiem! — zawołał. — Giń więc, skoro tego chcesz. Nam pomoże Bóg.

Pociągnął za sznur dając znak, że chce wracać na górę. Skoro Verdoja to spostrzegł, podniósł głowę, plunął za młodzieńcem i zawołał:

— Bądźcie przeklęci! Przeklęci! Przeklęci!

Te słowa przywiodły na myśl Mariano nowy pomysł. Jeszcze raz przykląkł koło Verdoji i przeszukał jego ubranie. Znalazł zegar, pieniądze, rewolwer, nóż i inne drobiazgi. Zabrał wszystko.

— Rabuś! — zawołał Verdoja.

— Nam będzie to potrzebne, tobie zaś nie, drabie!

Jeszcze raz spróbował linę i wspinał się po niej. Na górze opowiedział, co i jak się zdarzyło i opisał tortury zadawane zbójowi, dziewczęta cofnęły się z przerażenia, a Helmer rzekł:

— Dlaczego pan tego szatana nie zabił?

— Ani mi to w głowie. Nie chce zostać uratowany, gdyż wtedy i my musielibyśmy być wolni, to niechaj ginie, wedle życzenia.

— Nie pozostaje nam nic innego, jak wziąć za noże i rozłupywać boczne kamienie przy drzwiach. Gdy poznamy konstrukcję jednych drzwi, wtedy wszystkie inne z pewnością otworzymy.

Powrócili znowu do drzwi zamkniętych przez Verdoję i wzięli się do roboty.

* * *

Tymczasem dragoni zakwaterowali się w hacjendzie Verdoji a oficerowie czekali na powrót właściciela. Minął dzień, wieczór i noc, a Verdoji wciąż nie było. Rotmistrz był więc przekonany, że ten uciekł i uważał hacjendę za teren nieprzyjaciela. Miał za zadanie odciąć zarzewie powstania idącego z północy, od prowincji Sonory, a ponieważ okolice były do tego celu za słabe, to posłowie udali się do wodzów indiańskich, a Komancze okazali chęć pomocy. Przyszli wielkimi masami, ale ich właściwym zamiarem nie było bronić rządu

meksykańskiego, tylko w mętnej wodzie łowić ryby i o ile możliwości wśród ogólnego zamieszania zdobyć jak najwięcej i wrócić z tym do swoich chat.

* * *

Podczas kiedy w hacjendzie Verdoji roіło się od wojska, del Erina była prawie pusta.

Pedro Arbellez, noc, w której mu porwano córkę, spędził z Helmerem na hacjendzie Vandaqua. Skoro na drugi dzień rano pocziwa Maria obudziła się, pierwszą jej czynnością, jak zwykle było przygotowanie dla Emmy i Karii czekolady. Kiedy ją przyniosła do pokoju dziewcząt i nie zastała ich, zdziwiła się bardzo.

Nieładu, a nawet śladów walki nie spostrzegła. Na to Verdoja zwracał baczną uwagę, a kiedy się okazało, że także, Sternau, Helmer i Mariano opuścili hacjendę, stara piastunka pomyślała, że młodzi wybrali się na ranną wycieczkę.

Skoro jednak minęło południe, a towarzystwo nie wracało, zaczęła się martwić. Uspakajała się tylko myśląc, że cała piątka udała się do Vandaqua, aby sprawić niespodziankę ojcu i ukochanemu Emmy.

Jednak gdy don Pedro powrócili z Antonim Maria zrozumiała, że stało się wielkie nieszczęście i przywitała obu mężczyzn płaczliwym głosem:

— Wracacie sami? A gdzie pozostali?

— Kto? — zapytał Pedro.

— Bo stało się nieszczęście, straszne nieszczęście!

— Co takiego?

— Bo ich tu nie ma!

— Kogo, do diabła!

— Seniora Sternaua.

— Seniora Sternaua? Dlaczego?

— I seniora Mariano!

— Tego także?

— I seniora Helmera!

— Trudno? Ale to tęgie chłopcy, nic im się złego nie stanie.

— Ale oni wyruszyli już rano!

— To wrócą.

— I seniorita Karia także.

— Hm, i ona?

— I seniorita Emma!

— A do diabła, obydwie?

— Tak.

— Dokąd się udali?

— Nikt nie wie.

— Kiedy wyruszyli?

— Nie wiem i nikt nie wie. Teraz hacjendero się przeraził.

— Nie mówili nikomu o wycieczce? Chciałbym wiedzieć dokąd się udali, wyjechali konno?

— Nie.

— Był ktoś tutaj?

— Tak, posłaniec od Juareza.

— W którym pokoju spał? Pokaż prędko!

Chwycił starą za rękę i pociągnął za sobą. W pokoju znaleźli dużo piasku, Helmer wyciągnął spod łóżka linową drabinę. Rabusie pozostawili ją, przez czystą nieuwagę.

Arbellez krzyknął przerażony i zaraz chciał wszcząć alarm, Helmer go jednak powstrzymał.

— Poczekaj pan! — zawołał. — Nie trzeba na darmo wzniecać paniki. Widać że stało się coś niezwykłego, ale zbadamy to w spokoju. Proszę udać się do pokoi dziewcząt i sprawdzić, czego brakuje.

Maria wyszła. Arbellez drżał z niepokoju. Helmer również, ale starał się panować nad sobą. Patrzył w okno. Był traperem i jako Piorunowy Grot umiał często odnaleźć ślady zbrodni. Kiedy ponownie zwrócił się do Arbelleza był bardzo blady.

— Uprowadzono ich! — rzekł.

— O święta Madonno, jak to możliwe? — zapytał Arbellez wystraszony.

— No, cóż musimy zachować spokój. Pod tym oknem stało dużo ludzi, widać to po śladach. Przeszli przez ogrodzenie i dostali się oknem do pokoju. Ziarna piasku przyczepiły im się do podeszwy. Napadali na naszych pojedynczo. Dziwi mnie tylko, że mogło się to stać tak spokojnie, bez hałasu, że nikt nawet tego nie zauważył.

Arbellez ze strachu stracił mowę i Helmer dopóki nie wróciła Maria nie mówił już nic więcej. Oznajmiła że u obu pań brakuje po jednej sukience i po jednej kołdrze.

— Chodźmy więc do pokoi naszych panów — rzekł Helmer. U Mariano znaleźli nie pościelone łóżko, tak samo jak u Helmera, resztą była w porządku, u Sternaua łóżko było nawet nie tknięte. Helmer potrząsnął głową.

— Teraz na podwórze, muszę wszystko dokładnie oglądnąć. Obeszli budynek. Helmer z przodu, przyglądał się każdemu centymetrowi podwórza, także wzdłuż ogrodzenia, a wreszcie rzekł:

— Wiem już, co się stało. Rzekomy posłaniec był szpiegiem, miał on wpuścić pozostałych do budynku. Tu, na tym miejscu przeszli przez płot. Sternau podejrzewał kogoś i wyszedł na patrol, doszedł aż tutaj, o w piasku widoczne są jego ślady. Tu go uderzono z tyłu i powaliwszy, zawleczono w ten oto kąt. Widzę dokładnie że tam mógł leżeć. Potem wleźli przez okno, ale z domu wyszli nie przez nie, więc musieli się wyjść bramą. Do ogrodzenia przyszli z południa, więc najprawdopodobniej w tym kierunku wracali. Musimy to sprawdzić.

Zaprowadził Arbelleza za bramę i szedł ciągle na południe, przyglądając się ziemi i nie mówiąc ani słowa doszedł do krzaka, przy którym zatrzymał się trochę dłużej.

— Czekaj pan tutaj dopóki nie wrócę.

Oddalił się i uczynił wielki łuk naokoło miejsca, w którym stał Arbellez. Kiedy wrócił rzekł:

— Jestem gotów. Moje przypuszczenia okazały się prawdą. Uprowadzono panu córkę, moją narzeczoną. O, gdybyśmy wrócili dzisiaj rano, to już może byłbym teraz siedział na karkach rabusiów! A tak mają nade mną dzień przewagi.

Arbellez załamał ręce i zawołał:

— O moje dziecko, o moja córko! Kto mógł to zrobić?

— Verdoja i Pardero, nikt inny. Jeden umizgiwał się do Emmy, drugi do Karii. A mężczyźni napadli, by się zemścić za pojedynki. Ale jako żywo, dopóki nazywam się Piorunowy Grot, nie dam im spokoju.

Oczy jego zabłyśły, postać jakby nieco urosła. Nie był to już chory; osłabiony pacjent, tylko dawny traper, który w tej chwili poprzysiągł srogą zemstę, straszną, nieubłaganą.

— Ale co ja mam czynić? — zapytał Arbellez.

— Złapiemy ich, chociaż poczuli sobie bardzo chytrze. Podzielili się na pięć części i wyruszyli stąd w rozmaitych kierunkach. Każda grupa wzięła ze sobą jednego pojmanego, piętnastu zbirów, pięciu jeńców. Z pewnością, z tamtej strony góry istnieje punkt, w którym się łączą.

— Musimy pędzić za każdym oddziałem z osobna?

— Nie. Rabusiem jest Verdoja. Ten nie śmie się pokazać, w Durango. Mieszka w Chihuahua, z pewnością tam się uda. Musi więc przebyć Mapimi i jestem pewny, że na krańcu tej pustyni łączą się ich ślady. Gdybym miał tu koło siebie Bawole Czoło albo Niedźwiedzie Serce, to miałbym pewność, że za sześć dni Emma będzie z nami.

— O Antoni! — zawołał hacjendero. — Weź wszystkich moich *vaqueros*. Ja sam z wami wyruszę! Tylko ocalcie mi córkę.

— Nie obawiaj się, ojcze. Jaja ocalę. Ale z twoich *vaqueros* daj mi tylko dwóch, Francesca i jeszcze jednego, którego odeślę z powrotem, skoro tylko wpadnę na dobry ślad.

— A kiedy wyruszyście?

— Muszę dostać sześć koni, bym jutro miał świeże zwierzęta. Kiedy wrócili do hacjendy, domownicy stali zgromadzeni, Maria Hermoyes nie umiała milczeć, zaalarmowała wszystkich. Arbellez udzielił im informacji i wydał polecenia, przy czym łzy spływały mu po policzkach.

Helmer udał się do swego pokoju, wziął ubranie trapera, potem przeglądnął jeszcze raz pokoje porwanych i skoro już konie były osiodłane, załadowano na nie amunicję i inne drobne rzeczy, które mogły się przydać pojmanym.

— Znajdę ich, co to będzie za radość! — rzekł Helmer. Pożegnał się czule z hacjenderem i wskoczył na konia, żegnany i błogosławiony na drogę. Wszyscy trzej wyjechali w kierunku zachodnim.

Pedro Arbellez został w domu. Chętnie pojechałby z nimi, szukać swego jedyne dziecko, ale nie mógł zostawić obu plantacji bez nadzoru. Staremu, pocziwemu hacjendero pozostała tylko modlitwa.

Antoni Helmer, Piorunowy Grot, miał jeszcze trzy godziny do zmierzchu i wykorzystał je z największą starannością. Przypuszczał, że rabusie wyjechali z hacjendy del Erina dopiero po północy, a więc mieli dwanaście godzin przewagi, dlatego spodziewał się, ich dopędzić. W ciągu dnia pędzono galopem, wieczorem nie zwolniono biegu. Pięć oddziałów rabusiów z pewnością tak jak on nie pędziły. Spodziewał się, że dotrze na miejsce ich spotkania prawie w tym samym czasie.

Obliczenia okazały się słuszne. Ze swoimi towarzyszami dostał się do podnóża gór, a dwie godziny potem, jak Verdoja z czterema jeńcami kierował się drogą na zachód.

Tam znaleźli ślady, które ciągnęły się wzdłuż gór na północ. Zeszli z koni i zbadali je.

— Sześć koni — rzekł Piorunowy Grot. — A więc dwa oddziały już się złączyły, spodziewam się, że spotkanie reszty nastąpi wkrótce.

Minęło zaledwie dziesięć minut, a słowa jego spełniły się. Doszli do miejsca odpoczynku rabusiów i widzieli sposób w jaki oni grupowali się koło ogniska. Widać było odciski leżących na ziemi jeńców.

— Tu leżał Sternau — rzekł Helmer. — Poznają to z ciekawych znaków. Sternau to doświadczony człowiek prerii, który zna wszelkie podstępny. Mógł się spodziewać, że rabusie będą ścigani i dlatego starał się, o ile możliwości pozostawić widoczne ślady. Tu leżały nogi, widać, że obcasy obuwi wbili specjalnie w ziemię. Tu z lewej i z prawej strony wcisnął swoje łokcie, a tam w górze, dokładne odbicie głowy. Tak czyni tylko bardzo wytrawny myśliwy i z tego samego już mógłbym wnioskować, że Sternau nim jest. Ale jeszcze więcej utrwala mnie w domysłach długość odcisków jego ciała. Sternau jest najwyższy i najsilniejszy, tylko on mógł tutaj leżeć.

Wskazał na kilka bardzo energicznych odcisków nogi bezpośrednio przy ognisku. Patrzył na nie z uwagą.

— Ach, tutaj stał Sternau, to jego noga. Inny stał wprost przed nim, a reszta wokoło. Co tu się mogło stać? Jeśli wstał, to musiano mu ściągnąć więzy z nóg. Czy znalazł może sposób na to? A jeśli tak, to z pewnością umknął albo padł, bo trzeciej możliwości nie ma. Popatrzmy dalej.

Niebawem zawołał:

— Wiem już! Zdjęto mu więzy nie tylko z nóg, lecz także z rąk. On musiał, musiał się uratować!

Obaj *vaqueros* patrzyli na mówiącego ze zdziwieniem. Nie przypuszczali, że z tych wszystkich śladów można było wyczytać coś podobnego.

— Skąd to pan wnosisz? — zapytał Francesco.

— Powiem wam. Tu klęczał Sternu i mężczyzna, który stał naprzeciwko niego. Musiał go badać czy coś podobnego. Sternau jest lekarzem. Miał więc pacjenta przed sobą. Potem wstali obaj. Widzicie jak głęboko wbił tutaj Sternau swoje pięty w piasek i jak przeciwnie, drugi tylko wielki palec wcisnął. Sternau musiał ciężar ten mieć w rękę, musiał schwycić i podnieść. Kierunek jego nóg wskazuje tam dalej.

Powoli doszli do przekonania, że Sternau musiał się wyratować.

— Ten Sternau to bohater, nieporównany bohater! Nie można nawet pojąć, jak mogło mu się udać pobić tylu żołnierzy.

Pojechali dalej. Bystre oko Helmera spostrzegło dosyć wysoki kopiec z piasku. Nie mógł być on dziełem wiatru, musiał go usypać człowiek.

— To z pewnością znak Sternaua — rzekł Piorunowy Grot. — Musimy oglądnąć tę kupę piasku.

Sięgnął rękami w głąb i wyciągnął złożony papier, rozwinął go i przeczytał następujące słowa:

Uciekłem, reszta jeszcze w niewoli, są jednak zdrowi i żywi. Mam dwa konie i dość amunicji. Verdoja powalił mnie uderzeniem na ziemię na podwórze. Pardo i trzynastu Meksykanów było przy nim. Wdarli się oknami do pokoi i obezwładnili wszystkich. Zapomniano przeszukać moje ubranie. Mam papier i ołówek, więc zostawiam ten znak. Pojmani będą uwolnieni nie troszczcie się. Kierujcie się tylko za mną. Ślady moje uczynię widoczne.

Godzina 9 rano.

Sternau.

— Hurra! — zawołał Piorunowy Grot. — Teraz wszystko w porządku! — a zwracając się do drugiego *vaquero* rzekł: — Francesco zostaje przy mnie, ty zaś wracaj z umęczonymi końmi do domu i zanieś seniorowi Arbellezowi tą kartkę. Będzie to dla niego wielka pociecha. Powiedz mu jeszcze, że jesteśmy godzinę drogi za Sternau — em. Był tutaj o dziewiątej rano, teraz dochodzi dziesiąta. Naprzód! Spiesz się!

Zmieniono konie. Potem pocwałowali w kierunku wschodnim na pustynię Mapimi, ciągle bardzo widocznym śladem Sternaua. *Vaquero* zaś wrócił bardzo chętnie, nie miał bowiem ochoty poznać się bliżej z tą okrutną pustynią.

Konie Piorunowego Grota i Francesca były rześkie i pędziły niby wichura, ale ponieważ Sternau także nie spacerował, to nie szybko mogli go dopędzić.

Minęło już popołudnie, gdy wreszcie ujrzeli na równinie dwa maleńkie punkty.

— To on i wolny koń! — rzekł Helmer. — Musimy go dopędzić nim zapadnie noc.

Dali koniom ostrogi, co właściwie nie było potrzebne i pędzili z jeszcze większą szybkością, niż pociąg pospieszny. Znowu minęło pół godziny, punkty zwiększały się. Poznano dokładnie jeźdźca i luźnego konia. Widziano nawet jak jeździec podniósł rusznicę przed siebie i ponad głową ją zdjął.

— Już się obrócił i zobaczył nas — rzekł Helmer.

— Uważa nas za wrogów — zauważył Francesco.

— Dlaczego?

— Bo nie czeka na nas.

— Mój ty dobry Francesco. Jesteś tęgim *vaquero*, ale nie człowiekiem prerii. Jeśli chciałby na nas czekać, to straci na czasie, a tu droga jest każda minuta. Nocą nie możemy widzieć śladów rabusiów. Wtedy stajemy, oni zaś jadą nocą. A więc my musimy jasność dnia wykorzystać do ostatniej sekundy.

— Ale my możemy przecież być kimś zupełnie innym.

— Tym rozsądniej byłoby z jego strony nie zatrzymywać się ani na chwilę. On już wie, że jesteśmy po jego stronie.

Teraz podniósł Piorunowy Grot swoją strzelbę i machnął nią koło głowy, to wystarczyło. Sternau wiedział, że ma za sobą znajomego, a ten mógł tylko pochodzić z hacjendy del Erina.

— Zbliżamy się do niego — zauważył Francesca.

— Naturalnie. Musiał zabrać konie jakie były, my zaś wyszukaliśmy sobie najlepsze. Popatrz, teraz zmienia konia.

Zobaczyli jak Sternau w galopie ze swojego konia przeskoczył na siodło drugiego rumaka.

— Nie stara się nawet podczas przesiadania zwolnić tempa i nie zrobi tego nawet, by nas pozdrowić, kiedy się z nim zetkniemy. To Książę Skał i wie dobrze o co chodzi.

Odległość między jeźdźcami zmniejszała się ciągle, mogli się już nawet słyszeć.

— Panie Sternau — zawoła Helmer po niemiecku. Zawołany zwrócił w tą stronę twarz.

— A, pan Helmer! Poznałem pana.

— Po czym?

— Tak jedzie tylko prawdziwy traper, a w hacjendzie del Erina był nim tylko pan. Ale naprzód, szybko!

W parę minut był przy Sternaule.

— Witam. Dzięki Bogu za jego łaski! — rzekł podając obu ręce. — Znaleźliście moją kartkę?

— Jest już w hacjendzie. Wysłaliśmy przez posłańca.

— Dobrze. Ale dlaczego obławowaliście swoje konie tylu pakunkami?

Piorunowy Grot zaśmiał się.

— Są to rzeczy konieczne. Pamiętałem o uzbrojeniu panów, których chciałem ocalić, dlatego zabrałem to wszystko. Pański strój i broń mam także.

— Doprawdy? — zapytał ucieszony — i moja niedźwiedziówka i sztucer, rewolwery moje i tomahawk?

— Wszystko, wszystko! Uzbrojenie Mariano i mojego brata też.

— Dziękuję panu! To wspaniale. Mam nadzieję, że galop nie przeszkadza nam w rozmowie, jak tam w hacjendzie? Kiedy odkryto napad?

Piorunowy Grot opowiedział, a potem Sternau zrelacjonował całą historię porwania.

Przy tym nie zmniejszano prędkości. Zapadła noc i trzech mężczyzn byli zmuszeni stanąć. Na szczęście było w tym miejscu trochę trawy dla koni, jednak zabrakło drzewa na ognisko, więc noc spędzili w ciemnościach.

Rozmawiano mało. Chodziło przede wszystkim o wypoczynek i dopiero o świcie Helmer zauważył:

— Te draby jechały zapewne całą noc.

— Z pewnością. Wiedzą, że pędzą za nimi. W każdym razie zatrzymają się nad ranem i tę pauzę musimy wykorzystać, aby ich dopaść.

Na tych obszarach nie ma świtu ani zmierzchu. Dzień i noc zmieniają się błyskawicznie. Sternau wyrzekł swoje słowa jeszcze wśród ciemności, pięć minut potem było już jasno, piękny dzień i trzech jeźdźcy znowu jechali po obszarze pustyni Mapimi.

Na południowej granicy Nowego Meksyku i Arizony w dorzeczu rzeki Rio Grandę del Norte, znajduje się wyżyna, która na wschodzie i północnym wschodzie łączy się z pastwiskami Komanczów. Zaś sama wyżyna należy do Apaczów, żyjących w wiecznym śmiertelnym konflikcie z Komanczami.

W OBOZIE APACZÓW

Tych Komanczów wezwano do Meksyku, na pomoc wojskom rządowym. Bardzo chętnie się tam wybrali, spodziewając się wrócić z bogatym łupem. Wyruszyli w kilka tysięcy, ale nie naraz i otwarcie, tylko podzielili się na plemiona i odbywali swoją drogę po kryjomu, aby ich śmiertelni wrogowie Apacze nie spostrzegli.

Może tydzień przed opowiedzianymi wypadkami wrzało już na południu małej prerii. Była to bowiem pora, w której bawoły rozpoczynały swoje wędrówki w stronę północy.

Słońce stało wysoko i oświecało krwawe widowisko. Jak daleko sięgało oko, wszędzie leżały cielska pozabijanych bizonów. Jak daleko sięgało oko widziano postacie o miedzianej skórze „robiące mięso”, jak wyraża się mieszkaniec prerii. Dokoła paliły się liczne ogniska, nad którymi syczały soczyste pieczenie. Tysiące sznurów i rzemieni wisało na palach, a na nich długie, wąsko krajane kawały mięsa bizonów. Suszyły się na słońcu i powietrzu. Pośrodku tej pełnej życia prerii stały trzy namioty. Sporządzone były ze skór bawolich, ozdobione orlimi piórami — pewny znak, że służyły za schronienie wodzów. Dwa były puste. Przed trzecim zaś namiotem siedział stary Indianin, wytatuowany od stóp do samej głowy. Gołe ciało owinał wygarbowaną skórą jelenia. Obok niego leżała długa flinta. Na ciele jego było widać liczne blizny, włosy były związane na podobieństwo hełmu, tkwiło w nich pięć orlich piór.

Był to Rączy Koń, jeden z największych wodzów Apaczów. Włos jego posiwiiał, zaś on sam nie miał już siły polować na wielkiego bizona. Jednak serce jego było młode, a umysł bystry. Dlatego też, w czasie wszystkich ważnych narad przy ognisku, zajmował główne miejsce. Słowa jego miały większe znaczenie niż głosy całej setki walecznych wojowników.

Nie mogąc polować, siedział przed namiotem i przyglądał się widowisku, jakie urządziły trzy, zaprzyjaźnione z Apaczami plemiona.

Równinę porastały pojedyncze, ale także skupione krzaki, wyglądające jak wyspy. I tu odbywały się najbardziej widowiskowe pojedynki między Indianami a bizonami. W pobliżu trzech namiotów rosły gęste krzaki. Stary wódz, prawie nie zwracał na nie uwagi, jednak jego bystre oko zauważyło, że małe gałązki poruszały się od pewnego czasu.

Schwycił flintę. Myślał, że może jakiś drobny zwierz zaplątał się tam, a ponieważ jego ramię za słabe już było, aby zabić bizona, pragnął bodaj tu spróbować szczęścia i celnie strzelić. Oko jego poznało ciemne miejsce pośrodku krzewów. Tam musiał siedzieć zwierz. Podniósł lufę i już miał zamiar położyć palec na spust kiedy z krzewów wyszedł mężczyzna.

Nie był to Apacz! Skąd wziął się w krzakach pośród polujących Apaczów? Przyszedł jako wróg? Musiał być bardzo sławnym strzelcem, inaczej nie udałooby mu się niepostrzeżenie przedostać aż do środka terenu myśliwskiego Apaczów.

Rączy Koń zatrzymał palec na spuście, obcy zaś podniósł lewą rękę na znak, że przychodzi w pokojowym zamiarze. Był ubrany w skórę bawoły i miał bardzo ciężką, starą dubeltówkę w ręce. U pasa było widać oprócz torebki z amunicją tylko nóż i tomahawk. Twarz jego była czerwono-brunatna, nie mógł to być biały.

Nie mówiąc ani słowa usiadł po lewicy Apacza, położył strzelbę, nóż i tomahawk daleko od siebie i dopiero teraz dał dowód pokojowego usposobienia, odzywając się czystym narzeczem Indian:

— Synowie Apaczów mają dzisiaj bardzo dobre łowy. Wielki Duch sprzyja swoim walecznym dzieciom.

Stary Apacz był na wskroś przekonany, że ma przed sobą bardzo sławnego wojownika, rzekł jednak obojętnie:

— Apacz idzie na łowy, by „robić mięso”, ale umie on nie tylko trafić bizona, lecz także wroga.

— Rączy Koń powiedział prawdę — rzekł obcy.

Oblicze starego zajaśniało dumą.

— Jesteś obcym, a znasz mnie! — rzekł.

— Nie widziałem ciebie nigdy, ale sława Rączego Konia przesadza góry i prerie. Kto go zobaczy, od razu pozna.

— Rączy Koń jest wodzem, nosi orle pióra i siedzi zawsze na swoim wierzchowcu, skoro tylko opuści obóz — rzekł stary.

Przybysz zrozumiał o co chodzi, dlatego odpowiedział:

— Inni wodzowie również mają wierzchowce, ale ukrywają je wybierając się na zwiady. Mają również prawo noszenia orlich piór i skalpów więcej niż stu wrogów, ale nie chcą tego pokazać mężowi, z którym się zaraz spotkają. Włos ich jeszcze nie posiwiiał, mimo to jednak wiedzą, że odrobina chytrłości jest czasem lepsza, niż cały namiot prochu i kul.

Zaimponowało to staremu ogromnie. Dużo orlich piór i więcej niż stu wrogów. Tym się nie mógł pochłubić nawet sam Rączy Koń, dlatego rzekł:

— Obcy mąż jest dzielny i przebiegły. Wśliźnie się między synów Apaczów. Udaje się to tylko sławnemu wojownikowi. Obcy nie jest Komanczem. Synowie Apaczów są na łowach, a nie w pochodzie wojennym. Topór wojny pogrzebany. Czy obcy przybywa wypalić z nami fajkę pokoju?

— Już ją z nimi palił.

— Obcy jest więc przyjacielem Apaczów?

— Jest ich bratem. Każdy z Ikarillos zna go. Dlatego przybywa poszukać ich sławnego wodza, który nazywa się Shosh-in-liett, Niedźwiedzie Serce.

Teraz oblicze starego straciło swój obojętny wyraz. Rzucił zdziwionym, ale przyjaznym okiem na sąsiada i rzekł:

— Obcy jest bratem Niedźwiedziego Serca?

— Tak jest.

— Ma prawo nosić orle pióro i sto czterdzieści skalpów ze swoich wrogów.

— Jeszcze więcej.

— Znam go więc. On jest Mokaszi-motak, Bawole Czoło, wódz Misteków. Jest on królem *ciboleros* i dlatego nie nosi orlich piór, zostawiając je w swoim wigwamie.

— Rączy Koń odgadł. Czy brat mój Niedźwiedzie Serce znajduje się z wojownikami Apaczów?

— Tak. On sam zabił dzisiaj więcej jak dziesięć bizonów. Wódz Misteków może z nim mówić. Niech zostanie naszym bratem, a wojownicy Apaczów zostaną jego braćmi i nie zabiją go.

Po śmiałym, poważnym obliczu Bawolego Czoła przeleciał lekki, bardzo lekki uśmiech i rzekł:

— Wojownicy Apaczów nie pojmaliby go i nie zabili nawet gdyby byli jego wrogami. Bawole Czoło nie zna nikogo, kogo by miał się obawiać.

Stary przytaknął dłuższym milczeniem, a potem zapytał:

— Czy mam zawołać wojownika, który ma zabrać twojego konia?

Zapytany zaprzeczył mówiąc:

— Wojownicy Apaczów są bardzo zajęci zabijaniem bizonów. Bawole Czoło uda się sam po swojego konia. Nie jest hańbą dla wodza doglądać konia, który go nosi.

Wstał i poszedł.

Skradał się od krzaka do krzaka przez najwęższą część prerii, a mimo to nie zobaczył go żaden Apacz. Uważali, że są tak wyjątkowo bezpieczni, iż zaniedbali zwykłej ostrożności. Do tego każdy jego ruch był tak opracowany i chytry, że byłby oszukał nawet uważnego wroga.

Preria, którą właściwie można było nazwać końcem wielkiej sawanny, przytykała do potężnego, dziewiczego lasu, który ciągnie się aż do samych gór. Bawole Czoło skręcił w ten las, przeszedł niejeden dół, a wreszcie miał zamiar zejść w jedną z rozpadlin, kiedy usłyszał z

dołu głośne stapanie i łomot łamanych krzewów. Popatrzawszy w dół ujrzał bizona, który z otwartej prerii wpadł tutaj, uciekając przed Indianinem na koniu. Jeździec miał na plecach kołczan, w lewej ręce łuk, w prawej długą, elastyczną dzidę na bawoły, stokroć dla tych zwierząt niebezpieczniejszą niż kula. Był to zaledwie dwudziestoletni młodzieniec. Starszy, bardziej doświadczony wojownik byłby się pokusił raczej na mięso samicy, niż na twarde mięso samca i nie wpadło by mu do głowy zapuszczać się na niebezpieczny teren za takim potężnym zwierzem. Młodzieniec jednak dał się porwać zapałowi myśliwego i pędził za nim przez zarośla tak, że wiszące konary biły go po twarzy.

Tak zapędzili się w wąską, krótką rozpadlinę, gdzie na samym końcu stał koń Bawolego Czoła. Zwierz poznał, że dalej nie może pędzić. Pochylił swoją głowę ukrytą zupełnie pod straszliwą grzywą i rzucił się do odwrotu, kiedy Indianin wypuścił dzidę w miejsce, które najłatwiej można zranić, poza i powyżej okolicy, gdzie rośnie grzywa.

Jednak dzida nie dosięgła celu. Bizon został zraniony, dyszał parą z nozdrzy, pochylił znowu swój łeb i ostrymi rogami rozpruł końskie ciało. Koń padł na ziemię w jednej chwili.

Indianin ocalał szybko zeskakując na ziemię. Nie miał innej broni jak strzały i nóż. Wystarczyła chwila, aby wyjął strzałę z kołczanu i napiął łuk, strzała tylko zagwizdała i utkwiała w oku bawoła. Ale zwierz miał jeszcze jedno widzące oko. Zaryczał chrapliwie, stał chwilę spokojnie, potem pochylił znowu łeb do pchnięcia, które teraz byłoby śmiertelne. Wtem obok Indianina huknął strzał, który rzucił łeb bizona w bok, straszliwy skurcz wstrząsnął jego kolosalnym cielskiem, padł najpierw na przednie, potem na tylne kolana i zwałił się nieżywy!

Skoro Bawole Czoło zrozumiał, jaki smutny koniec musiała mieć walka, zeskoczył ze stromej ściany i wypalił. Kiedy Indianin obrócił się w jego kierunku, on już zwyczajem myśliwych nabijał na nowo strzelbę.

— Czy mięso samca bizona smakuje mojemu bratu więcej niż samicy? — zapytał spokojnie. — Czy zabija mój brat chętniej bizona w lesie, niż na otwartej prerii? Niech mój brat czyni na przyszłość tak, jak lepiej i roztropniej!

Mimo ciemnej skóry młodzieńca, można było poznać, że się zarumienił. Zaraz jednak podniosła dumnie głowę i odpowiedział gniewnym tonem:

— Co cię to obchodzi, gdyby mnie bizon zabił?

— Czy brat mój nie ma ojca, któryby go opłakiwał? — zapytał Misteka.

— Mój ojciec nazywa się Rączy Koń — odparł Indianin z dumą.

— A jak się ty nazywasz?

— Imię moje brzmić będzie po wszystkich górach i lasach.

— Czyli, że nie masz jeszcze imienia? To gdybyś tutaj zginął, nikt nie umiałby powiedzieć kogo tu pogrzebano. Młody brat mój uniknął ogromnej hańby. Niechaj będzie ostrożniejszy, a z pewnością będzie kiedyś nosił bardzo sławne imię.

U Apaczów mianowicie, młody wojownik otrzymuje dopiero imię, kiedy wykona pierwszy czyn bohaterski i zdobędzie skalp nieprzyjaciela. Hańbą jest być zabitym młodo, nie mając jeszcze imienia.

Dlatego na słowa Bawolego czoła, Apacz wyjął nóż i rzekł:

— Czy mam zabrać twój skalp i potem nosić twoje imię? Bawole Czoło zaśmiał się i odpowiedział:

— Ja bym dziesięć razy twój ściągnął, nim ty raz dostałbyś mój.

— Spróbuj.

Po tym krzyku schwycił Apacz Mistekę za pierś i zamierzył się do ciosu, lecz lotem błyskawicy pochwycił Bawole Czoło rękę trzymającą nóż i ścisnął z taką mocą, że młodzieniec krzyknął z bólu i wypuścił nóż z ręki.

— Od kiedy to Apacz krzyczy, czując ból? — zapytał Misteka. — Od kiedy to zabija Apacz tego, który mu ocala życie? Miałbym teraz prawo i sposobność ściągnąć twój skalp, lecz daruję ci życie, gdyż tam nadchodzi inny, z którym godniejszą jest rzeczą walczyć.

Pokazał na przeciwny brzeg jaru, tam rozsunęły się krzewy i ukazał się niedźwiedź.

Nie był to mały, brunatny niedźwiedź, tylko ogromny siwy niedźwiedź górski, którego w Ameryce nazywają grizzly. Kiedy stanie prosto jest często wysoki na dziewięć stóp i ma dość siły, by największego wołu zanieść w dalekie okolice. Jest najstraszliwszym drapieżnikiem kontynentu amerykańskiego. Kto zabije siwego niedźwiedzia, ten uchodzi za większego bohatera, niżby zabił stu nieprzyjaciół i zdobył ich skalpy.

Niedźwiedzia zwabił koń, którego zwietrzył. Skoro jednak zobaczył przed sobą łatwiejszą zdobycz, to zwrócił się przeciwko niej.

— O, gdybym miał strzelbę mego ojca — zawołał młody Apacz.

Apacz mianowicie dostaje strzelbę dopiero po otrzymaniu imienia.

— Masz moją — rzekł Bawole Czoło.

Młodzieniec patrzył nań zdziwiony. Było dla niego niepojęte, ba nawet niemożliwe, zrezygnowanie z takiej sławy i zdobyczy. Kiedy zrozumiał, że obcy mówi poważnie, chwycił z głośnym krzykiem strzelbę, naciągnął oba kurki i pobiegł naprzeciw niedźwiedzia.

Bawole Czoło także wyciągnął swój nóż, skoczył z łukiem na przeciwny koniec i tym sposobem stanął za niedźwiedziem. Chciał czuwać nad walką i gdyby miała sprowadzić nieszczęście na Apacza, to rzuciłby się z nożem na zwierza.

A niedźwiedź widział tylko młodzieńca. Był może od niego o jakieś sześć kroków, gdy podniósł się na tylnych łapach. Wykorzystał to młodzian. Wymierzył. Wypalił w żebra, w okolice serca i w tej chwili odskoczył na bok zwróciwszy drugą lufę na zwierza.

Niedźwiedź postąpił jeden, dwa... pięć kroków naprzód, potem stanął, wyrzucił z siebie niski chrapliwy pomruk, po czym gruby strumień krwi buchnął mu z pyska i padł na ziemię.

— To było dobre! — zawołał Bawole Czoło — Niedźwiedź trafiony w samo serce. Brat mój ma twardą i pewną rękę. Nie zadrzał i dlatego będzie kiedyś sławnym wojownikiem. Ma więc teraz prawo otrzymać imię, a ja będę jego przyjacielem, dopóki mi wielki Mani — ton użycy lat!

Apacz nie zadrzał w obliczu wielkiego drapieżnika, teraz trzął się jednak z radości.

— Czy on naprawdę nieżywy? — zapytał.

— Tak, brat mój może zabrać sobie skórę, a łeb nasadzi na dzidę jako znak zwycięstwa, jako wspomnienie pierwszego bohaterskiego czynu.

Apacz oddał mu strzelbę i przykląkł koło niedźwiedzia. Był więcej uradowany niż niejeden biały, gdy otrzymuje najwyższe order. Zaraz też rzucił się, by ściągnąć skórę ze swojej zdobyczy.

Bawole Czoło nabił strzelbę i poszedł do swego konia, odwiązał go i odjechał. Nie chciał przeszkadzać w radości Apacza, a ta była tak wielką, że młodzieniec nawet nie zauważył odjeżdżającego.

Kiedy Bawole Czoło dotarł do prerii słońce już schowało się za horyzontem i za pół godziny miała nastać noc. Widział Apaczów, którzy ciągnęli zabite bawoły do swoich namiotów, gdzie już kilkuset wojowników zgromadziło się ze swoją zdobyczą.

Przed drugim namiotem stał młody wódz z trzema orlimi piórami we włosach. Był to Niedźwiedzie Serce. Przystąpił do Bawolego Czoła i wyciągnął rękę na powitanie.

— Serce moje tęskniło za tobą — rzekł. — Dziękują za to, że cię mogę znowu oglądać. Bądź gościem mego namiotu i zapal *kolumet* z moimi braćmi.

Wojownicy stojący kołem spoglądali z uszanowaniem na sławnego wodza Misteków i utworzyli szpaler, gdyż Niedźwiedzie Serce powiedział o nim innym wodzom, siedzącym przed namiotem Rączego Konia. Powstali i podali mu ręce. Wkrótce zapłonął ogień, dużo bizonich żeber piekło się nad nim; niebawem z ognisk utworzyło się półkole, w środku którego

siedzieli trzej wodzowie ze swoim gościem. Smażące się mięso wydawało zapach, który zaostrzał apetyt nawet najwybredniejszym podniebieniem, a promienie rzucały refleksy aż na prerię, gdzie nie było nikogo prócz wilków zwabionych oparami przelanej krwi bawolej.

Brakowało tylko syna Rączego Konia. Wszyscy o tym wiedzieli, nie mówił jednak nikt.

Podczas przygotowania uczyty nie mówiono w ogóle. Towarzyskie spotkania i zabawy Indian, mają zawsze początek w milczeniu.

Nagle oczy wszystkich zwróciły się ku strasznej, dziwacznej postaci, która pomału zbliżała się. Był to młody Apacz. Ściągnął skórę niedźwiedzia razem z głową. Tę głowę założył na swoją, a skóra odziewała go jak szeroki, ogromny płaszcz. Niedźwiedź był tak wielki, że płaszcz włóczył się jeszcze po ziemi.

Zatrzymał się przy ognisku wodzów. Zdziwił się, zobaczywszy przy nich obcego pomocnika, nie zdradził tego jednak żadnym wyrazem. Miał w rękach obie łapy niedźwiedzie i złożył je przed Bawolim Czołem. Było to pełne uszanowanie, a dla innych zadziwiające poświęcenie. Poznali z tego, że Bawole Czoło pozostaje w pewnym związku z zabiciem niedźwiedzia, i że on ma być dawcą imienia, ojcem chrzestnym młodego syna wodza. Ale żaden nie przemówił słowa, nawet Rączy Koń. Widziano jak oczy starego błyszcząły radością, że jego najmłodszy syn dokonał tak bohaterskiego czynu.

Wreszcie, kiedy nie czuć już było tłuszczu, który skąpy wał w ognisko i kiedy kawały pieczeni zaczęły się rumienić, Rączy Koń ujął fajkę pokoju, wstał i zaczął mówić:

— Dzisiaj spotkała wojowników Apaczów wielka radość, bo oto przybył wielki wódz Misteków, Bawole Czoło, druh naszego brata Niedźwiedziego Serca, by z nami zapalić *kalumet*. Ręka jego jest silna, noga chyża, myśli są mądre a wszystko co on czyni, to bohaterstwo. Witamy go!

Położył węgiel na tytoń i pociągnął z fajki sześć razy, dmuchając ku niebu, ziemi i czterem stronom świata. Potem podał fajkę gościowi, który się podniósł i odezwał tymi słowami:

— Synowie Apaczów są wielkimi i dzielnymi wojownikami, nawet ich chłopcy zabijają siwego niedźwiedzia jedną kulą, nie mrugnawszy nawet brwią.

Oczy wszystkich zwróciły się po tych słowach na syna wodza. Ten dowiedział się ze słów ojca, jakiemu to sławnemu człowiekowi zawdzięcza taką dobroć i serce jego drżało z rozkoszy. W oku starego błysła łza radości, kiedy usłyszał, że syn jego wyróżniony został przez takiego męża i wódza w ogólnej przemowie. Takiego odznaczenia jeszcze nikt nie dożył.

Bawole Czoło ciągnął dalej:

— Wódz Misteków przybył do was, by wam przynieść pewną wiadomość. Usłyszycie ją wtedy, kiedy odbędzie się uczta. Wasi wrogowie są jego wrogami, wasi druhowie, jego druhami. Daje swoje życie za każdego syna Apaczów i będzie się cieszył, jeżeli połączy sławę Misteków, z waszą sławą.

Po tych słowach zaciągnął się fajką w opisany sposób sześć razy podał ją Niedźwiedziemu Sercu. Ten podał następnemu wodzowi, ten następnemu i tak poszła fajka w koło. Tylko syn Rączego Konia nie śmiał jej wziąć do ust, gdyż nie miał jeszcze imienia.

Kiedy ukończono tę ceremonię, poczęto jeść. Straszliwe kawały bawolego mięsa zginęły w zadziwiająco krótkim czasie, a potem oznajmił stary, że wszyscy są gotowi usłyszeć wiadomość z ust Bawolego Czoła...

Ten wstał i jął mówić:

— W Meksyku wybuchł wielki spór. Wojownicy i mężowie nie są zadowoleni z wodza, którego sobie wybrali. Jest to blada twarz, która nie czyni tego, co do niej należy. Wybrali sobie innego wodza imieniem Juarez. Silny on jak bawół, chytry jak pantera i doświadczony we wszelkich sprawach, które znać powinien każdy wódz. Posłuchał głosu ludu i chce swoich uczynić szczęśliwymi. Dlatego otoczył się dzielnymi wojownikami i kroczy przez kraj zbierając wszystkich, którzy doń należą. Tego przestraszył się terażniejszy wódz i on wysłał posłów do synów Komanczów, aby ci mu pomagali. Wodzowie Komanczów utworzyli wielką

naradę i obiecali swoją pomoc. Teraz wyruszają w sile kilkuset wojowników, ciągnąc w stronę Meksyku. Chcą stanąć między tym krajem a błoniami Apaczów. Jeśli im się to uda, to wojownicy Apaczów są odcięci od południowych pól i będą odepchnięci ku górą, gdzie cierpieć będą wielki niedostatek, gdyż zima niedługo. Nowy wódz Meksykanów lubi jednak dzielnych wojowników Apaczów. Nie chce, by ich psy Komanczów wypchnęły z ich terytoriów, dlatego przysłała mnie, bym powiedział, że chce się z wami połączyć i odpędzić nieprzyjaciela. Komancze znajdują się już na wojennej wyprawie, ale jeśli Apacze wyruszą zaraz i postawią się między pustynią Mapimi a miastem nazwanym Chihuahua, to Komancze nie pójną dalej i polegą na pustyni. Jeżeli wojownicy Apaczów wysłuchają mego głosu, to zdobędą dużo skalpów i odniosą wielkie zwycięstwo.

Po tych słowach usiadł. Zgromadzeni tymczasem milczeli, aż Rączy Koń rzekł:

— Słowa naszego brata brzmią mądrze. Nowy wódz, Juarez jest czerwonym mężem, którego głosu milej nam słuchać niż jakiejś bladej twarzy. Synowie Apaczów nie dadzą się przepędzić przez tchórzów Komanczów. Rączy Koń prosi teraz wodzów, by zabrali głos.

Wtedy wstał Niedźwiedzie Serce i przemówił:

— Tu stoi brat mój Bawole Czoło. Jest on sławnym wojownikiem. Nie obawia się żadnego wroga, a na języku jego leżą słowa prawdy. Nigdy nie zrobi i nie zażąda niczego takiego, co by przyniosło szkodę synom i córkom Apaczów. Zabijałem z nim Komanczów i przyniosę sobie z nim jeszcze wiele ich skalpów. Komancze są już w drodze i dlatego nie można tracić czasu. Tu są zgromadzone trzy narody Apaczów, by „robić mięso” na zimę. Jestem wodzem jednego z nich. W tej chwili wyruszamy, jeżeli drugie narody obiecują nam przygotować dla nas mięso na zimę i przyjść potem za nami.

Trzeci wódz, syn starego, także zabrał głos:

— Brat mój Niedźwiedzie Serce powiedział prawdę. Wojownicy Apaczów nie myślą tracić czasu. Jeden z rodów musi wyruszyć zaraz, ale który to ma być, czy mój czyjego, o tym postanowi rada.

Tak więc wszystkie trzy szczepy wyraziły wolę pomocy. Musiano jeszcze zapytać o zdanie czarownika. Ma on wielki wpływ na każdą sprawę. Szczególnie ważną jest jego zgoda na wyprawę wojenną. Jeżeli powie, że wyprawa się nie poszczęści, to nie będzie ona przedsięwzięta.

Człowiek ten ma wszelkie insygnia swojej godności, dziwnie uformowane skalpy, torebki, pęki włosów, laseczki i chorągiewki. Okrył się skórą świeżo zabitego bizona, nałożył oznaki swojej godności i począł taniec, który tym potworniej i dziwacznie wyglądał, że oświetlały go dogasające ogniska.

Indianie przyglądali się z pobożnością i spokojem, chociaż taniec zabrał dużo czasu. Nareszcie czarownik zatrzymał się, wziął dwie główne i przyglądał się kierunkowi dymu. Potem rzucił badawczy wzrok w stronę gwiazd i zwiastował głośnie słowy:

— Wielki Duch Manitou gniewa się na płazy, które nazywają się Komanczami. Daje je w ręce Apaczów i nakazuje, aby wojownicy Niedźwiedziego Serca wyruszyli, skoro słońce po raz wtóry się podniesie. Inne szczepy pójną za nimi, skoro osuszą mięso na zimę.

W słowach tych było nie tylko pozwolenie bóstwa na pochód, ale też w szybki i praktyczny sposób rozstrzygnięto pytanie, które plemię ma ruszyć pierwsze: Niedźwiedziego Serca. Ludzie ci krzyczeli radośnie. Mieli cały dzień na przygotowanie się do pochodu wojennego. To ich bardzo ucieszyło, gdyż bez przygotowania, do którego szczególnie należy obrządek malowanie się, Indianin nie wierzy w szczęśliwy wynik bitwy.

Po załatwieniu tych spraw Rączy Koń mógł dopiero wspomnieć syna. Ten siedział nieporuszenie i nie przemówił ani słowa. Teraz jego ojciec zapytał:

— Mój syn przybrał się w skórę niedźwiedzią. Czy ma do tego prawo?

— Zabiłem go — odparł młodzieniec.

— Sam?

- Zupełnie sam.
- Jaką bronią?
- Strzelbą, którą mi pożyczył sławny wódz Misteków. On jest moim świadkiem.

Wtedy Rączy Koń zwrócił się do Bawolego Czoła i rzekł:

— Wódz Misteków jest świadkiem walki z niedźwiedziem, gdyż łapy tego leżą u jego nóg. Niechaj opowie co widział.

Bawole Czoło opowiedział krótko o zajściu, unikając przy tym wszystkiego, co mogłoby młodego chłopca zasmucić. Kiedy skończył, Niedźwiedzie Serce wstał i rzekł:

— Syn Rączego Konia zabił grizzly. Potrzebował do tego jednego strzału. Znaczy to więcej, niż dwudziestu tchórzliwych synów Komanczów. Serce jego silne, ręka twarda, oko pewne, zasłużył na to, by go przyjąć do koła naszych wojowników. Niedźwiedzie Serce chce, aby jego brat otrzymał imię.

Było to bardzo pochlebne dla ojca i syna, gdyż obaj jako zainteresowani, nie mieli prawa stawiać takiego wniosku. Ogólny poklask był dowodem zgody. Zwycięzca niedźwiedzia stał prosto koło ogniska. Oko jego błyszczało dumą i radością, gdy powiedział:

— Brat mój, Niedźwiedzie Serce, jest sławnym między sławnymi. Jego mowie zawdzięczam, że dostanę imię. Kiedy ma się odbyć uroczystość?

— Skoro synowie Apaczów powrócą do swoich wigwamów — odpowiedział stary.

— A czy taki, co nie ma imienia, może wyruszyć na psów Komanczów?

— Nie.

— A ja chcę iść z moim bratem Niedźwiedzim Sercem do Meksyku. Dlatego trzeba mi dać imię już jutro.

— To nie jest w zwyczaju. Ale łapy niedźwiedzie są własnością wodza Misteków, on jest naszym gościem i dlatego niech rozstrzygnie, kiedy ci da imię.

Wtedy rzekł Bawole Czoło:

— Imię już mam. Mój młody druh zabił grizzly, dlatego niech się nazywa Grizzly-tasta, Niedźwiedziobójca. To miano dam mu jutro, a jeżeli brat mój Rączy Koń pozwoli, to niech Niedźwiedziobójca jedzie z nami do Meksyku, by sobie zabrać duszę Komanczów, skoro zdobył niedźwiedzią skórę.

Ten wniosek sławnego wodza był znowu zaszczytnym odznaczeniem dla młodego Apacza i dlatego zaraz go przyjęto. Narada się skończyła. Ale długo jeszcze siedzieli mężowie, omawiając swoim poważnym, spokojnym obyczajem wyprawę wojenną. Kilku wyruszyło mimo ciemności do jaru, by przynieść zabitego przez Bawole Czoło bizona i obdartego niedźwiedzia.

Potem nadeszła nocna cisza. Bawole Czoło spał w namiocie Niedźwiedziego Serca, a straż pilnowała obozu, zmieniając się co godzinę.

Następnego ranka odbyła się uroczystość nadania imienia, podczas której obie łapy niedźwiedzie grały ważną rolę. Niedźwiedziobójca otrzymał najlepszą strzelbę swego ojca. Po południu poczęły się malowania wojenne. Było blisko dwustu wojowników, którzy mieli na drugi dzień o świcie wyruszyć. Wszyscy mieli dużo pracy przy zdobieniu ubrań, zbroi i trofeów dawnych zwycięstw.

Na drugi dzień rano orszak ten wyruszył z obozu, znanym indiańskim szykiem, jeździec za jeźdźcem. Najstarszy wojownik sprawował komendę nad orszakiem. Bawole Czoło, Niedźwiedzie Serce i Niedźwiedziobójca pogalopowali naprzód, by rozpoznać teren.

Przez otwartą prerię nie można było maszerować, więc Indianie ruszyli wzgórzem. Tym sposobem nastąpiło opóźnienie, które jednak ze względu bezpieczeństwa, miało swe uzasadnienie. Dopiero piątego dnia dotarli do pustyni Mapimi i to do punktu, który znajduje się między Jeziorem Muszli a zachodnim końcem pustyni.

Tu należało zająć stanowisko między Chihuahua, a nadciągającymi Komanczami, więc trzej wojownicy ruszyli dalej na południe. Nagle wszyscy trzej zatrzymali swoje konie, zauważyli, że ich drogę przecinały obce ślady.

— Jeźdźcy! — rzekł Niedźwiedziobójca, zsiadłszy z konia.

— Niech brat mój policzy ilu ich było — rzekł Niedźwiedzie Serce, siedząc spokojnie. Chciał wyćwiczyć bystrość umysłu młodego Apacza, gdyż on sam potrzebował tylko pół minuty, aby poznać liczbę przechodzących koni.

Młodzieniec popatrzył na ślady i rzekł:

— Było dziesięć i jeden koni.

— Słusznie. Kto siedział na koniach?

— Błade twarze

— Z czego to poznaje mój brat?

— Nie jechali jeden za drugim. Ślad ich jest taki szeroki, że można policzyć wszystkie podkowy.

— Kiedy przeszli?

Młody Apacz zgiął się znowu i odpowiedział po chwili:

— Słońce stoi teraz prawie nad nami. Oni przeszli, gdy było wczoraj prawie na widnokręgu.

— Spieszyli się, czy nie?

— Spieszyli się bardzo, piasek od kopyt silnie odrzucony, jechali galopem.

— Mój brat widział doskonale, a teraz niechaj mi powie: dobrzy to byli mężowie, czy źli?

Niedźwiedziobójca popatrzył na wodza bezradnie, potrząsnął z namysłem głową i rzekł:

— Któż to może poznać ze śladu. Nikt!

— Udowodnię mojemu bratu, że i to można poznać. Mapimi jest tutaj szeroką na cztery dni drogi. Kto przejechał trzy dni drogi, tego zwierzę jest bardzo umęczone i on będzie je szanował. Odciski kopyt nie są lekkie jak przy galopie, tylko bardzo głębokie. Skoki nie są dalekie, tylko krótkie. Zwierzęta były znużone i natężono je ponad miarę, jeźdźcy więc uciekali.

Młody Apacz chciał się bronić:

— Kto prześladowuje kogoś, także jedzie szybko.

— Gdyby kogoś prześladowali, jechaliby jego śladami, a tak nie jest. Nie ma wcześniejszych śladów, oni uciekali, byli prześladowani. Byli więc ludźmi złymi.

Bawole Czoło kiwnął głową, patrząc ostro w kierunku śladów.

— Niedźwiedzie Serce ma rację. Prześladowcy mogą niebawem nadjechać, a ponieważ nie mogą nas widzieć, więc niech Niedźwiedziobójca odjedzie do wojowników i powie im, aby nie szli naszym śladem, niech jadą dalej na północ przez wyżyny ograniczające Mapimi i tam niechaj nas oczekują. Będziemy widzieć, co znaczą te ślady.

Młodzieniec usłuchał. Odjechał, a obaj wodzowie ruszyli śladem.

— Ślad prowadzi prosto na zachód — rzekł Bawole Czoło.

— W przełęcz. To niebezpieczne miejsce.

— Może chcą prześladowani zasadzić się na prześladowców.

Musimy to zbadać.

— Ale nasze ślady musimy ukryć, bo prześladowcy mogą być i naszymi wrogami. Brat mój niech mi pomoże.

Zatarli ślady swych koni i swoje własne z podziwu godną zręcznością i uczyniwszy to, pojechali łukiem i dobili do gór leżących na zachodnim krańcu Mapimi, może milę od miejsca, w którym znajdowała się przełęcz.

Teren był bardzo trudny. Mimo to sprowadzili swoje konie po skalistych wzgórzach na dół i tuje ukryli w bezpiecznym miejscu. Sami zaś wdrapali się na grzbiet skały, skąd widzieli sporą część przełęcz. To była dolinka, gdzie Verdoja obozował i gdzie na południowej stronie był jar, w którym zasadzili się Meksykanie, mający zabić Sternaua.

Indianie nic o tym nie wiedzieli, jednak swymi bystrymi oczami widzieli wszystko.

— *Uff!* — rzekł Niedźwiedzie Serce.

Był to znak, że zobaczył coś nadzwyczajnego. Bawole Czoło spojrział w tę stronę i ujrzał mężczyznę, który z bocznej doliny wspinał się pod górę. Odległość była wielka i człowiek był podobny do wielkiego chrapaszcza, jednak Indianie wiedzieli kto to jest.

— Meksykanin — rzekł Bawole Czoło.

— Tak, boczna dolina zdaje się być otoczona.

— Zasadzka na prześladowców.

Czekali dopóki człowiek ten nie wdrapał się na górę. Stał, popatrzył na wschód. Oni uczynili to samo, a Bawole Czoło zauważył:

— Trzej jeźdźcy!

Zobaczyli trzy punkty. Tylko Indianie mogli wiedzieć co to znaczy. Meksykanin tych jeźdźców jeszcze nie rozpoznał.

— Czy to są prześladowcy? — zapytał Niedźwiedzie Serce.

— Nie. Jedenastu wojowników nie ucieka przed trzema.

— Dlaczego nie? A jeżeli ci to waleczni mężowie? Zresztą mogą być przednią strażą większego orszaku.

— Poczekamy.

Przyglądali się stojącemu na górze.

On nagle wykrzyknął i szybko zbiegł z góry, również spostrzegł jeźdźców.

— Daje znać tym, co się schowali — rzekł Niedźwiedzie Serce. Człowiek zniknął w bocznej dolince, a w minutę później zjawił się z dwoma innymi. Schowali się za skałę.

— Oni zabiją zbliżających się — rzekł Niedźwiedzie Serce.

— Ale dlaczego jest ich tylko trzech, kiedy znaleźliśmy ślady jedenastu?

— Reszta pojechała naprzód, bo tych trzech tchórzy wystarczy, aby z zasadzki zabić dwóch dzielnych mężów.

— Czy nie przestrzec zagrożonych?

— Nie tylko przestrzeżemy, ale im nawet pomożemy, jeżeli są tego godni. Wedle czasu białych staną oni tutaj dopiero za pięć minut. Mamy czas, aby stanąć za ich przeciwnikami. Naprzód!

Zeszli z góry. Dostali się szybko do krzewów w pobliżu trzech Meksykanów, stąd zaś niepostrzeżenie zbliżyli się ku nim. Na szczęście rosły tam krzaki, więc znaleźli się o jakieś pięćdziesiąt kroków za przeciwnikami.

Wodzowie mogli stąd dobrze widzieć całą dolinę. Przykucnęli za kamieniem i trzymali strzelby w pogotowiu.

Usłyszano tętent kopyt końskich i trzej zbliżający się zjawili się u wejścia doliny, byli jednak poza zasięgiem strzału.

Indianie, gdy zobaczyli i rozpozнали jeźdźców, nie mogli się nadziwić.

— *Uff!* — szepnął Niedźwiedzie serce. — To Itiuti-ka, brat nasz, Piorunowy Grot.

— *I vaquero* Francesco! Co oni tu robią? Stało się może jakieś nieszczęście w hacjendzie del Erina?

— Musimy jeszcze poczekać. Ale kim jest ten silny wojownik, który jedzie z nimi? Zna go mój brat, Bawole Czoło?

— Tak. To najsławniejszy myśliwy sawanny. To Księżę Skał, przed którym drżą wszyscy wrogowie.

— *Uff!* — zawołał Niedźwiedzie Serce, a oczy jego zabłyśły. — To wielki dzień, w którym Niedźwiedzie Serce pozna się z takim wojownikiem. Zabijemy tych trzech Meksykanów!

— Najpierw zobaczymy co oni zamierzają. Jeśli chwycą za broń, zastrzelimy ich.

Meksykanie leżeli za kamieniem i szeptali między sobą. Oczekiwali tylko Sternaua i to dopiero następnego dnia. Nie dał im długo czekać na siebie. Teraz jednak nie był sam, tylko z dwoma towarzyszami. Kim oni byli?

— Oni widocznie po drodze się z nim spotkali. Co mamy zrobić? Teraz mamy trzech przeciwko sobie.

— Ba — rzekł drugi — złapać go nie możemy. To niemożliwe, ale zastrzelimy go.

— A ich puścimy wolno?

— Głupstwo! Oni muszą także zginąć, by nie mogli nic opowiadać. Ale mamy czas. Nie są jeszcze w zasięgu naszych strzelb, a my nie możemy ani razu chybić. Muszą paść od pierwszego strzału, inaczej źle się to może skończyć. Wiemy przecież, co to za diabeł ten Sternau. Zresztą mamy czas. Znajdą tu ślady naszego obozu i będą je starannie badać, będą więc długo naszym celem, nie uciekną. Nie trzeba się spieszyć, możemy celować z rozmysłem.

— Gdyby nasi kamraci byli tutaj, już byśmy złapali wszystkich trzech — rzekł trzeci.

— My musimy wystarczyć.

Nie przeczuwali, że parę kroków za nimi jechało dwóch straszliwych mężów, którzy śledzili ich ruchy.

Tymczasem Sternau nadjechał z towarzyszami, ale nie szybko, bo przyglądał się badawczym okiem budowie doliny i oddaleniu ścian od siebie.

— Niebezpieczna dziura — zauważył.

— Czemu? — zapytał Helmer.

— Jeśli Verdoja nie zastawił tutaj zasadki, to zasługuje na śmierć. Jedźmy pomału i udawajmy, że wcale się nie oglądamy. Ale ja będę uważał.

Jechali naprzód, aż doszli do miejsca, gdzie był obóz Verdoji. Stanęli.

— Tu draby odpoczywały — rzekł Francesco. Sternau rzucił okiem na około i rzekł spieszenie:

— Szybko! Z koni, rozsiodłać je i udawać, że tu chcemy odpocząć! Szybko! Szybko!

Oko Piorunowego Grota popatrzyło w tym samym kierunku, co oko Sternaua. Zeskoczył z konia.

— Tu na prawo jest ściana, wielka skała — rzekł Sternau. — Koni nam nie zastrzelą. Rozdzielimy się i udamy, że szukamy drzewa na ognisko. Potem skoczemy na skałę.

Puścili konie wolno, a sami zbierali suche gałązki.

— Widzicie. — rzekł Meksykanin — Zostają tutaj. Możemy ich spokojnie powystrzelać. Ale do czarta! Co to?

— A, przekleństwo! Skoczyli za skałę! Zwiertzyli nas! Nie zatarliśmy śladów. Niemożliwe... I teraz oni tam, my tu. Czyli, że my też jesteśmy obłączeni.

I tak było rzeczywiście. Sternau przy wejściu do bocznej dolinki zauważył świeżo załamany konar drzewa, kora się stargała i Sternau, mający ostre, baczne oko musiał to zauważyć, Piorunowy Grot także.

— Tam na górze są ludzie, co na nas czatują — rzekł Sternau.

— A do czarta! — zawołał Francesco.

— Nie obawiaj się, jest ich tam dwóch, najwyżej trzech.

— Dlaczego tak mało?

— Sądzi pan, że Verdoja zaczął się tutaj z całym orszakiem? Nie. Jemu zależy przede wszystkim na bezpiecznym przetrzymaniu pojmanych. Jest ich czterech, eskorta zaś składa się z jedenastu ludzi, więc może się obejść bez trzech. Nie wiedział, że nadejdę z pomocą. Sądził, że przyjdę sam, a wtedy wystarczyłby jeden człowiek, aby mnie trafić. Zasadzka leży najprawdopodobniej na oddalenie strzału, od obozu. Poszukajmy dokładnie. Może znajdziemy ich schowek.

Jego bystre oko przesuwano się z uwagą po każdym krzaku i kamieniu, aż odkrył na górze pokrywę.

— Mam ich! Ujrzałem kolano, za tą ogromną skałą. Poślijmy tam kulkę!

Położył się na ziemi i poprosił Helmera.

— Zatknij pan kapelusz na lufę od strzelby i trzymaj tak, aby wyglądało, że ktoś z nas patrzy na nich. Wtedy któryś z nich złapie się na to i zechce strzelić. Wychylającego się zastrzelimy my.

— Dobrze, — rzekł śmiejąc się Helmer.

Z góry przyglądali im się przez cały czas wodzowie. Pokazał się kapelusz, zdawało się niby ktoś wygląda z góry.

— *Uff!* Co za nieostrożność! — szepnął Niedźwiedzie Serce.

— Czy brat mój rzeczywiście uważa Księcia Skał za takiego głupca? — zapytał Bawole Czoło — Czekajmy, co to z tego żartu będzie!

Jeden z Meksykanów chwycił za karabin, oparł go na kant skały, skłonił trochę w bok głowę i mierzył w kapelusz. Nie nacisnął jeszcze, kiedy z drugiej strony huknął strzał i Meksykanin padł z roztrzaskaną czaszką w dół.

— Widzi mój brat, że to był tylko podstęp! — rzekł Bawole Czoło. — On by też i dwóch innych zabił, ale to będzie trwać za długo. Pokażmy się.

Obaj Meksykanie zajęci byli trupem i nie spostrzegli, jak wodzowie podnieśli się i dawali znaki na drugą stronę. Potem przykucnęli znowu.

— A to co, do czorta! — zawołał Helmer.

— Toż to Bawole Czoło, ale kim jest ten drugi? — zapytał Sternau.

— A to Apacz, Niedźwiedzie Serce.

— To on? Co za spotkanie! Mamy więc nieprzyjaciela w dwóch ogniach. Chodzi o to, by drabów pojmać żywcem. Wątpię, czy któryś z nich zna mowę Apaczów. Kiedy więc będę wołał, nie domyśla się do kogo i co to znaczy. Nie sądzę też, aby obaj wodzowie byli na tyle nierozmyślni i odpowiedzieli mi słowami.

— Na pewno nie — rzekł Helmer.

Sternau poczekał chwilkę, potem zawołał donośnym głosem, nie dając się jednak widzieć:

— *Tlao nte akajija!* Ilu nieprzyjaciół jest tam? Zza ukrycia wodzów podniosło się dwoje rąk.

— A więc tylko dwóch, miałem słusność. A teraz: *ni no-khi eti tasta, ni no-khi hot-li inta-hinta*, nie chcę ich mieć zabitych, chcę ich mieć żywcem!

— Co ten Sternau tam krzyczy? — spytał jeden z Meksykanów. — Jeśli chce z nas szydzić, to niech mówi po hiszpańsku! Dostaliśmy się w pułapkę. Nie wypada nam nic innego, jak czekać do nocy i wtedy uciec. Albo siedzieć dopóki nie wrócą nasi, bo inaczej wystrzela nas jak kaczkę.

Miało się jednak stać zupełnie inaczej. Wodzowie zrozumieli Sternaua. Odłożyli strzelby, noże wzięli między zęby i skradali się w stronę Meksykanów. Sternau widział to i chciał odwrócić uwagę drabów od Indian, dlatego podniósł się, złożył i mierzył.

— Aha, on chce strzelać! — zaśmiał się Meksykanin, wyglądając zza skały. — Czekaj tylko ja ci pošlę kulkę!

Sięgnął po strzelbę, ale w tej chwili poczuł na szyi uścisk rąk, aż mu dech zaparło. Towarzysza jego spotkał taki sam los.

Kiedy Sternau ze swoimi przybiegł na miejsce, Indianie już powiązali obu Meksykanów.

— Bawole Czoło, wódz Misteków, ocala mnie po raz wtóry — rzekł Sternau wyciągając do Indianina rękę.

— Książę Skał sam się obronił — odrzekł skromnie Indianin. — Tu stoi Niedźwiedzie Serce, wódz Apaczów.

Sternau wyciągnął doń rękę.

— Witam dzielnego wodza Apaczów. Imię jego jest sławne, ale jego postać widzę dopiero dzisiaj.

— Jeszcze sławniejszy jest Książę Skał. On jest druhem czerwonych mężów, dlatego będę jego bratem.

Obaj wielcy strzelcy i Indianie stali na przeciw siebie ręka w rękę, jeden wysoko wykształcony człowiek, drugi niewykształcony Indianin, ale wedle miary ludzkości, obaj równej wartości. Nie myśleli z pewnością w tej chwili na ile to lat połączą ich losy. Pozdrowili się wzajemnie, potem usiedli celem narady, ale tak, aby Meksykanie nie mieli pojęcia o treści ich rozmowy.

— Co pędzi naszych przyjaciół przez pustynię aż tutaj? — zapytał Bawole Czoło

— Bardzo smutny wypadek; hacjenda del Erina została napadniętą przez Meksykanów. Draby zabrali cztery osoby: seniora Mariano, Helmera, senioritę Emmę i Karię.

Indianie znoszą najstraszniejsze nawet wieści ze stoickim spokojem. Na wzmiankę jednak tych imion, wodzowie podskoczyli z przerażeniem.

— Moją siostrę Karię? — zapytał Bawole Czoło.

— Karię, kwiat Misteków? — zawołał Niedźwiedzie Serce — Jak to się stało? Czy nie było mężczyzn?

— Byli, ale...

— Nie byli to mężczyźni — zawołał Niedźwiedzie Serce. — Bo jak mogli patrzeć, na ich oczach porywają kobiety!

Sama okoliczność, że nie dał się wygadać Sternauowi, świadczyła o tym, jak mocno kochał Karię.

— Powiadam wodzowi Apaczów, że sam byłem pojmanym — rzekł Sternau.

— Książę Skał pojmany? Przecież widzę go na wolności.

— Bo się uwolniłem. Niech obaj wodzowie słuchają, jak to było. Opowiedział w krótkich słowach całe zajście. Apacz podał mu rękę i poprosił:

— Niech mi Książę Skał przebaczy. W ciemnościach nocy łatwo jest powalić z tyłu najsilniejszego nawet bohatera. Teraz jednak schowajmy konie, gdyż nie wiemy, kto może nadejść.

Konie zaprowadzono w boczną dolinę. Meksykanów przesłuchiowano, podczas gdy Francesco pilnował wejścia do bocznej doliny.

— Należycie do orszaku Verdoji? — zapytał Sternau. Nie uzyskał jednak odpowiedzi.

— Widziałem was przy nim. Nie pomoże wam milczenie ani zaprzeczanie. Pogorszycie swój los, jeżeli będziecie milczeć. Dlaczego zostaliście w tyle?

— Verdoja nam kazał, — odparł jeden opryskliwie.

— Co mieliście czynić?

— Złapać, albo zabić pana.

— Mogłem się tego spodziewać. Ale jak się na to odważyliście? Przecież już mnie poznaliście. Zabić było łatwo, ale pojmać...

— Myśleliśmy, że pan będzie tutaj dopiero jutro. Verdoja miał nam nadesłać pomoc.

— Aha; to mają nadejść jeszcze inni?

— Tak, może już jutro przed południem.

— Ilu?

— Nie wiemy.

— Gdzie zaprowadził Verdoja jeńców?

— Nie wiemy.

— Nie kłam!

— Myśli pan, że Verdoja zdradza takie tajemnice?

— Ale ci co jutro przyjdą, będą o tym wiedzieć?

— Chyba tak. Mamy się tutaj spotkać.

— Po ile obiecał wam Verdoja za to porwanie?

— Sto pesos każdemu.

— Dobrze, teraz naradzimy się nad waszym losem.

Narada wypadła dla obu niekorzystnie. Sternau chętnie by im darował życie, ale nie zgodziła się na to reszta.

Jeńców zaprowadzono w głąb bocznej doliny. Sternau został na miejscu i usłyszał za chwilę dwa strzały. Wiedział co one znaczą. Trupy pozostawiono sępom na pożarcie.

Teraz było ich pięciu i mogli mówić o powodzie przybycia Apaczów w te strony. Sternau nie wiedział nic więcej, jak to, że w Monclowie znajdował się obecnie porucznik ze szwadronem Juareza. Postanowiono czekać na orszak Verdoji. Na drugi dzień koło południa dał się słyszeć tętent kopyt. Sternau kazał najpierw wystrzelać konie. Zjawilo się sześciu Meksykanów, którzy rozglądali się po dolinie. Nie zobaczywszy żadnego z towarzyszy, zwrócili się w boczną dolinkę. Za chwilę padły cztery strzały, potem dwa. Konie stanęły dęba i padły celnie trafione. Tymczasem napadnięto na Meksykanów, powiązano mocno, tak że mowy nie było o ucieczce.

Dowódca tych ludzi był tym samym oficerem lansjerów, co wprowadził drabów do hacjendy.

— A, znowu się widzimy, mój chłopcze, porachujemy się teraz jak należy — rzekł Sternau. — Już ci się nie uda tak szybko grać oficera.

Pojmany rzucił na niego okiem pełnym nienawiści i rzekł:

— Jestem wolnym człowiekiem i żaden cudzoziemiec nie ma prawa ze mną się rozliczać!

— Wolnym? — śmiał się Sternau — A jeszcze tego nie widziałem, żeby powiązany, nazywał się wolnym! Dokąd zawieźliście pojmanych?

— Nikogo to nie obchodzi.

— Powtarzam pytanie, ale tylko raz. Gdzie są pojmani?

— Nie powiem.

Bawole Czoło wyjął swój nóż, pokazał go i zapytał:

— Gdzie jest Karia, moja siostra?

Meksykanin milczał uparcie. Nie znał Indian. Wódz Misteków zauważył spokojnie:

— Odpowiadaj!

— Nie powiem!

— To nie będziesz żyć. Tylko nieżywi milczą, a kto milczy, ma być trupem. Ale śmierć twoja nie będzie szybka, umierać będziesz powoli.

Położył nóż do tułowia i szybkim cięciem rozpruł brzuch tak, że wnętrzności wylały. Drab krzyknął przeraźliwie. Poznał, że nie ujdzie śmierci i zawołał:

— Przekłeta czerwona skóro, teraz dopiero nie dowiesz się niczego! — a zwracając się do swoich towarzyszy dodał: — Tysiąc razy przeklęty będzie ten, który powie, gdzie są pojmani!

— To umrą wszyscy tak jak ty! — rzekł Bawole Czoło z zimną krwią.

Przyłożył nóż drugiemu do ciała.

— Czy ty także będziesz milczał, czy powiesz gdzie są? Człowiek namyślał się minutę. Chciał wprawdzie uratować swoje życie, ale też nie pragnął ściągnąć na siebie przekleństwa innych. Minuta owa rozstrzygnęła o jego losie, była za długa dla Misteki.

— Gińcie jak psy — rzekł Indianin. — Przystąpił do trzeciego. Kiedy obaj rozpruci leżeli i stękali, trzymał już nóż na ciele trzeciego.

— Ja powiem! — zawołał skwapliwie.

— Milcz — wył dowódca.

— Musiałbym być osłem! Chcę żyć, a nie umierać dla twojej przyjemności.

— To niech cię piekło porwie, zdrajco przeklęty — pinił się ze złości, bólu i wściekłości, widząc, że nadaremnie ofiarował swoje życie. Oczy zachodziły mu krwią.

— Mów prędko — nakazał Misteka trzeciemu.

Klingę noża pocisnął tak, że przez ubranie dotknęła końcem nagiego ciała.

— Już mówię. Daj mi spokój! — zawołał rabuś przerażony. — Pojmani znajdują się w starej świątyni.

— Żywi?

— Tak myślę.

— Gdzie to jest?

— W okręgu Chihuahua, koło hacjendy Verdoji. Jest to stara, meksykańska piramida ze strony hacjendy zarosła krzewami.

— Jeżeli teraz wyruszymy, to kiedy staniemy koło piramidy?

— Wieczorem.

— Dobrze. Ty nas poprowadzisz i to tak, aby nas nikt nie zauważył. Przy najmniejszym podejrzanym ruchu, jesteś dzieckiem śmierci. Zapamiętałeś drogę?

— Tak jest, dokładnie.

— To wystarczy. Drugich nie potrzebujemy. Wedle prawa prerii zasłużyli sobie na śmierć.

Nim Sternau mógł temu przeszkodzić, pchnął nożem pozostałych.

— Jedziemy dalej, nie ma czasu!

Zabrano Meksykanom wszystko, co wydało się potrzebne i wyruszono.

Postanowiono wyruszyć razem z Apaczami Niedźwiedziego Serca. Chodziło o zdobycie hacjendy i schwytywanie Verdoji i Pardery. Wtedy musieliby wydać jeńców i otrzymaliby swoją karę. Jeden z Apaczów miał wrócić do Rączego Konia z informacją, w którym miejscu mają się wszyscy Apacze spotkać.

Utworzyli piękny pochód! Na przedzie jechali biali z Niedźwiedzim Sercem i Niedźwiedziobójcą, mając przewodnika między sobą. Potem pod przewodnictwem najstarszego wojownika Apacze. Późnym popołudniem jechali przez las, który ciągnął się na ogromnej przestrzeni i nie można go było przeszukać, co by było bardzo wskazane. Kiedy się ściemniło stanęli na granicy posiadłości Verdoji i zobaczyli na zachodzie piramidę, cel ich drogi. Wznosiła się ona ponura, smutna, kiedyś miejsce widowisk, które kryły się przed światłem dnia... Nie długo trwa szczęście.

W północnej części Mapimi płynie majestatycznie Rio Grandę del Norte, podsykana wielkimi strumieniami. Tu roślinność nie jest taka, jak na całej pustyni, tu rośnie bujna, bogata zieleń, ciągną się wielkie pastwiska i lasy dające chłód.

Jednym z tych lasów był właśnie ten, poprzez który przejeżdżali Apacze pod przewodnictwem Sternaua, Bawolego Czoła i Niedźwiedziego Serca. Podczas pochodu nie spotkali ani jednego człowieka i uważali, że są zupełnie bezpieczni i przez nikogo nie widziani.

W tym samym czasie można było usłyszeć w głębi lasu bardzo cichy ale ciągle trwający szelest. Niby trzask gałęzi, niby szelest liścia leżącego na ziemi. Szelest posuwał się na skraj lasu. Wreszcie słyhać było ciche słowa:

— Czy brat mój nauczył się poruszać niesłyszalnie? Na to odpowiedział również szept:

— Pod drzewami ciemno. Czy mój brat ma może źrenice kota, że jest w stanie rozpoznać wszystkie gałązki i listki?

Ucichło i tylko tajemniczy szelest trwał dalej. Po jakimś czasie znowu można było słyszeć szept:

— Dlaczego mój brat stanął? Czy może coś usłyszał?

— Tak jest, dalekie parskanie konia.

Po chwili parskanie dało się słyszeć z bliższej odległości.

— Nadjeżdżają jeźdźcy. Tu stoi jodła. Z góry można obejrzeć prerię, nie będąc samemu widzianym.

Rozmowę prowadzili dwaj Indianie. Wdrapali się na jodłę jak wiewiórki, a przy tym nie słychać było najmniejszego szelestu. Z góry nie można ich było widzieć. Mieli przy sobie broń.

Ledwie dobrze sobie usiedli, zbliżyły się szeregi jeźdźców. Byli to Apacze, którzy zeszli z koni, przeszukując skraj lasu. Siedzących na górze nie można było widzieć.

— *Uff!* — szepnął jeden Indianin — Apacze!

— W barwach wojennych — dodał drugi.

— A przy nich blade twarze!

— Cztery! *Uff! Uff!*

Słowa te były wymówione tonem zdziwienia. Drugi zapytał:

— Czego się brat mój dziwi?

— Zna może brat mój bladą twarz, co jedzie przodem?

— Nie.

— To Księżę Skał. Widziałem go przed trzema zimami, kiedy byłem w mieście, które blade twarze zwa Santa Fé.

— *Uff!* To najwaleczniejsza blada twarz, jaka tylko żyje! Ale czy zna brat mój wodzów, co jadą obok?

— Jeden to Niedźwiedzie Serce, pies Apaczów, drugi Bawole Czoło, Misteka. Popatrzymy ilu ich jedzie.

Siedzieli tak wysoko, że mogli z góry ogarnąć okiem cały orszak. Policzyli dokładnie i kiedy Apacze ich minęli rzekł jeden:

— Dwadzieścia razy po dziesięć i jeszcze sześciu Apaczów i cztery blade twarze. Ale Księżę Skał wystarczy za stu Apaczów. Dokąd oni jadą?

— Ten kierunek prowadzi do hacjendy Verdoji. Prezydent Meksyku powołał Komanczo w, a zdrajca Juarez powołał pewnie Apaczów. Jadą do hacjendy, dokąd i my mamy wyruszyć. Pozabijają jazdę, która się tam znajduje. Jutro przyjdzie dużo wojowników Komanczów. Apacze są zgubieni, będą musieli pozostawić swoje skalpy. Musimy przestrzec naszych przyjaciół w hacjendzie, ale musimy też iść za psami Apaczami, chcąc wiedzieć, co oni zamierzają.

— A więc rozłączmy się. Ja pójdę za nimi, mój brat zaś do hacjendy.

— Niech tak się stanie.

Zeskoczyli z drzewa i dotarli na skraj lasu. Przekonali się, że nie ma żadnej straży tylnej, wyjechali więc na otwartą prerię.

Teraz można było poznać obu. Byli to Komancze w pełnym uzbrojeniu. Nie mieli odznak wodzów, ale byli z pewnością nadzwyczajnymi wojownikami, inaczej nie powierzono by im tak ważnego zadania, jakim jest zwiad terenu i powiadomienie mieszkańców hacjendy del Verdoja o nadejściu Apaczów.

Słońce chyliło się ku zachodowi, w dali zniknął długi, podobny do węża, pochód Apaczów.

— Niech brat mój spieszy za nimi. Musi ich mieć ciągle przed oczyma, gdyż coraz ciemniej i nie można będzie polegać tylko na samych śladach.

Drugi bez odpowiedzi pospieszył naprzód. Wojenny zwiadowca rzadko ma przy sobie konia, bo ten często bywa przeszkodą. Tak samo było i tutaj. Komancz wyglądał na szerokiej prerii jak punkt, który mógł bardzo łatwo znaleźć dla siebie schowek i dlatego łatwo mu było zbliżyć się do Apaczów, nie będąc przez nich widzianym.

Jego towarzysz nie był, zdaje się nigdy w tej okolicy i nie wiedział gdzie jest hacjenda Verdoji, ale instynkt pozwolił mu zgadnąć, w której stronie może ona leżeć i rzeczywiście trafił bezbłędnie.

Spieszył naprzód długimi, elastycznymi krokami. Wkrótce zapadła noc, on jednak biegł dalej, jakby znał każdą stopę ziemi. Zobaczył wreszcie ogniska zapalone przez *vaqueros*, by się ogrzać i odpędzić dzikie zwierzęta. Trzymał się od nich z dala, chociaż przybywał jako przyjaciel i nie potrzebował się nikogo obawiać. Niepostrzeżenie dotarł do hacjendy.

Przed ogrodzeniem, jakie posiada każda hacjenda, pasły się spętane konie, koło ognisk leżeli żołnierze. Komancz skulił się przy ziemi, skradał się pomiędzy nimi i licznymi ogniskami, i stanął nagle wśród nich, jakby wyrósł z ziemi.

Sztuczkę tę Indianie stosują bardzo chętnie nawet wtedy, kiedy przychodzą do przyjaciół, gdyż kto potrafi niepostrzeżenie się skradać, uważany jest za dobrego wojownika. Dragoni

przestraszyli się na widok ciemnej postaci, podskoczyli do góry i chwyciwszy za broń otoczyli go kołem.

Na znak tej wrogości kiwnął Indianin lekceważąco ręką i obejrzawszy się spokojnie dokoła zapytał:

— Boją się blade twarze jednego czerwonego żołnierza? Jeden z dragonów, jakiś podoficer odpowiedział:

— Ba! Nie boimy się nawet stu czerwonych. Kim jesteś?

— Nie potrafią blade twarze rozróżnić barw wojennych u czerwonych mężów?

— Was jest wiele setek pokoleń i diabeł może sobie zapamiętać te malowidła. Ale jak mi się zdaje, jesteś Komanczem?

— Jestem nim. Gdzie jest wódz białych?

— Aha, ty chcesz powiedzieć rotmistrz. Czego chcesz od niego?

— Mam z nim do pomówienia.

— No, to wiemy, ale pytanie, czy on z tobą ma o czym gadać!

— On musi być zadowolonym, jeśli czerwony wojownik przyjdzie do niego — odparł dumnie Komancz. — Przychodzę jako poseł sprzymierzonych Komanczów i mam mu przekazać ważne wiadomości.

— A, to co innego. Chodź zaprowadzę cię!

Szedł naprzód, Indianin za nim. Udali się do wnętrza budynku i tutaj Indianin musiał czekać, nim go zaproszono. Kiedy wszedł, rotmistrz siedział z oficerami, palił i grał w karty. Rzucił pogardliwym okiem na Komancza, dokończył swoją partię, odrzucił karty i zapytał:

— Czego chcesz, czerwonoskóry? Indianin nie odpowiedział.

— Czego chcesz, pytam! — powtórzył rotmistrz.

— Z kim mówi oficer? — zapytał Komancz.

— Z tobą! — krzyknął rotmistrz.

— Myślałem, że biały wódz rozmawia z lisem.

— Z lisem? Czyś ty oszalał?

— Biały wódz mówił z czerwonoskórym, a lis ma czerwoną skórę.

— Aha? — zaśmiał się oficer — Jesteś obrażony. No dobrze, będę z tobą mówić grzeczniej. Czego chcesz synu Komanczów?

— Przynoszę pozdrowienie od wielkich wodzów. Prezydent prosił nas o pomoc, a wodzowie postanowili to uczynić.

— Bardzo ładnie z waszej strony! Kiedy przybędą wasi wojownicy?

— Przybędą, już nawet jutro rano będzie całe plemię w lesie, który leży na wschód od hacjendy.

— A, to idzie prędko! A reszta?

— Oni przybędą za nimi, co dzień sławny wódz ze swoimi.

— Wy, zdaje się, macie samych sławnych wodzów, ale czy oni nam przyniosą korzyść, to się dopiero okaże. Będą musieli najpierw dostać się pod moje rozkazy. Jeszcze dzisiaj wieczorem wyślę posłańca do Chihuahua, by dowiedzieć się, co mam czynić.

Komancz zaśmiał się dziwnie i rzekł:

— Mój biały brat mówi słowa, których nie pojmuję.

— Dlaczego?

— Chce wysłać posłańca po rozkazy dla siebie, a więc nie może on być wodzem, a jednak żąda, by go słuchali sławni dowódcy Komanczów. Komancze przybędą, ich wodzowie odbędą naradę z wodzami białych, a potem będzie się czynić, co postanowią. Komancz nie stawia się nigdy pod komendę obcego wojownika.

Rotmistrz zrozumiał, że nie powinien zbyt zadzierać głowy, dlatego odpowiedział:

— Nie będziemy się kłócić. Skoro twoi wodzowie przyjdą, pogadam z nimi. Co się mnie tyczy, w ogóle nie potrzebowałbym czerwonych.

Oko Indianina zapałało.

— Gdybyś nie potrzebował żadnego czerwonego, to byłbyś już jutro trupem, a skalp twój wisiałby u pasa Apacza.

— A co do diabła! Co ty tu gadasz? — zapytał przerażony oficer.

— Co słyszałeś!

— Mówiłeś o Apaczach. Są może w pobliżu?

— Wyruszyli ze swoich koczowisk, by zabijać białych. Są już tutaj.

— Do diabła!

— Apacze są w tej chwili, może koło waszych koni.

— Święta Madonno, czy to możliwe?

Podskoczył z przerażenia. Komancz uśmiechał się, widząc skutek swoich słów. Indianin siedziałby z zimną krwią. Wiedział bardzo dobrze, iż Indianie rozpoczynają swoje ataki najchętniej rankiem. Chociaż widział Apaczów, to był przekonany, że hacjenda na razie jest bezpieczna. Dlatego też rzekł dumnie:

— Błede twarze boją się!

— Nie! — zawołał rotmistrz — Ale nie chcemy, by nam spadli niespodzianie na karki. Widziałeś Apaczów? Gdzie? Kiedy?

Indianin opowiedział jak było.

— W każdym razie są zwolennikami Juareza. Rzecz pewna, że mają na celu hacjendę. Musimy przygotować się do obrony.

— Mimo to padnie dużo białych twarzy.

— O to się nie boję! My się cofniemy za ogrodzenie, wtedy będziemy bezpieczni.

— Ale z nimi jest największy wojownik białych twarzy, ma on strzelbę, która zabija stu wrogów, nim naładuje powtórnie.

— Któż to taki?

— Książę Skał.

Imię to było znane wszędzie i oficerowie słyszeli o nim także.

— Książę Skał? — zapytał rotmistrz. — Ado diabła! To najlepsza sposobność, tego sławnego chłopca choć raz zobaczyć. Ale co myśmy mu uczynili, że idzie przeciwko nam?

— Książę Skał jest przyjacielem Apaczów i Komanczów. On jest przyjacielem wszystkich czerwonych i białych mężów. Jest sprawiedliwy i dobry, a zabija tylko tego, co go obraził. Jeśli przybywa do hacjendy Verdoji jako wróg, to musi znajdować się tutaj ten, który jest jego wrogiem.

— Hm. Może sam Verdoja? Ale tego nie ma tutaj. On uciekł. Gdzie są Apacze?

— Nie wiem, ale był ze mną jeden z moich czerwonych braci, on się za nimi skrada. Kiedy wróci opowie gdzie są.

— To wystarczy. Zostajesz u nas dopóki nie przybędą wasi wojownicy?

— Pozostanę przez noc, potem wyjdę moim braciom na spotkanie i przyprowadzę ich do hacjendy Verdoi.

Rozmowa skończyła się, rotmistrz począł przygotowania na przyjęcie Apaczów. Konie puszczono wolno, aby wyglądało, że o przybyciu nieprzyjaciół nic jeszcze nie wiadomo, dragoni zaś pogasili ogniska i powrócili za ogrodzenie. Każdy miał karabin i pistolety, więc można się było spodziewać, że Apacze odejdą z wielką stratą.

* * *

Skoro Komancz przybył do hacjendy, dotarli Apacze już do piramidy. Zatrzymali się w pobliżu tego ponurego budynku, wewnątrz którego uwięzione były trzy, tak umiłowane osoby...

— Czy nie można by tej budy zburzyć! — zgrzytnął Piorunowy Grot.
— Tylko cierpliwości! — odparł Sternau. — Już my naszych z pewnością ocalimy.
— Jestem pewny, ale co oni tam biedni wycierpią, zanim ich znajdziemy!
— Może nam się uda skrócić rychło ich męki. Wtedy Bawole Czoło rzekł:
— Za każde westchnienie Karii zapłaci mi nieprzyjaciel życiem! Gdzie tu będzie wejście?
Sternau zwrócił się do przewodnika Meksykanina:
— W którym miejscu zatrzymaliście się?
— Chodź pan za mną... To było tu, przy tym krzaku Verdoja wszedł w gąszcze, a tam w kącie widziałem jak zapalano latarkę.
— Dobrze. Jeżeli to wszystko prawda, daruję ci życie.
— Senior, mówię prawdę.
Sternau zawołał wodzów i Piorunowego Grota, i wskazał im teren.
— Nikt nawet nie może postawić nogi na terenie świątyni — rzekł Bawole Czoło. — Verdoja tam częściej zachodził i muszą być ślady, które możemy zobaczyć dopiero rano.
— Po co czekać? — zapytał Niedźwiedzie Serce.
— Tak — przytaknął Piorunowy Grot. — Moja ukochana nie powinna ani minutę dłużej cierpieć w tym więzieniu.
— Myśli pan, że nam sam Verdoja ma wskazać drogę? Czy mamy napaść najpierw na hacjendę?
— Bezwarunkowo.
— Dobrze, więc sprawdźmy co się dzieje w hacjendzie.
— Po co to badać! — rzekł Piorunowy Grot. — Jedziemy tam, łapiemy draba i ciągniemy ze sobą. Dalej nie ma o czym gadać.
Pocziwy Antoni Helmer byłby najchętniej zaraz ściągnął niebo, by tylko przynieść ukochanej rychło ocalenie. Właśnie chciał Sternau odpowiedzieć, kiedy odezwało się wołanie:
— *Uff! No — kipeńiyil, uff*, chodźcie tu!
Nawoływano w narzeczu Apaczów. Głos brzmiał z bliska i to właśnie z kierunku, skąd przyszli.
— Kto to taki? — zapytał Sternau.
— Niedźwiedziobójca, chciał zbadać czy jesteśmy bezpieczni. Odkrył coś ważnego. Prędkiej!
Znaleziono młodego Apacza, klęczącego na ziemi, pod nim zaś leżał człowiek, którego trzymał mocno.
— Komancz!
W oka mgnieniu Komancza związano. Był to posłaniec, który miał szpiegować Apaczów.
— Jechałem na końcu oddziału i usłyszałem czołganie się — opowiedział młody bohater. — Za nami skradał się człowiek. Dlatego zsiadłem z konia i znalazłem go. Chciał podsłuchać naszą rozmowę. Rzuciłem się nań i złapałem.
Sternau i przyglądał się pojmanemu.
— Tak, to Komancz, on nas śledził.
— Zabijcie psa! — odezwał się jeden z Apaczów. Wtedy Sternau zwrócił się do mówiącego w ostrym tonie:
— Od kiedy to mężowie Apaczów mówią, zanim przemówili wodzowie? Kto nie jest w stanie poskromić swojej mowy, jest chłopcem albo kobietą.
Apacz odstąpił zawstydzony.
— Gdzie masz swoich towarzyszy? — zapytano pojmanego. Nie odpowiedział nic. Wtedy wymierzył mu Niedźwiedziobójca silny policzek i rzekł:
— Będiesz odpowiadać, kiedy cię pyta wódz Apaczów?
Ale Komancz milczał. Inni również usiłowali wydusić z niego choć słowo, ale na próżno. Wtedy Sternau zmienił taktykę pytając:

— Jesteś wojownikiem Komanczów i odpowiadasz tylko temu, kto się z tobą obchodzi jak z walecznym. Uciekniesz, jeżeli ci zluzuję pęta?

— Nie.

— Będiesz odpowiadał?

— Księżciu Skał odpowiem. On jest sprawiedliwy i dobry. Nie bije pojmanego, który nie może się bronić.

To się odnosiło do Niedźwiedziobójcy, który swoim uderzeniem znalazł w Komanczu śmiertelnego wroga.

— A więc znasz moje imię? — zapytał Sternau.

— Znam cię i jestem twoim jeńcem.

— Należysz do tego, kto cię pokonał. Wstawaj. Rozwiązał łąso. Jeniec wstał i nie myślał o ucieczce.

— Jesteś tutaj sam?

— Nie, jest jeszcze jeden.

— Wyszliście na zwiady?

— Tak.

— Idzie za wami dużo wojowników?

— Więcej nic mi nie wolno powiedzieć.

— Dobrze. Nie będę cię więcej pytał. Nie uciekniesz?

— Ucieknę.

— Synowie Komanczów mówią dwoma językami? Obiecałeś przecież zostać!

— Jeżeli mogę być twoim jeńcem. Jeńcem zaś chłopca, który mnie bije, nie pragnę zostać!

— To musimy cię znowu związać.

— Spróbujcie!

Wyciągnął rękę i byłby Niedźwiedziobójcę uderzeniem swojej pięści powalił na ziemię, gdyby Sternau nie był szybszy. Schwycił podniesioną rękę, i wymierzył mu taki cios w skroń, że ten padł na ziemię. W tej chwili podniósł Niedźwiedziobójca swój nóż i wbił go upadającemu w serce.

— Skalp jest mój! — zawołał.

— Niezdały skalp! — rzekł Sternau, odwróciwszy się niechętnie. Niedźwiedziobójca zapytał go zdziwiony:

— Dlaczego też nie ma Apacz zabić Komancza?

— Bo nie powalił go w uczciwej walce. I dlatego też nie powinien nosić jego skalpu — rzekł Niedźwiedzie Serce. — Komancz był już ośluszony. Po co biłeś? Waleczny wojownik nie bierze skalpu z tego, kogo zbezczeszczył.

Ostra i zasłużona była to nauczka. Młody Apacz zawstydził się i odwrócił się od zwłok, nie spojrzawszy na nie więcej. Nie odważył się nawet zbliżyć do wodzów, którzy naradzali się półgłosem.

— Jeżeli dzisiaj aż dwóch było wysłanych na zwiady, to nie ulega wątpliwości, że Komancze są tutaj — rzekł Sternau. — Będziemy się mieć na baczności. Jeden szedł za nami, drugi do hacjendy. Jeśli mamy ich napaść, to trzeba koniecznie zbadać teren. Ja sam to uczynię. Tymczasem konie niech się pasą. Nie rozpalać ogniska, rozbić obóz, poustawiać czaty. Nie zacierać śladów Verdoji.

Wydawszy takie rozporządzenie i dowiedziawszy się od przewodnika o położeniu hacjendy odszedł. Ciężką strzelbę zostawił przy koniu, sztucer zabrał ze sobą.

Było ciemno. Ledwie jednak przeszedł pięć minut, kiedy ujrzał ognisko. Płonęło ono z boku ogromnego bloku skały, która leżała na równinie. Pięciu brodatych *vaqueros* siedziało półkolem...

Sternau zaraz zrozumiał, że trafia mu się sposobność by cokolwiek posłuchać. Podeszedł bliżej..

— Piekielne niebezpieczeństwo grozi nam teraz — rzekł jeden *vaquero*.

— Nie! — odparł drugi — Z pewnością przyjdą dopiero nad ranem, a wtedy nas już tutaj nie będzie. Już o północy mamy przecież ściągnąć do hacjendy.

— Gdzie oni teraz są?

— Dowiemy się gdy nadejdzie drugi Komancz. Pan rotmistrz jest chwatem nie lada. Zabarykadował hacjendę, i z pewnością nie dostanie się do niej żaden Apacz. A skoro sto dragońskich rusznic huknie, nie dużo czerwonoskórych zostanie.

Sternau usłyszał więc, że rotmistrz był tutaj ze szwadronem dragonów. To inna rzecz! Wystąpił nagle zza skały i pozdrowił *vaqueros*, którzy odskoczyli przerażeni i chwycili za strzelby, ujrawszy jednak białego uspokoili się.

— Czy dragoni są w hacjendzie? — zapytał.

— Są, ponad stu.

— Można pomówić z rotmistrzem?

— Pewnie.

— Dobrej nocy! Poszedł w stronę hacjendy.

— *Santa Madonna!* — zawołał jeden *vaquero*. — Myślałem, że to diabeł!

— A mnie się zaś zdawało, że widzę przed sobą ducha Goliata. Takiego chłopca jeszcze nigdy nie widziałem!

Sternau szedł wzdłuż ogrodzenia i słyszał szepty, przy bramie zapukał.

— Kto tam? — zapytał jakiś głos.

— Obcy. Chcę mówić z rotmistrzem.

— Biały czy czerwony?

— Biały.

— Sam?

— Jak palec.

— Któż w to może wierzyć. Bramy nie otworzę. Umie pan łązić, to przeleź pan przez palisadę. Pozwolimy, jeśli tylko jeden. Jeśli was tam więcej, to zakłujemy wszystkich.

— A więc rozstąpcie się tam!

Cofnął się parę kroków i wziął rozbieg. Po chwili przeskoczył nad murem i spadł w sam środek dragonów, którzy nie spodziewali się, że mają do czynienia z takim woltyżerem. Powalił ich kilku na ziemię, inni zaś uderzyli się, aż głowy im zatrzęszczały.

— Co do diabła! A to co? Zlatujesz dobrodziej z chmur? Myślałem, że pan chce przejść przez palisadę!

— Uczyniłem to, ale innym sposobem — rzekł śmiejąc się Sternau.

— Ale to diabelny sposób! Mogłeś pan przy tym złamać kark i nogi, a innym szanowanym ludziom potłuc kości. Kim pan jesteś?

Był to podoficer. Nacierał sobie krzyże, bo właśnie i on należał do tych, co padli na ziemię.

— Myśliwym.

— Myśliwym? Hm, sądzę, że mógłbyś jegomość dorównać rangą linoskoczkom! I z rotmistrzem chce pan mówić?

— Tak jest.

— O czym?

— To pana nic nie obchodzi. Gdybym miał panu to powiedzieć, nie potrzebowałbym do tego rotmistrza. Zrozumiano?

— Święta Madonno, ale z pana grubianin! Skąd pan wie, że rotmistrz jest tutaj?

— Śniło mi się. Naprzód, nie mam czasu!

— Hop, hop! Kiedy pana pyta meksykański oficer dragonów, to odpowiadaj jak należy!

— Czynię to przecież! Czy mówię może za mało?

— Ależ na Boga, nie. Gadasz pan raczej za dużo. Jesteś pan uzbrojony? Złóż pan broń!

— Dlaczego?

— To czasy wojenne i dlatego trzeba być ostrożnym. A jeżeli pan przychodzi w celu zamordowania rotmistrza?

— Sądzi dobrodziej, że znalazłby się taki szaleniec? Byłbym przecież natychmiast trupem! Czy może meksykańscy dragoni są takimi niuńkami, że ich się nie trzeba obawiać, bo oni sami boją się wojownika uzbrojonego tylko we flintę?

— Słuchaj człowieku, gadać potrafisz, ten jeden raz odstąpię od reguły i zaprowadzę pana zbrojnego do rotmistrza. Proszę za mną!

Zaprowadził Sternaua do tej samej izby, w której przed chwilą był Indianin. Oficerowie grali jeszcze. Skoro zobaczyli Sternaua, powstali mimo woli, jego postać wywierała ogromne wrażenie.

— Kim pan jest? — zapytał rotmistrz, odkłoniwszy się na grzeczny ukłon przybysza.

Sternau rzucił okiem po izbie i po oficerach. Mieli przy sobie tylko szable, spokojnie więc odpowiedział:

— Nazywam się Sternau. Jestem lekarzem i podróżuję częściowo w sprawach rodzinnych, częściowo zaś celem wzbogacenia moich doświadczeń. Przychodzę do hacjendy, aby z seniorem Verdoją w obecności panów zamienić parę słów.

— To niemożliwe, bo Verdoji tutaj nie ma. — A, gdzie może być?

— Nie wiem. Spodziewam się jednak, że uciekł biedaczysko. A rozmawiałem z nim przed południem. Rzekł, iż jedzie oglądnąć swoich *vaqueros* i odjechał. Nie wrócił więcej, a jak się dowiedziałem, nie widział go żaden z jego *vaqueros*. Był on zwolennikiem Juareza i dlatego umknął. Jego zaufany służący uciekł razem z nim.

— To może senior Pardo jest tutaj?

— Pardo? Aha, porucznik Pardo! I tego tu nie ma.

Dało to Sternauowi wiele do myślenia. Czy nie uciekli oni ze swymi pojmanymi. To było możliwe, a może schronili się przed wojskami rządowymi w piramidzie? Zrozumiał, że żaden z oficerów nie miał pojęcia o zbrodniczym działaniu Verdoji.

— Czy jest pan ich przyjacielem? — zapytał rotmistrz.

— Nie. Ludzie ci są największymi łotrami, jakich kiedykolwiek widziałem. Przyszedłem pociągnąć ich do odpowiedzialności.

— Aha, całkowicie podzielam pańskie zdanie. Szkoda, że pan ich nie zastał.

— Nadaremnie fatygowałem pana. Proszę wybaczyć.

Podczas tej krótkiej rozmowy nie pomyślano o tym, by zaproponować przybyszowi krzesło. Kiedy jednak się skłonił i chciał odejść, rzekł rotmistrz:

— Proszę siadać! Zostanie pan przecież na noc?

— Nie.

— Chce pan jechać dalej? Ale to niebezpieczne! Pan jest tutaj obcym, a teraz w kraju panuje rewolucja. Właśnie w tej okolicy włóczą się Indianie, a ja panu powiem szczerze, że oczekujemy napadu Apaczów. Jeśli te łotry wpadną w nasze ręce, to poniosą klęskę!

— Ja się ich nie boję, senior!

— Nie? Jednak jest pan nowicjuszem w tym kraju!

— Nie tak całkiem! Zresztą wiem, że Indianie są w gruncie rzeczy daleko lepsi, niż się o nich sądzi.

— Myli się pan bardzo. Oto leży obok tej posiadłości wielka własność ziemska hrabiego Rodriganda. Przyjął on do służby masę Indian. W zeszłym tygodniu zabili zarządcę i prawie wszystkich białych.

— Bardzo mi żal, ale to ma swoją przyczynę w nieludzkiej administracji, seniora Kortejo.

— Zna pan więc tego zarządcę?

— Tak, on mieszka w Meksyku.

— Słusznie. Hrabia Rodriganda jest jednym z najbogatszych właścicieli ziemskich w tym kraju. Życzyłbym sobie być jego synem albo spadkobiercą.

Sternau uśmiechnął się i ukłonił grzecznie.

— Wtedy bylibyśmy krewnymi.

— Krewnymi?

— Tak. Moja żona jest hrabianką de Rodriganda y Sevilla, przyszłą spadkobierczynią dóbr, o których pan wspomniał.

Rotmistrz się zdziwił.

— Niemożliwe! Hrabianka Rodriganda żoną lekarza?

— Czasami tak bywa!

Sternau pokazał mu podpis Róży w jednym z listów i pieczętę.

— Słusznie, to pieczęć Rodrigandów, znam ją doskonale. Musi pan wiedzieć, że byłem z hrabią Alfonsem, który teraz przebywa w Hiszpanii, bardzo zaprzyjaźniony. Od niego też dowiedziałem się, że ma siostrę, która nazywa się Róża, widzę więc, że pan mówi prawdę. W takim razie musisz pan u nas odpocząć. Szybko pana nie puszcę.

Sternau jednak rzekł:

— Pańska uprzejmość zobowiązuje mnie do największej wdzięczności, nie śmiem jednak tu zostać. Czekać na mnie.

— Gdzie? Poza hacjendą Verdoji?

— Tak.

— Gdzie to może być, do diaska! Do najbliższej posiadłości jest prawie dzień drogi. A nie mogę sądzić, że pańskie towarzystwo ma obóz pod gołym niebem.

— Jednak tak właśnie jest. Czekać na mnie Apacze.

Sternau wymówił te słowa z ogromną obojętnością a jednak... jakby bomba pękła! Oficerowie podskoczyli z krzesel.

— Apacze? — zapytał ogromnie zdziwiony rotmistrz — Czy pan żartuje, czy co? Proszę mi to wytłumaczyć.

— Rzecz zwyczajna, jestem dowódcą Apaczów.

Przerażenie dobrodziejów zdwoiło się.

— Ich dowódcą? Ależ to niemożliwe!

— Udowodnię to. Macie tutaj jednego Komancza?

— Tak, ale co to za dowód?

— Drugiego zaś mamy my. Obaj nas śledzili, a potem się rozłączyli. Jeden udał się do hacjendy, drugi za naszym śladem. Miał jednak pecha, był nieostrożny, został złapany i jeden z Apaczów zabił go.

Wtedy schwycił rotmistrz za szablę i zagrzmiął:

— Senior, czy to prawda?

— Tak.

— I mówi pan to nam, sojusznikom Komanczów? I odważasz się jeszcze wchodzić do tego domu?

— Ale na to nie trzeba wielkiej odwagi! Przyszedłem tu, aby porachować się z Verdoją, a ponieważ go nie ma, więc uważam za swój obowiązek powiedzieć waszym ludziom, żeby szli spać. Apacze nie napadną na hacjendę.

— Co do czarta, śni mi się to? — zapytał oficer, chwyciwszy się za głowę.

— Nie, pan przecież nie śpi. Moja wizyta wygląda wprawdzie nieco dziwacznie, ale da się wyjaśnić. Apacze nie przychodzą, aby prowadzić wojnę z białymi. Oni chcą zdobyć parę skalpów Komanczów. Są moimi przyjaciółmi, ale ja przez to nie jestem pańskim wrogiem. Daję panu słowo, że Apacze ani panu, ani hacjendzie nie wyrządzą szkody. Dlatego spodziewam się, że pan również nie będzie się naprzykrzał moim przyjaciołom.

— Diabła może się pan spodziewać! — zawołał rotmistrz. — Apacze są wrogami naszych sprzymierzeńców, a więc i naszymi i dlatego będziemy z nimi walczyli!

— Nie mam powodu nawracać pana. Ale proszę mnie uważać bodaj za wysłannika, który chce pana prosić o trzydniowe zawieszenie broni!

— Ani mi to w głowie! Czerwonoskórzy mogą przybyć i tej nocy pokrwawią sobie głowy. A jeżeli nie przyjdą, to ja ich jutro poszukam. Może się pan tego spodziewać!

— W takim razie nie mam więcej czego tu szukać. Dobranoc.

— Stój, dokąd?

— Do Apaczów — odparł Sternau obojętnie.

— Musiałbym być głupcem? Pan zostanie tutaj, jako mój jeńiec!

— Żartuje pan? — zaśmiał się Sternau.

— Do czarta, nie! W takich rzeczach zawsze jestem poważny!

— Pościańca, parlamentariusza, uważa pan za jeńca?

— Od czerwonych nie przyjmuję parlamentariusza. Zresztą przyszedł pan bez mojego pozwolenia. Nie mam względem pana żadnych zobowiązań. Przybył pan jako szpieg.

— Ja szpiegowałem?

— Tak, nie wierzę w to co mi pan o sobie przedtem powiedział!

— Rób pan i myśl jak chcesz. Ale pozwolę sobie zauważyć, że szpieg nie zbliży się do hacjendy w taki sposób jak ja to uczyniłem.

— To wszystko jedno, szpieg czy nie. Był pan w hacjendzie, widział nasze przygotowania, nie może więc stąd odejść!

— Kto mnie zatrzyma?

— Ja, mój panie!

— Pan i wszyscy pańscy dragoni nie są w stanie mnie zatrzymać. Pójdę, tak samo jak przyszedłem i nikt mnie nie zatrzyma.

Oficer wyciągnął szpadę:

— Zostaje pan tutaj! Inaczej ryzykuje pan życiem!

— Ależ proszę się o mnie nie troszczyć. W takim towarzystwie Książę Skał niczym nie ryzykuje.

Teraz rotmistrz cofnął się i rzekł:

— Książę Skał? *Dios*, on naprawdę miał być z nimi!

— Z Apaczami? Tak, to ja. Teraz więc proszę mnie zatrzymać! Kapitan odważnie przystąpił do niego i rozkazał:

— To nie ma żadnego znaczenia, jesteś moim jeńcem. Proszę złożyć broń!

— Ani mi to w głowie. Zresztą panowie macie tylko szpady. Gdybym wyciągnął rewolwer, jesteście zgubieni. Ale ja tego nie uczynię. Powiedziałem, że nie jestem waszym wrogiem i jeszcze raz proszę puścić mnie!

— Pan zostaje! — rozkazał rotmistrz.

— No cóż, skoro pan tak chce!

Podniósł szybko pięść i w tej sekundzie runął rotmistrz na podłogę. Zanim obaj porucznicy mogli się namyśleć stał już przed nimi. Dwa uderzenia pięścią i również padli na ziemię. Zrobił sobie wolne przejście.

Wyszedł. Na podwórzu spotkał tego samego podoficera.

— Gotów? — zapytał go.

— Dawno. Wypuście mnie?

— Drzwiami?

— Naturalnie, teraz przecież wierzycie, iż jestem sam!

— No, chodź pan!

Przystąpił do bramy. W tej chwili cicho podeszła ciemna postać. Był to Komancz, świadek pochodu Apaczów. Wysoka postać Sternaua wpadła mu w oko. Przystąpił i rzucił nań badawczym wzrokiem.

— Książę Skał! — zawołał.

— Książę Skał! — poszło z ust do ust.

— Trzymajcie go dobrze! — zawołał Komancz.

Chwycił Sternaua, chcąc go zatrzymać.

— Nie bądź głupi Indianinie! — rozkazał Sternau. — Jak możesz zatrzymać Księcia Skał! Wiem, że nie chcesz mojej śmierci, ja twojej także nie. Zabieraj się!

Chwycił czerwonoskórego i popchnął tak, że odleciał daleko. Teraz jednak otwarło się okno, a w nim ukazała się postać rotmistrza.

— Czy on jeszcze tutaj? Schwycić go!

— Tutaj! Łapać go, łapać! — odezwało się przeszło pół tuzina głosów.

Dwa razy tyle rąk wyciągnęło się za nim. Porwał sztucer i zatoczył nim straszliwe koło. Miejsce się opróżniło, on wziął rozbieg i przeskoczył przez palisadę, jak przedtem.

Teraz wszyscy chwycili za strzelby. Wydrapali się na mur i strzelali. Spodziewał się tego, dlatego skręcił w bok, a kule przeleciały obok.

— Do *vaqueros*! — zawołał rotmistrz. — Niechaj oni go złapią!

Otworzono bramę i dragoni popędzili do ognisk, by dać znać o całej sprawie *vaqueros*. Sternau jednak znowu skręcił znowu i dostał się do koni. Cztery pasły się osobno, były to rumaki oficerskie, najlepsze ze wszystkich. Pogalopował na jednym z nich, aż się zakurzyło. Dopiero po jego odjeździe dowiedzieli się *vaqueros* o wszystkim.

Dragonów zaś poznali dzisiaj wieczorem Księcia Skał.

Pojechał prosto w stronę piramidy. Wiedział, że czekają na niego, przybył cokolwiek spóźniony. Skoro Indianie usłyszeli tętent konia, obkoczyli Sternaua. Gdyby to nie był Sternau, a ktoś inny, musiałby zginąć nie przemówiwszy ani słówka.

— Gdzie wodzowie? — zapytał.

Zaprowadzono go do nich. Opowiedział co widział i słyszał. Było pewne, że noc będzie spokojna, ale również pewne było, że rankiem napadną na Apaczów wojska rządowe. Chodziło o to, żeby przyjąć odpowiednią strategię.

Cofnąć nikt się nie chciał. Jednym chodziło o ocalenie drugich, drugim zaś na odwrót nie pozwalało poczucie godności, która u Apaczów była wysoce rozwinięta.

Dragonów nie potrzebowano, czy też nie chciano się obawiać. Może Apacze myśleli by inaczej, gdyby przy nich nie było Księcia Skał i Piorunowego Grota. A Komanczom, którzy mieli nadciągnąć miało się także coś dostać od Apaczów wysłanych przez Rączego Konia.

— Zostaniemy tutaj — rozstrzygnął Sternau. — Nie możemy się oddalić, nie wiedząc, czy można uratować naszych czy nie. Ta stara świątynia dostarcza nam znakomitą pozycję; wygodną, silną i pewną. Mamy wody dla siebie i dla koni, krzaki dają nam okrycie, brakuje tylko żywności. A to łatwo dostać, potrzebujemy tylko spędzić dużo bydła. Począwszy od północy nie ma na pastwisku *vaqueros*, nie będą nam przeszkadzać.

Tak uczyniono. W krótkim czasie miano dostateczną ilość bydła, zaopatrzono się w mięso na dwa tygodnie, a miejsce dokoła świątyni było obszerne i wystarczało zupełnie na paszę dla bydła i koni.

A teraz każdy, który nie miał mieć straży owinął się w swoją derkę, by usnąć i nabrać sił na dzień następny. Piorunowy Grot, Niedźwiedzie Serce i Bawole Czoło nie spali. Myśleli o jeńcach, którzy musieli przebywać w piramidzie.

Już o świcie obudzili Sternaua, bez którego nie mogli nic począć. Wszyscy czterej stanęli w punkcie, który wczoraj pokazał był Meksykanin, a kiedy zbadali ziemię, znaleźli ślady, wiodące dokładnie w południowo-wschodni kąt piramidy. Poszli za tymi śladami i natrafili na murawę, gdzie ślady zniknęły zupełnie. Minęło już sporo czasu, więc trawa zdążyła się podnieść.

Było źle. Czterej mężowie o bystrym wzroku stali nieporadnie. Trzeba było użyć wszystkich Apaczów. Wszystkie krzewy oglądnięto, piramidę obeszlili dokoła, sprawdzono je cztery boki i zwietrzały wierzchołek, wszystko daremnie.

Owładnęło nimi uczucie rozpacz, ale na nowo rozpoczęto przeszukiwania. Wzięto się znowu do żmudnej roboty, kiedy nagle z wierzchołka piramidy dał się słyszeć głośny krzyk. Niedźwiedziobójca stał na górze, kiwał aby się schowali i sam z ogromną szybkością zbiegł z góry.

— Co takiego? — zapytał Sternau.

— Jeźdźcy!

— Gdzie?

— Od strony hacjendy. Jest ich dużo, jadą galopem. Przybywali dragoni. Komancz dowiedział się wczoraj, że jego towarzysz został zabity, a to popychało do zemsty. Jeszcze w nocy udał się do lasu, potem szedł śladami Apaczów aż do piramidy, potem powrócił do hacjendy i przekazał rotmistrzowi, co widział. Ten ciągle pałał ogromną złością i postanowił zemścić się. Wyjechał ze wszystkimi swoimi dragonami w stronę piramidy.

Skoro Sternau ujrzał zbliżający się oddział jazdy, pokiwał znacząco głową. Po jego męskim obliczu przeleciał wyraz wesołej ironii.

— Jest ich przeszło stu żołnierzy — rzekł. — Ilu Apaczów trzeba, aby ich zatrzymać?

— Pięćdziesięciu — odpowiedział Niedźwiedzie Serce.

— Powiedzmy stu — zauważył Sternau. — Drugą setkę wezmę ze sobą.

— Dokąd?

— To na razie tajemnica. Niedźwiedziobójca niechaj każe stu ludziom wsiąść na koń i jechać za mną.

Zaledwie minęła minuta, Sternau siedział na koniu i prowadził swój oddział.

— Co pan właściwie zamierza?

— Zobaczysz. Trzymajcie się tam dobrze!

Gdy z południa przybywali dragoni, na północ odjechali Apacze. Sternau jechał galopem. W krótkim czasie przybyli do hacjendy zupełnie niepostrzeżenie. W środku były tylko kobiety.

Podniosły ogromny krzyk, kiedy zobaczyły Apaczów. Wkrótce jednak uspokojono je. Przeszukano cały dom, znaleziono żywność, broń i naboje. Wszystko co wydawało się Sternauowi potrzebne, zabrano na konie. Kobiety zamknięto. Kiedy Apacze byli gotowi, czekali na powrót dragonów.

A ci, skoro przybyli do piramidy, poczęli sprawdzać teren. Podoficer musiał ze swoją sekcją zsiąść z koni i dalej iść piechotą. Zbliżali się ciągle i ciągle do krzaków, nie spostrzegłszy ani znaku życia. Już rotmistrz myślał, że Komancz pomylił się i że nie ma tu Apaczów, kiedy nagle zagrzmiała salwa i oficer padł na ziemię z całym swoim oddziałem. Ani jeden nie wyszedł żywy.

— Święta Madonno, oni naprawdę są tutaj! — zawołał rotmistrz. — Nic nam nie pomoże ostrzeliwanie się. Te przeklęte czerwone diabły obawiają się otwartego ognia, będą zaraz uciekać.

Grzmiącym galopem puścił się szwadron w stronę krzaków. Komendant był dzielnym wojownikiem, ale lekkomyślnym. Skoro Bawole Czoło i inni dowódcy poznali, że napad będzie tylko z tej strony, zwołali wszystkich wojowników. Leżeli na skraju zarośli, schowawszy się, a kiedy jazda się zbliżyła wypalili ze strzelb i puścili masę strzał.

Między dragonami powstało ogromne zamieszanie. Zabici i ranni, ludzie i zwierzęta — wszystko to leżało w nieładzie, reszta była zmuszona zatrzymać się. Rotmistrz także był ranny.

— To jest ten Książę Ska! — gniewał się. — Bez niego Indianie nie stawialiby oporu. Odnieście rannych na bok, a my spróbujemy wywabić myszy z ich dziur.

Próbowano, jednak bez skutku. Apacze byli zbyt roztropni, aby opuścić swoje schronisko. Rotmistrz siedział bezradnie na koniu.

— Co robić?

— Plac ten można dostać tylko szturmem! — zawołał jakiś kapitan.

— To wiemy! Chyba, że pan wynalazł jakąś nową metodę!

— Nie. Jasne, że nieprzyjaciel zebrał swoje siły w jedno miejsce, inne strony są огоłocone. Udamy, że chcemy napaść na tę stronę, skróćmy jednak przy nich na prawo, zajmiemy teren z drugiej strony i tym sposobem wypędzimy wroga w pole, gdzie on nie ma koni. Tam go po prostu rozniesiemy końskimi kopytami!

— Dobry pomysł, poruczniku. Zaraz wprowadzimy go w czyn. Dragoni uformowali się i popędzili galopem naprzód, ale się przeliczyli, bo podczas ich narady odbyła się też narada koło piramidy.

— Ustawimy się pośrodku tak, że wedle potrzeby — a to więcej jak pewne, że tak się stanie — będziemy mogli skrócić w lewo albo w prawo, albo nawet naprzód. Gdy dostaniemy ich między krzaki, to na koniach nie mogą nam nic uczynić, kiedy my mamy wolny odwrót — dowodził Piorunowy Grot.

Radę przyjęto. Szwadron popędził galopem, potem skrócił nagle na wschód. Tu też zajęli miejsca Apacze i kiedy dragoni nadjechali, zdziwili się, że nie padł ani jeden strzał, aż kiedy wszyscy pojedynczo wdarli się między krzaki, huknęło ze wszystkich stron.

Nastąpiła straszliwa rzeź. Dragoni na koniach nie mogli się bronić, przeszkadzały im krzaki, Apacze zaś mieli dosyć miejsca. Walka nie trwała nawet dziesięciu minut, gdy rotmistrz zgromadził swoich ludzi; ze stu miał już tylko dwudziestu. Popełnił głupstwo, którego jego zwierzchnicy z pewnością mu nie darują.

Długo, długo zatrzymywał się na równinie nie wiedząc, co czynić. Zdawało się, że chce napaść raz jeszcze, aby samemu znaleźć śmierć, wreszcie jednak odjechał do hacjendy.

Swoich zabitych i rannych zostawił na placu, wiedział dobrze, że nie mógłby ich ze sobą zabrać, gdyż Indianin nie daruje skalpu.

Obaj porucznicy także zginęli, był jedynym oficerem i kiedy ujrzał hacjendę, którą opuszczał z dumą, chętnie byłoby się zastrzelił z gniewu i wstydu.

Wjechali na dziedziniec, komendant udał się do swego pokoju. Sternau był na tyle ostrożny, że umieścił Apaczów z końmi z tyłu domu. Kapitan wszedł do izby, wyrwał pałasz z pochwy, rzucił nim o ziemię i zawołał gniewnie:

— Przekłeta walka! Ci Indianie nie stracili nawet pięciu ludzi, a ja ponad osiemdziesięciu!

— To smutne!

Kapitan zląkł się, usłyszawszy te słowa. Myślał, że jest sam, obrócił się i zobaczył siedzącego na krześle Sternaua.

— Do tysiąca diabłów! Pan tutaj! — zawołał.

— Jak pan widzi — odparł Sternau spokojnie. — Pozwoliłem sobie zapalić pańskie cygaro!

— Myślałem, że pan walczył pod piramidą?

— Ani mi w głowie! Przecież powiedziałem panu, że nie jestem jego wrogiem. Ja nawet wyrządziłem panu pewną grzeczność.

— Jaką?

— Nie spostrzegł pan jeszcze?

— Nic a nic.

— A czy wie pan może w jakiej sile są Apacze?

— Dwustu sześciu ludzi.

— A z iloma pan walczył?

— Ze wszystkimi.

— Myli się pan, tylko ze stu sześciu!

— Niemożliwe! Wtedy bylibyśmy równi co do liczby i musielibyśmy zwyciężyć!

— To fałszywy pogląd. Zrobiłem panu grzeczność i uprowadziłem wodzom stu wojowników.

— Naprawdę? Dlaczego?

— By ułatwić panu zwycięstwo — odrzekł ironicznie Sternau.

— Pan sobie szydzi ze mnie? — krzyknął rotmistrz.

— Wcale nie, gdybym nie zabrał tych stu, nikt z was by nie wrócił.

— Jakim więc sposobem widzę pana tutaj?

— Mógłbym zapytać podobnie: jakim sposobem widziałem pana przy piramidzie? Przyszedł pan do nas po zaczepkę, a ja do pana. Chciał mnie pan wczoraj uwięzić, dzisiaj obróciło się szczęście. Jest pan moim więźniem!

Z tymi słowy wstał i przystąpił do rotmistrza.

— Czy pan jest przy zdrowych zmysłach? — zawołał chwyciwszy w rękę rewolwer.

Sternau popatrzył błyszczącym okiem i rzekł groźnie:

— Rękę z rewolweru! Czy chce pan dostać taki sam cios jak wczoraj?

Rotmistrz zawahał się i rzekł:

— Pan jesteś dziwnym człowiekiem. Zawołam moich ludzi!

— A ja moich!

Przystąpił do stołu, wziął czekoladową laseczkę i rzucił ją w okno wychodzące na tylne podwórze. To był znak dla Indian, aby wyszli na główny podwórzec i pojмали wszystkich dragonów. Widocznie stało się wedle umowy, jak to wskazywał wrzask, dający się słyszeć z podwórza.

— Chodź pan i popatrz! — rzekł Sternau.

Rotmistrz podszedł do okna, kiedy ostatni z jego dragonów dostał się w ręce Apaczów.

— Apacze! — zawołał przerażony.

— Naturalnie! — rzekł Sternau — I to znowu z sympatii do pana. Nie chcemy puścić pana do Chihuahua, gdzie czeka na niego ogromna kara, za figiel, który wyplatałeś pan dzisiaj. Jesteś pan moim więźniem i pańscy ludzie, także.

— Co mam robić między Apaczami?

— Nie stanie się panu nic złego. Jesteś pan moim zakładnikiem!

— Zakładnikiem? Dlaczego?

— O tym dowie się pan później. Pozbieraj pan najpotrzebniejsze rzeczy, moi Apacze są już przed drzwiami.

— Senior jesteś zdrajcą! — zawołał kapitan. — Jako biały wydajesz mnie w ręce czerwonych!

— Jestem zdrajcą? Powiedziałem panu wczoraj, że Apacze nie chcą walki z wami. Prosiłem o trzydniowe zawieszenie broni, nie chciał pan. Sam wywołałeś bitwę, teraz musisz ponosić jej skutki.

Otworzył drzwi, weszło kilku Apaczów, którzy bez ceremonii związali kapitana i wyprowadzili. Teraz udał się do kobiet, które podniosły ogromny płacz i krzyk.

— Cicho!

Ale kobietom trudno nakazać milczenie. Stara klucznica łkała żałośnie, załamując ręce, reszta kobiet szczerze jej w tym pomagała.

— Senior zlituj się! Nic panu złego przecież nie uczyniliśmy. Czy mój kuzyn Verdoja był może nieprzyjacielem pana?

Na te słowa zaświtała w głowie Sternaua myśl.

— To Verdoja był kuzynem pani? Musiał mieć do pani zaufanie. Czy nie wie pani, co to za piramida jest w pobliżu?

— Znam ją, wewnątrz jest próżna, gdyż senior Verdoja często w niej bywał. Jeszcze jego ojciec odkrył tajemnicę wejścia. Na górze, w stoliku leży plan, z którego można poznać, jak wygląda piramida wewnątrz.

Wszystko wypaplała, a na koniec wydała plan piramidy ze starego stolika.

— Ale co powie senior Verdoja, kiedy zobaczy, że stół rozbity! — rzekła trwożliwie.

— Nie obawiaj się pani, on nic nie zobaczy, bo nie wróci więcej, Apacze go zabiją. Zresztą ja zaraz podpalę hacjendę.

— Podpalisz pan? O święta Madonno! Co ja panu uczyniłam złego, że mnie chcesz tak zniszczyć?

— Verdoja na to sobie zasłużył.

— Ale nie ja. Jeśli on naprawdę zginie, to hacjenda będzie moja.

Sternaua to zmiękczyło, zgodził się oszczędzić hacjendę.

Schował plan do kieszeni, pochód wyruszył! Wszyscy szli piechotą, bo każdy prowadził obładowanego konia. Powiązani dragoni także prowadzili swoje konie. Żaden *vaquero* się nie pokazał. Z początku byli świadkami nieszczęśliwej walki, potem wrócili do swoich stad, a teraz, zobaczywszy Apaczów, pochowali się.

Skoro karawana dotarła do piramidy, nastąpiła wielka niespodzianka. Sternau przyprowadził jeńców i zdobycz, która przyniosła całej gromadzie wielką ulgę. Mogli wytrzymać oblężenie nie wiedząc jak długo. Chwała jego rozbrzmiewała wszędy. Przyniósł ze sobą topory i łomy, które mogły się przydać. Zasoby dobrze schowano, jeńców otoczono strażą, kilku wojowników wysłano na zwiady.

Teraz Sternau zaczął studiować plany. Były bardzo dokładne. Wnętrze piramidy składało się z trzech pięter, pośrodku których była głęboka czworokątna studnia. Zewsząd korytarze.

Chodziło o to, aby znaleźć jeden z korytarzy, który mógł być teraz zamurowany. Sternau objaśnił pozostałym plan budowy i sam udał się szukać wejścia.

Natrafił na skałę, która była porozrywana w dziwaczny sposób. Sternau oglądnął ją, naraz ukląkł i próbował poruszyć kamień... odsunął się. Podskoczył z radości i zawołał:

— Mam go! Tu jest wejście!

— Gdzie, gdzie? Prędko, prędko!

— Trzeba środkowy kamień wsunąć do środka. Piorunowy Grot i nacisnął z całej siły. Kamień się usunął.

— O mój Boże, dzięki Ci! Sternau zaglądnął w otwór.

— Latarnia. Musi ich tam być więcej. I butelka z oliwą jest tutaj!

— Prędko zapalić, a potem do wnętrza!

Piorunowy Grot skoczył i w mgnieniu oka zaświecił latarkę, potem szybko postępował naprzód, nie bacząc na to, czy ktoś spieszy za nim, czy nie. Sternau, Bawole Czoło i Niedźwiedzie Serce ruszyli za przyjacielem.

Przeszli długi korytarz i znaleźli się przed drzwiami. Sternau miał plan przed oczyma i przyglądnął mu się w świetle latarki.

— Drzwi tu nie ma oznaczonych. Czy jest w nich jakiś zamek?

— Nie, a mimo to zamknięte mocno.

— Rygiel musi być ze strony wewnętrznej, albo to jakiś tajemniczy mechanizm. Nie mamy czasu, by go zgłębić, mamy dosyć prochu, wysadzimy drzwi. Zróbcie nożami dziurę między murem i drzwiami. Mur dosyć miękki. Przyniosę nieco prochu.

Trwało chwilę, potem usłyszano czterokrotny strzał. Już chcieli się wszyscy wrócić do wnętrza, kiedy nadbiegł Niedźwiedziobójca z ważną nowiną.

— Co tam przynosi mój brat? — zapytał Niedźwiedzie Serce.

— Psy Komanczów idą lasem, koło którego przeprawialiśmy się wczoraj.

— Kto przyniósł tę wiadomość?

— Szybki Jeleń.

— To wysłuchamy naprzód jego. Zawołaj go! Szybki Jeleń przybył.

— Niech mój brat powie, co widział — rozkazał Niedźwiedzie Serce.

— Szedłem drogą, którą przybyliśmy wczoraj. Odkryłem ślad Komanczów, który wiódł do hacjendy. Idąc tym śladem do lasu, usłyszałem krakanie kruków, widocznie ktoś je spłoszył. Nie trwało długo, kiedy psy Komanczów przeszły obok mnie. Było to wielkie plemię, bo naliczyłem ponad cztery razy dziesięć razy sześć wojowników, a wodzów było trzech.

— Znałeś ich?

— Nie.

— Dokąd poszli?

— Poszli aż na skraj lasu. Tam szpieg powiedział im gdzie my jesteśmy, a także wszystko co widział. Potem naradzili się i w końcu poszli do hacjendy.

— To niedługo zobaczymy ich tutaj.

— Oni nas zamkną, byśmy nie mieli połączenia. W nocy nas napadną. Uważajcie na straż. Jeśli zdarzy się coś ważnego, dajcie nam znać do tej nory.

Kiedy doszli do miejsca, gdzie były drzwi, znaleźli je leżące na ziemi. Wyciągnięto je z gruzów muru i oglądnięto. Nie widać było nic, jak tylko na górze i na dole czworokątny otwór. Oglądnięto miejsce na ziemi, gdzie drzwi były umieszczone i powałę, znaleziono u góry i u dołu żelazny ząb, który wchodził w otwór. Ale ząb ten był nieporuszalny i nie można było odgadnąć zasady działania.

— Nie pozostaje nic innego, jak wysadzić wszystkie drzwi — rzekł Sternau. — Przyniosę prochu.

Długo szukali następnych drzwi, były w prawym murze, korytarz zaś prowadził dalej. Wtedy Sternau ponownie przeglądął plan.

— Czego szuka mój brat? — zapytał Niedźwiedzie Serce.

— Szukam miejsca, w którym znajdują się jeńcy. W każdym razie są oni we wnętrzu piramidy w pobliżu studni, gdyż tam są najbezpieczniejsi. Do studni mamy pięć drzwi i te muszą być wysadzone.

Znowu drzwi wysadzono. Próbowano przy innych użyć siekiery i dźwigni, ale narzędzia nie wystarczały. Znowu użyto prochu. Huk był straszliwy, zdawało się, że rozerwie całą budowlę. Rumowisko gdzie upadły drzwi było ogromne, nie można było iść dalej, musiano usunąć gruz.

Kiedy byli zajęci przy gruzowisku, przybył posłaniec i zawołał wodzów. Żał im było porzucić choć na chwilę ukochane istoty, do których się ciągle zbliżali, ale na dworze stało dwustu Apaczów. Musieli iść za głosem obowiązku.

Stanąwszy przed piramidą spostrzegli, że Komancze otoczyli ich pierścieniem. Policzywszy nieprzyjaciół zobaczyli, że było ich nie więcej jak stu, ale wszyscy konno.

— Oni się zaopatrzyli w konie w hacjendzie Verdoji — rzekł Sternau. — Walkę rozpoczną, skoro wszyscy będą gotowi. Możemy tymczasem powrócić do rozpoczętego dzieła.

* * *

Podczas gdy groźna bitwa zbliżała się, jeńcy siedzieli w piramidzie i rozmyślali nad możliwością ratunku. Liczyli na Sternaua, ale już minęły dwie noce, co dla nich było wiecznością, jego jednak nie było. Wody już brakowało, żywność mogła wystarczyć na bardzo krótki czas, a do tego zwłoki Pardera i strażnika wydzierały nieznośny smród, a ze studni słychać było od czasu do czasu potworne wycie.

Indianka nie mówiła dużo. Emma zaś nie mogła zapanować nad swoim strachem. Nie wierzyła już w ratunek, który mógł przyjść tylko z zewnątrz!

Emma załamała ręce i błagała:

— O święta Madonno! Proszę cię, ocal nas, pomóż nam w tej strasznej biedzie! Nie daj nam zginąć z głodu, przepaść w tej ciemności straszliwej. Daj nam znowu oglądać światło dzienne, a będę cię błogosławić, póki życia mego.

Sternik milczał, ale Mariano pochwycił ręce seniority i prosił głosem pełnym pocieszenia:

— Nie trać nadziei! Bóg jest wszechmogący. Znam Sternaua, który mnie nigdy nie zawiódł. On dokona takiej rzeczy, jakiej nikt nie jest w stanie dokonać. On nas znajdzie i ocali.

— Ale kto mu powie gdzie jesteśmy?

— Bóg się o to postara. Sternau nas znajdzie, jestem tego pewny. — A jeżeli jemu samemu przytrafi się nieszczęście?

— Jemu nic złego się nie stanie. Wie dobrze, ile zależy od tego, aby on wyszedł cało i dlatego będzie ostrożnym. Może właśnie dla tej jego ostrożności musimy tu czekać. Minęły dopiero dwa dni. Możliwe, że on dopiero teraz dotarł w te okolice. Będzie szukać śladów i... znajdzie je. A wtedy odkryje środek, aby się do nas dostać. Zdaje mi się, że... słuchajcie!

Nadsłuchiwali, ale nie usłyszeli nic.

— Co to było?

— Zdawało mi się, jakbym słyszał ciche usuwanie się kamieni.

— To była iluzja, senior. Do tej głębi nie dostanie się żaden głos. Znowu nastąpiła cisza, dopóki sternik wśród swego rozmyślenia nie zawołał:

— A do czarta! Nareszcie!

— Czego pan szuka?

— Środka na wysadzenie tej piramidy w powietrze, naturalnie tak, żeby nam się nic nie stało!

— Nie męcz się pan takimi myślami, to wszystko daremne. Pomoc może przyjść tylko z zewnątrz.

— A więc niech już raz nadejdzie i nie chodzi o mnie, ale o te panie, które na taki los nie zasłużyły... Ale, co to?

Nasłuchiwali, gdyż wszyscy usłyszeli grzmot.

— To tak samo jak przedtem, tylko mocniej — rzekł Mariano. — Nie jest to przecież burza! I jakże by tu słyszano grzmoty?

— To nie był grzmot — wyjaśnił sternik. — To był strzał.

— Ależ to niemożliwe słyszeć tutaj wystrzał z zewnątrz.

— A jeśli strzał padł tuż koło nas? Słyszałem wystrzał armatni a wątpię czy nawet taki wystrzał można by usłyszeć aż tutaj.

— Czy to może znak? Sternau przecież wie, że nie możemy mu odpowiedzieć.

Na te słowa Emmy sternik pokiwał głową.

— Wie pani co czyni taki sam huk? Wystrzał dynamitu!

— O Wszechmocny! Czy pan sądzisz może...?

— Tak, sądzę, iż Sternau jest tutaj. To był wystrzał dynamitu. Znam dobrze Sternaua. Jemu nic nie przeszkodzi. Może wpadł na myśl powysadzać drzwi, bo nie może ich otworzyć.

Słowa te wymówione były takim pełnym wiary tonem, że Emma z błyszczącymi oczyma rzekła:

— Pan mnie pociesza, zdaje mi się że ratunek naprawdę przybywa. O mój ojczu, o mój biedny, ojczu. Czy zobaczę cię jeszcze?

Plakała, ale były to łzy bólu a nie nadziei. Nagle usłyszeli straszliwy grzmot. Podłoga i ściany korytarza zadrżały. Kiedy po huku nastąpił głuchy trzask, jakby spadanie kamieni, podskoczył sternik w górę i zawołał!

— Hurra! Hurra! Sternau jest naprawdę tutaj! Był to wystrzał dynamitu, a mur się rozsypał. Ratunek już blisko!

I Emma chciała także wstać, lecz zachwiała się i padła na kolana.

— Czy to możliwe? — wyrzekła.

— Wierzę, że senior Helmer ma słuszość — rzekł Mariano. — A jak sądzi seniorita Karia? Indianka otworzyła pomału przymknięte oczy i rzekła:

— To Sternau, wiedziałam, że przyjdzie.

Wtedy padła Emma mówiącej na szyję i ucałowała ją.

— O Panie, dzięki Ci! Nigdy nie przestanę Cię miłować tak, jak Ty nie zapomniałeś o nas! Minęło sporo czasu, nasłuchiwali ciągle.

— Czy nie powinniśmy pójść do przednich drzwi? — zapytał sternik.

— Tak, może lepiej usłyszemy co się dzieje — odparł Mariano. Emma oparła się na jego ramieniu i podeszli pod drzwi, które daremnie usiłowali otworzyć. Tam usiedli na wilgotnej ziemi i słuchali.

— Wynoszą żwir i kamienie. Ostatni wystrzał był silny i musiał znacznie uszkodzić korytarz.

— Ach, gdyby tak było.

— Tak jest, seniorita. Siedziałem cicho i myślałem o mojej żonie, bracie i synku, ale odwagi i nadziei nie postradałem...

— Ale teraz jakoś nic nie słychać.

To był właśnie czas, kiedy wodzów wywołano na górę.

Potem, znowu uderzenia siekiery, a przy tym wydawało się, że słychać ludzkie głosy! I rzeczywiście zbliżały się. Głośno i wyraźnie dały się słyszeć.

— Jeszcze te drzwi — odezwał się męski głos. — One z pewnością prowadzą do studni. Mamy jeszcze dosyć prochu.

Zamkniętych zelektryzowało. Z rozkoszy i radości nie mogli nawet przemówić. Trzymali się mocno za ręce.

— Sternau! — szepnął nareszcie Helmer. — Wiedziałem o tym. On wie, że te drzwi prowadzą do studni!

Nasłuchiwali. Stamtąd słychać było, że obmacywano drzwi, wreszcie dał się słyszeć inny głos:

— Tu znowu trzeba dużo prochu. Te drzwi też mają podwójny rygiel!

Wtedy Emma krzyknęła radośnie:

— Mój Boże! Antonio! Antonio!

Na chwilę po tamtej stronie zapanowała cisza i radosny krzyk Piorunowego Grota:

— Emmo, moja Emmo, to ty?

— Ja, ja, mój ukochany!

— O dzięki Bogu! Jesteś sama?

— Nie, wszyscy czworo jesteśmy tutaj!

Wtedy zawołał głos, którego dotychczas nie słyszano:

— Wszyscy czworo? Karia także?

Ton tego głosu wywołał rumieniec radości na zmartwionym obliczu Indianki.

— Tak!

— *Uff! Uff!* — dał się słyszeć nowy głos. Karia na dźwięk tego głosu zbladła trochę.

— Kto to mówił — zapytał po cichu sternik.

— Znam ten głos! — odparła Emma. — To Niedźwiedzie Serce. Bohaterowie są wszyscy razem. Ale gdzie jest Sternau? Nie słyszę go.

Te rozmowy następowały bardzo szybko, przelatywały z jednej na drugą stronę. Teraz zapytał Piorunowy Grot: •

— Jak się pani czyje, Emmo?

— Dobrze! Teraz zapomniałam o wszystkim! Wtem zapukano i wreszcie ozwał się głos Sternaua:

— Jak się powodzi mojemu sternikowi? Zapomniał pewnie o wszystkich, nawet o bracie.

— Dziękuję, panie doktorze! — zawołał Helmer zza muru. — Stoję jeszcze na kotwicy, proszę tylko o wolną przestrzeń, to zaraz wypłynę!

— Stanie się tak, na pytania mamy czas, tylko jedno: czy Verdoja i Padero są tam?

— Tak.

— Co robią? Zdaje mi się, że nie są z wami.

— Padero nie żyje, a Verdoja wpadł do studni i złamał sobie kręgosłup, ale jeszcze żyje.

— Ach, co za zrzędzenie! — zauważył Sternau. — Musieliście się tego bronić. Czy ciemno jest u was?

— Nie, mamy dwie latarnie.

— To dobrze, a teraz cofnijcie się jak najdalej. Zaraz będziemy wysadzać.

Szczęśliwi powrócili do najbliższego korytarza, potem przysłuchiwali się zgrzytowi narzędzi, kruszących mur.

— Czy nie powiedziałem, że Sternau przyjdzie? — rzekł Helmer. — To człek, jakiego więcej nie ma w świecie!

— I ja wiedziałem — potwierdził Mariano. — Nigdy nie będę w stanie podziękować mu za to!

Minęło trochę czasu i usłyszano ponowny trzask, ściany się rozluźniły a z powały spadły całe kawały muru, potem usłyszano głos Piorunowego Grota:

— Emmo, gdzie jesteś?

— Tutaj! — wykrzyknęła radośnie.

Piorunowy Grot stał z tej strony rumowiska, wprawdzie wśród ciemności, słabo tylko oświetlony latarki płomykiem, ale Emma wpadła w jego objęcia, on otoczył ją ramionami mocno, czule tak, że słyszała ciche jego ślubowanie, że nigdy więcej jej nie opuścić...

— Mój Antonio — szeptała. — Myślałam, że umrę.

— Bogu dzięki, że tak się nie stało — odrzekł z głęboką czułością. — Moja chora głowa byłaby tego nie wytrzymała, oszalałbym na nowo.

Aż tu wyłoniła się obok nich postać Bawolego Czoła.

— Gdzie jest Karia, córka Misteków? — zawołał. Szczęśliwi padli sobie w objęcia.

Teraz przybył Sternau i podał wszystkim rękę. Mariano uściskał go i dziękował serdecznie.

— Znowu mnie ocaliłeś, Karolu! Jesteś moim duchem opiekuńczym zawsze i wszędzie.

Sternik rzekł wzruszony:

— Panie doktorze, jeśli ujrzę jeszcze moich, to panu będę to zawdzięczał. Niech Bóg panu zapłaci. Ja nie jestem w stanie.

Krótkimi, urywanymi zdaniami opowiadano to, co się stało.

— Jak to, ty wyrwałaś nóż Verdoji i groziłaś mu nawet? — zapytał Piorunowy Grot swoją ukochaną.

— Tak. Nie śmiał mnie tknąć, byłabym jego albo siebie zabiła.

— Moja bohaterka!

Z tym okrzykiem podziwu przycisnęła ją do siebie, a obok usłyszeli pytanie:

— Córka Misteków zabiła Pardoera własną ręką?

Był to Niedźwiedzie Serce, Apacz, którego teraz kochała całą siłą serca, chociaż niegdyś była tak głupia i wołała hrabiego Alfonso.

— Tak — odpowiedziała cicho.

— A potem uwolniła z więzów współpojmanyh?

— Tak.

— Córka Misteków jest bohaterką. Zasłużyła na to by zostać jedyną *squaw* wielkiego wodza.

Pogłaskał ją pieśczośliwie po włosach i odwrócił się, ale ona wiedziała, że te słowa i to łagodne głaskanie więcej u niego znaczyły, niż u innych tysiące słów.

I Francesco przystąpił, by przywitać się z Emmą.

Wreszcie rzekł Sternau:

— Zostawmy na później to wszystko, a pomyślmy, co teraz robić. Zobaczmy cele, w których byliście, i trupy.

Mariano chwycił latarkę i prowadził. Kiedy doszli do zwłok, nikt nic nie powiedział. Czuli, że tu odbył się sąd Boży. Nagle zabrzmiał straszny długi krzyk.

— To Verdoja — zauważył Mariano.

— Straszne! — rzekł Sternau. — Muszę go zobaczyć!

Poszli naprzód, dziewczęta zostały, prosząc sternika by zabawił z nimi.

Właśnie kiedy przystąpili nad studnię, zabrzmiał powtórny krzyk. Zadrżeli mężowie, nie ma bowiem zwierzęcia, które by wydawało taki krzyk.

Sternaua spuszczone z latarką w rękę w przepaść. Kiedy przybył na dół, rzucił snop światła na roztrzaskanego. Ten otworzył oczy nabiegłe krwią, wpatrzył się w niego jak w straszdyło i zawołał:

— Psie, to ty jesteś!

— Tak, to ja. Diabie w ludzkim ciele, dowiedz się, że plany twoje spełzły na niczym. Przyszliśmy oswobodzić jeńców, drzwi otwarte, oni są wolni.

— To przeklinam was!

Chciał się podnieść, ale ruch ten spowodował takie bóle, że nie mógł dokończyć przekleństwa.

— Stoisz na progu śmierci, przed sądem bożym, proś Go o miłosierdzie, zamiast kłąć!

Verdoja chciał zacisnąć pięści, ale nie mógł. Zgrzytał zębami, pieniał się jak dziki zwierzę.

— Precz, nie chcę łaski!

Ta straszliwa złość stłumiła w Sternaule wszelkie uczucie miłosierdzia.

— Dobrze, nie zasługujesz na łaskę, przynajmniej u mnie. Bóg cię ukarał. Karę tę musisz znieść do ostatniej kropli. Ja cię muszę oglądać i uczynić wszystko, aby cię zatrzymać przy życiu razem z twoimi bólami.

Zgiął się i rozpoczął badanie. Wcale nie starał się być delikatnym, dlatego też z ust rannego dobywało się prawie nieludzkie wycie.

Wreszcie Sternau był gotów.

— To sąd Boży. Wszystkie kości masz połamane i nie można ich połączyć. Ale to wszystko nie jest śmiertelne. Wnętrznosci nie naruszone i silne, będziesz żył, ale bólu, który cię teraz niszczy, nie pozbędziesz się nigdy. Taką karę może wymyślić tylko Bóg, a ty masz ją znieść, o to ja się postaram.

Przywiązał roztrzaskanego do liny, nie zważając na jego stan. Dał znak. Wyciągnięto go, Sternau za sam się wydrapał na górę.

— Co zrobimy z tym człowiekiem? — zapytał Piorunowy Grot.

— On nie umrze, gdyż śmierć byłaby dlań nagrodą. Będzie żył w ogromnych bólach.

— To nawet sprawiedliwie! — rzekł Niedźwiedzie Serce. — Wielki duch jest sprawiedliwy!

— Zasłużył na to! — zauważył zwyczajnie Bawole Czoło i odwrócił się.

— Wyślę kilku Apaczów, — rzekł Sternau — aby go zanieśli do przedniego korytarza i tam niech sobie leży. Teraz wracajmy.

Poszli do dam i zaprowadzili je przez porożsadzane drzwi do wyjścia. Emma stanęła, w oczach jej pojawiły się łzy. Wyciągnęła do Sternaua ramiona i objęła go:

— Jeżeli panu to zapomnę, niech o mnie zapomni szczęście! I Bawole Czoło podał mu rękę:

— Niechaj Książę Skał zażąda mojego życia, ono będzie jego! Wszyscy cisnęli się do niego z podziękowaniem.

Teraz udano się w bok, aby mieć wolny przegląd okolicy. Teraz Komanczów było dużo więcej, gdzieś około trzystu. Wszyscy mieli dobre konie i jak było widać, zaopatrzeni byli w dobrą broń.

Emma zatrwożyła się na widok tylu nieprzyjaciół, ale mężczyźni starali się podnieść ją duchu, co im się nareszcie udało. Karia zaś gardziła Komanczami i pragnęła tylko strzelby, aby brać udział w obronie.

— Popełniliśmy wielki błąd — rzekł później Sternau.

— Jaki — zapytał Bawole Czoło.

— Najpierw była ich tylko setka, nas zaś dwustu. Gdybyśmy ich zaatakowali, to zwycięstwo byłoby nasz, o drobne oddziały pobilibyśmy po drodze.

— Księżę Skał ma słuszość, — rzekł Niedźwiedzie Serce — ale nasze serca znały tylko mowę miłosierdzia do naszych przyjaciół. Mimo to nic nam nie zrobią psy Komanczów. Jesteśmy tutaj bezpieczni, a Rączy Koń przyśle wojowników, którzy połączą się z nami.

— — Niechaj tylko Komancze przyjdą. Są jako szarańcza, którą się stopami miażdży! — rzekł Bawole Czoło.

Ładnie to było powiedziane, ale na krótko przed zachodem słońca spostrzeżono, że nieprzyjaciele liczyli około czterystu mężów, którzy otoczyli piramidę wąskim półkolem.

Skoro się ściemniło, ujrzano ich ognie płonące dookoła. Apacze też mogli zapalić ogień, aby upiec mięso, gdyż mieli go pod dostatkiem. Ognie obu obozów zgasły gdzieś około północy.

Teraz trzeba było się mieć na baczności. Dopóki płonęły ogniska, nie trzeba było obawiać się napadu nieprzyjaciół, gdyż każdy ich ruch można było zaraz ujrzeć. Teraz zaś inaczej. Wodzowie uradzili, aby wojownicy spali we dnie, w nocy zaś czuwali. Na skrawkach zarosli leżeli strzelcy w pogotowiu, patrząc w daleką, ciemną błoń. A Sternau urządził między nieprzyjacielską a swoją pozycją łańcuch ze straży i zwiadowców. Podchodzili tak daleko, jak tylko mogli. Nie mieli przy sobie ciężkiej broni, tylko noże. Mieli rozkaz nie walczyć, tylko umknąć, gdyby spostrzegli jakiś ruch nieprzyjaciela.

Niedźwiedzie Serce objął komendę po północnej stronie piramidy, Bawole Czoło po południowej, Piorunowy Grot po wschodniej, a Sternau zachodniej. On też dostał naczelne dowództwo i czterech znakomitych biegaczy, którzy mieli mu służyć za gońców.

Tak minęły dwie godziny, kiedy Piorunowy Grot wysłał wojownika do Sternaua z informacją, że nieprzyjaciel ściąga ku północy i południowi. Wkrótce potem oznajmili obaj wodzowie, że wszystkie cztery setki nieprzyjaciół zwróciły się na zachód. Z tego można było wnosić, że chcieli Apaczów napaść z tej jednej strony ogromną siłą. Zaraz wydał Sternau rozkaz, aby wszyscy Apacze ściągnęli na bok.

Zaledwie się to stało, przybyły najdalsze straże i oznajmiły, że nieprzyjaciel postępuje od strony zachodniej.

Wtedy zwrócił się Sternau do Niedźwiedziego Serca:

— Niech brat mój weźmie pięćdziesięciu wojowników, aby obejść obóz Komanczów i napaść na nich z tyłu. Łatwo znajdzie ich konie, siądzie na nie ze swoimi ludźmi i roztratuje nieprzyjaciela.

— *Uff!* — odparł Apacz, któremu to polecenie bardzo się spodobało. — Księżę Skał jest wielkim wodzem. Odniesiemy zwycięstwo.

W krótkim czasie zniknął ze swymi ludźmi. Teraz Sternau rozkazał swoim stu pięćdziesięciu nie strzelać. Oczekiwano w ciszy początku bitwy, której wynik ciągle był bardzo wątpliwy.

Minęło sporo czasu, a kiedy na wschodzie niebo zaczęło jaśnieć i dawało tyle światła, aby odróżnić nieprzyjaciela od swego, zabrzmiał nagle straszliwy czterystu głosowy okrzyk wojenny i Komancze popędzili do walki.

Indianin walczy najchętniej na koniu, ale tu, gdzie chodziło o piramidę, konie nie pomagały, dlatego nieprzyjaciele natarli piechotą. Naturalnie, żaden czerwonoskóry nie jest dobrym wojownikiem pieszym. Apacze mieli dobry cel, a kiedy nieprzyjaciel był już blisko, wystrzelono na głośny okrzyk Sternaua sto pięćdziesiąt kul i strzał w ich kierunku.

Straszliwy był skutek. Komancze nagle stanęli, ale wodzowie popędzali ich na nowo. Chociaż krótko trwała pauza, Apacze mieli czas nabić na nowo, druga ich salwa miała taki sam skutek.

Zawyli ze złości Komancze. Ścisnęli się znowu w jedną gromadę i popędzili naprzód. Apacze nie mieli już czasu naładować swoich strzelb z jedną lufą i wydawało się, że nadejdzie bój ogólny. Teraz nadeszła decydująca chwila.

Kto miał kulę w lufie, strzelał i potem łapał za tomahawk. Aż tu nagle nadleciał na galopujących koniach Niedźwiedzie Serce ze swoją pięćdziesiątką.

Cicho bez okrzyku wojennego, napadli na ściśnięte tłumy Komanczów i wszystko rzucili na ziemię, co im stało na drodze.

Dniało już prawie i Sternau mógł obejrzeć pole bitwy. Jego intuicja podyktowała mu najlepszy środek, zawołał gromkim głosem:

— Na koń i na nich!

Konie Apaczów stały po stronie zachodniej. W ciągu minuty spadli Apacze na Komanczów. Ci nie sprostali takiemu napadowi. Obrócili się, przebijali się przez nieprzyjaciół i uciekali na równinę. Pobojowisko zostało wolne dla Apaczów, którzy mieli ogromne żniwo skalpów.

Sternau nie strzelił ani razu. Przygotował swój sztucer na wszelki wypadek. Apacze zdobyli blisko dwieście skalpów, sami zaś stracili blisko trzydziestu wojowników. Zwycięstwo to zawdzięczano przezorności Sternaua.

Apacze odpoczywali, a Komancze zgromadzali się na zachodzie. Potem przedsięwzięli ten sam manewr, co wczoraj. Otoczyli piramidę, aby napaść na Apaczów.

Sternau zwołał wodzów na naradę.

— Teraz możemy się przebić — rzekł. — Komancze nie mogą nam nic zrobić. Duch ich upadł wskutek klęski.

— Dlaczego mamy odejść? Tu nam Komancze nic nie mogą zrobić, a tymczasem nadejdą nasi bracia.

Tak rzekł Niedźwiedzie Serce i zdanie jego zostało przyjęte.

Verdoję sprzątnięto i pozostawiono u wejścia do jaskini, gdzie jeden z Apaczów trzymał przy nim straż. Jadł i pił jak zdrowy człowiek, przedstawiał jednak ze swoimi napuchniętymi rękami i nogami straszliwy widok.

Uwięzieni dragoni też byli pod strażą. Sternau chciał ich mieć jako zakładników, jeśliby z Chihuahua wysłano przeciw niemu inny oddział.

Pierwszy dzień minął i noc i drugi dzień, a oczekiwani wojownicy nie przybywali. Komancze, jak się zdawało, przybrali znowu na liczbę. Następnej nocy spostrzegł jeden strażników, jakiegoś mężczyznę. Już chwycił za nóż, kiedy ciche słowo dało mu znać, że tamten drugi był Apaczem.

— Mój brat pełni straż?

— Tak.

— Który wódz kieruje wojskiem?

— Książę Skał.

Obcy milczał zdziwiony, a potem zapytał:

— Czy Książę Skał jest tu, przy moich braciach?

— Tak jest.

— To okażą się z pewnością waleczne ich czyny. Gdzie go można znaleźć?

— Idź dalej! Zobaczą cię i zaprowadzą do niego.

Obcy posłuchał i dostał się do krzaków, gdzie go ponownie zatrzymano, zaprowadzono go do Sternaua, który właśnie miał naradę.

— Kim jesteś? — zapytał.

— Jestem Latającym Sępem, wodzem Taracone Apaczów.

Na te słowa podniósł się Niedźwiedzie Serce przystąpił do niego.

— Latający Sęp? *Uff*, tak ty nim jesteś, mój bracie. Witaj. Kiedy przybędziesz ze swoimi Apaczami?

— Przychodzę jako posłaniec.

— Nie jako wódz?

— Nie. Rączy Koń zgromadził wodzów wszystkich Apaczów, aby im powiedzieć, że wojna w Meksyku i że Juarez jest przyjacielem Apaczów. Zgromadzeni byli wszyscy wojownicy, ale oni nie chcą wojny z prawdziwym wodzem Meksyku. Dlatego zakopali topór wojenny, a mnie wysłali, bym ci to powiedział.

— Nie przyjdą więc nasi wojownicy?

— Nie. Rączy Koń każe ci powiedzieć, abyś wracał ze swoimi wojownikami na nasze błonia „robić mięso”.

Niedźwiedzie Serce pochylił głowę, nie mówiąc nic. Głos zabrał Bawole Czoło i rzekł:

— Od kiedy to Apacz ma dwa języki? Naprzód mówi Rączy Koń, że jesteśmy winni zabrać topór wojny, potem mówi, że go zakopano. Odnieśliśmy wielkie zwycięstwo, dwieście skalpów zdobyliśmy, a teraz mamy znowu „robić mięso”?

— Ty nie potrzebujesz słuchać, jesteś wodzem Misteków — rzekł posłaniec.

— Milczę więc! — zauważył z uporem Bawole Czoło.

— Co powie na to Książę Skał? — zapytał Niedźwiedzie Serce.

— Lubię pokój, chociaż pomagam przyjacielowi. Brat mój, Niedźwiedzie Serce niechaj czyni tak, jak mu się podoba.

Wtedy rzekł poseł:

— Powiedziałem, co miałem powiedzieć. Bracia moi mogą się naradzić. Ja muszę natychmiast wracać, bo taka jest wola wodzów.

Aleja opowie, że widziałem Księcia Skał, wielkiego wodza białych twarzy.

Pozegnał się i zniknął tak jak przybył. Droga jego była niebezpieczna, musiał się prześliznąć pomiędzy Komanczami. Gdyby go schwytano, zostałby zabity.

Między pozostałymi nie omawiano więcej tej sprawy.

Nad ranem dał się słyszeć w obozie Komanczów okrzyk radości, musiało się więc stać dla nich coś bardzo miłego. Co to było takiego poznano później. Naokoło zobaczono ogromną ilość wojowników, którzy przybyli nocą. Było ich tu więcej niż tysiąc Komanczów razem. To była główna siła wojska pomocniczego, które wodzowie wysłali prezydentowi.

Sternau przeląkł się, chociaż był tak walecznym mężem. Tu nie można było spodziewać się ratunku, tu trzeba było umrzeć.

Wojownicy Apaczów patrzyli posepnie na nieprzyjaciela, niczego więcej nie mogli się spodziewać, gdyż odsiecz im nie przysłało.

Nie było to jeszcze wszystko. Przedpołudniem nadjechał szwadron dragonów. Między ich oficerami a wodzami Komanczów odbyła się narada, której wynikiem było, że jeden z oficerów zbliżył się do Apaczów jako parlamentariusz. Na końcu szpady niósł białą chustkę znak, że przybywa w pokoju. Sternau wyszedł mu naprzeciw.

— Kto jest dowódcą Apaczów? — zapytał oficer po grzecznym ukłonie, przyglądając się z podziwem postaci lekarza.

— Niedźwiedzie Serce, ich wódz.

— Czy jest tutaj mąż nazywany Księciem Skał?

— Tak jest.

— Gdzie on?

— Stoi przed panem.

Porucznik skłonił się głęboko i rzekł grzecznym tonem:

— Przybywam jako poseł od mojego rotmistrza i wodza Komanczów. Wysłuchasz mnie pan?

— Pewnie. Proszę za mną.

Zaprowadził go tam, gdzie siedzieli inni wodzowie, wskazał mu miejsce i dał znak, aby przemówił.

— Pozwól mi naprzód, senior, złożyć panu moje uszanowanie. Jestem... — rzekł oficer.

— Proszę — przerwał mu Sternau. — Co pan ma nam do powiedzenia?

— To naturalnie nie będzie miłe, senior. Czy Apacze stoczyli walkę ze szwadronem dragonów w hacjendzie Verdoji?

— Tak.

— Brał pan udział w bitwie?

— Nie.

— Ale pan zabrał w niewolę dragonów.

— Tak jest.

— Dobrze. Rotmistrz żąda wydania pańskiej osoby i wszystkich dowódców. Reszta wojowników może bez przeszkód odejść.

— Więcej niczego nie żąda pański rotmistrz?

— Nie.

— Powiedział pan, że przybywasz również i z ramienia wodzów.

A co ci nam każą powiedzieć?

— Ci żądają swoich zdobytych wraz ze skalpami, jak też dziesięciu Apaczów na śmierć męczeńską, reszta może odjechać.

— Słyszeli to moi bracia? — zapytał Sternau.

Kiwnęli głowami.

— Co postanowią w tej sprawie?

— Będą walczyć — rzekł Bawole Czoło. Niedźwiedzie Serce i Piorunowy Grot zgodzili się z nim.

— Słyszał pan odpowiedź? — spytał Sternau oficera.

— A co pan odpowie? — zapytał oficer.

— Ja bym nie wydał siebie, nawet wtedy, gdybym sam jeden siedział na tej piramidzie.

— Cenię i szanuję takie bohaterstwo. Obowiązkiem moim jest jednak przypomnieć panu, że ma pan walczyć z siłą większą jak dziesięciokrotną.

— Całkiem słusznie. Ale za to pozycja nasza jest sto razy silniejsza, między nami są mężowie, którzy i z dwudziestu nieprzyjaciółmi już nieraz się ścierali.

— Czy to pańskie stanowcze słowo?

— Tak, lecz muszę jeszcze dodać, że mam rotmistrza dragonów z dwudziestu może żołnierzami, u siebie w niewoli. Są moimi jeńcami. Jeśli pański szef wymaga tego, abym wraz z wodzami oddał się w jego ręce, to ci ludzie staną się jeńcami Apaczów, a jaki ich los wtedy czeka, osądź pan łaskawie sam.

— Aha, chcesz się pan zasłonić zakładnikami.

— Przyznaję, że to było moim zamiarem.

— To panu nic nie pomoże. Na południu stoją wojska rządowe, z północy i wschodu ciągną nowe gromady Komanczów. Jesteś pan zgubiony. Dajemy panu czas do namysłu, do jutra do tej samej godziny. Czynimy to, wiedząc, że położenie wasze jest naprawdę beznadziejne. Nie dostaniecie odsieczy, my zaś chcielibyśmy się powstrzymać od przelewu krwi.

— Czy podczas tego czasu do namysłu nie napażdziecie na nas?

— Nie.

— Komancze także nie?

— Nie, daję panu słowo.

— Dobrze, proszę więc przyjść jutro, o tej samej porze po naszą odpowiedź.

Oficer oddalił się. Sternau wyszedł na wierzch piramidy. Chciał być sam. Wiedział, że wodzowie uczynią tak samo, takim sposobem można będzie dojść do pewnego postanowienia.

Położenie jego było krytyczne. Chodziło tu o wolność a może nawet i o życie. Czy zobaczy kiedyś swoich drogich?

Sięgnął do kieszeni, aby jeszcze raz przeczytać ostatni list Róży, wyciągnął jednak zamiast niego plan piramidy. Rozwinął go i popatrzył bardziej instynktownie, niż z rozmysłem.

Korytarze były pobudowane bardzo symetrycznie, tylko jeden, bardzo krótki jakoś nie odpowiadał symetrii. Zdawało się, że to nie korytarz, ale jakaś wąska komórka. Na rysunku stało słowo *peta-pove*, Sternau nigdy takiego słowa nie słyszał.

Podczas jego rozmyślań przybył Bawole Czoło, jego więc zapytał:

— Czy brat mój słyszał kiedy słowo *peta-pove*?

— Tak.

— Co ono znaczy?

— Tak mówią Indianie Jemes. To znaczy „iść w dolinę”. Dlaczegoż mój brat pyta?

Nie otrzymał odpowiedzi, gdyż Sternau wstał i patrzył bacznie na zachód, gdzie wznosiły się Kordyliery Sonnowy. Błyskawica oświetliła jego mózg, obrócił się i rzekł:

— Niech brat mój idzie za mną!

Z tymi słowy pospieszył tą stroną piramidy, gdzie odpoczywały dziewczęta. One również zauważyły Komanczów, dragonów i poselstwo porucznika. Chciały zarzucić mężczyzn pytaniami, ale Sternau nie odpowiedział na żadne. Wziął małą beczkę prochu, przywołał kilku silnych Apaczów, którym dał młoty, siekiery, i łomy, prosił Niedźwiedzie Serce, by uważał na wojsko i zniknął z Bawolim Czołem i Apaczami w piramidzie.

Zapalono parę latarek i posunięto się w głąb. Doszli do drzwi, wysadzono je, potem ukazały się schody wiodące w dół. Tu znowu drzwi i przestrzeń, którą Sternau uważał na rysunku za wąską długą celę. I te drzwi wysadzono, jeszcze parę schodów w dół... a potem wąskie, wysokie sklepienie bez końca. To był ów podziemny korytarz z kamieni, który w równej linii prowadził na zachód.

Było to to samo, o czym myślał Sternau kiedy przetłumaczono mu nieznaną to słowo. Serce jego uradowało się. Pospieszył naprzód ciemnym korytarzem. Stanęli po długiej wędrówce przed jakimiś schodami. Pospieszył na nie i znalazł sklepienie zawałone kamieniami.

Trzeba było siekiery i żelaza do rozbijania. Kupa kamieni była niedługo usunięta i nagle do wnętrza zajrzało światło. Wyszli i znaleźli się w małej dolince, która składała się tylko z kamienia i wcale nie miała zieleni.

Ostrożnie dostali się na jej brzeg i zobaczyli na wschodzie, w odległości większej jak mila piramidę, a między nią i doliną mnóstwo Komanczów. Konie ich pasły się może o pięćset kroków od dolinki.

— Co mój brat na to powie? — zapytał Sternau Mistekę.

— Wynalazek ten wart jest dużo istnień ludzkich — odpowiedział spokojnym głosem, znać było, iż serce teraz biło lżej.

— Synowie Komanczów będą myśleć, że jesteśmy czarownikami.

— Będą nas szukali i nie znajdą, gdyż uszliśmy z ich końmi. Karia, córka Misteków, nie potrzebuje teraz umrzeć z ręki brata, który chciał ją ocalić od hańby zamążpójścia za Komancza.

On zawsze myślał o swojej siostrze.

— Teraz musimy wracać — przestrzegwał Sternau. — Nie powinni nas tutaj zobaczyć.

Udali się znowu korytarzem na dół i założyli kamieniami otwór. Potem wrócili do piramidy. Kto wie, co ta droga niegdyś widziała! Z pewnością służyła ona do tumanienia wiernego ludu. Kapłani przechadzali się tam i z powrotem, kiedy na piramidzie krew ludzka płynęła strumieniami.

Zwołano ważną naradę, najpierw wodzów, potem wciągnięto do niej i pozostałych wojowników.

Wszyscy uważali, że są zgubieni, aż tu nadeszło ocalenie. Najszczęśliwsze były dziewczyny, które także były obecne przy naradzie. Postanowiono razem dotrzeć do Kordyliarów i tam się rozłączyć. Ale Niedźwiedzie Serce dodał:

— Niedźwiedzie Serce lubi swoich przyjaciół, on ich doprowadzi do Guaymes.

Karia zarumieniła się. Wiedziała dobrze, dla kogo ta grzeczność. W górach było mało żywności, dlatego dobrze się stało, że przedtem się w nią zaopatrzone. Koni jednak nie można było wyprowadzić podziemnym chodnikiem, dlatego trzeba je było zostawić Komanczom, a ich konie zabrać. Przygotowano się do odjazdu.

O zachodzie słońca wspięła się Karia na piramidę. Stanęła tam jak meksykańska kapłanka. Szata jej falowała na wietrze, a jej ciemne policzki ożywiły się blaskiem zachodzącego słońca.

Patrzyła na północ. Tam leżały błonia Apaczów, a Niedźwiedzie Serce, ich wódz, przypadł jej przecież do serca.

Dziwiła się, że mogła przedtem kochać kogoś innego. I to hrabiego Alfonso. O gdyby mogła wykreślić z pamięci tamte wieczory.

Nie słyszała, że z drugiej strony ktoś również wszedł na piramidę. Był to Niedźwiedzie Serce. Ujrzawszy dziewczynę stanął zachwycony widokiem jej pięknej postaci.

W tym momencie Karia poczuła czyjaś obecność i odwróciła się szybko. Kiedy zobaczył, że to bohater jej myśli, oblała się rumieńcem. Wódz Apaczów zauważył jej zmieszanie, podszedł bliżej i rzekł: — Jeżeli córce Misteków widok Niedźwiedziego Serca nie jest miły, to odejdzie.

Karia milczała, on jednak spostrzegł, że lekko drżała. Ściągnął ponuro brwi. On, wódz, bohater nie wiedział, że istnieje życie szczęścia, rozkoszy, oczekiwania.

— Dlaczego Karia nie odpowiada? Jak długo jeszcze oglądać będzie Niedźwiedzie Serce tę, którą kocha? Kilka dni, godzin. A potem zostanie ona żoną innego.

— Ona nigdy nie będzie żoną innego! — szepnęła.

Przystąpił szybko bliżej.

— Nigdy? Mówisz, nigdy?

— Kto kocha wodza Apaczów nie może kochać innego!

Chwycił ją za rękę i zapytał:

— A znasz tę, którą on kocha?

Milczała.

— Nie chcesz tego powiedzieć. Nie chcesz mnie widzieć szczęśliwym!

— O chętnie bym cię chciała, ale ty tego nie zechcesz!

— Dlaczego tak sądzisz?

— Kto chce być szczęśliwym, musi mieć miłość, miłość tylko dla jednej.

— Słusznie mówisz. A czyż ja ci nie powiedziałem, że godną jesteś by zostać jedyną żoną jakiegoś bohatera? Gdybym ja był bohaterem, prosiłbym cię, abyś została moją żoną!

— Jesteś bohaterem! — rzekła patrząc na niego oczami pełnymi zachwyty.

— Jeżeli rzeczywiście jestem, to rzeknij Kario, czy mnie kochasz?

— Kocham — rzekła zarumieniona.

— Ja ciebie także. Masz zostać żoną Apacza, jego jedyną żoną, najpiękniejszą, najdumniejszą i najszcześniejszą żoną między Indianami. Nie będziesz pracować tak jak inne żony, będziesz mieć tak samo, jak jaka biała kobieta, której życzenie jest rozkazem!

Ujął ją w ramiona, przycisnął do siebie i ucałował jąnie troszcząc się o to, że stali na szczycie piramidy i wszyscy musieli ich widzieć.

Stali w uścisku zapomniawszy o świecie, o wszystkim. Naraz obrócili się przerażeni, usłyszawszy znajomy głos.

— Kto z was jest chory, że jedno drugie podtrzymuje?

Był to Bawole Czoło. Nadszedł czas wymarszu, więc szukał siostry i nie spodziewał się jej znaleźć w objęciach Apacza.

Niedźwiedzie Serce stał zmieszany, prędko jednak przyszedł do siebie i zapytał pewnym głosem:

— Czy Bawole Czoło jest jeszcze moim druhem i bratem?

— Jest nim — odparł poważnie.

— Gniewa się może na mnie, że ukradłem mu serce siostry?

— Nie gniewam się, gdyż serca siostry nie może mu nikt wykraść. W sercu dobrej żony mają miejsce i mąż i brat.

— Pozwolisz mi przyjść do hacjendy del Erina i przynieść ślubny podarunek?

— Pozwalam!

— Z czego ma się on składać?

— Sam osądź! Bawole Czoło nie sprzedaje swojej siostry!

- Mam ci przynieść sto skalpów twoich nieprzyjaciół?
- Nie, sam sobie je przyniosę.
- Czy może dziesięć skór z siwych niedźwiedzi?
- Nie, skór mam do woli.
- To powiedz mi czego żądasz?

Króla *ciboleros* położył rękę na ramieniu Apaczy i rzekł:

— Nie żądam od ciebie ani skalpów, ani skór, ani srebra ani złota, tylko żądam, aby Karia, córka Misteków była w twoim domu szczęśliwa. Jesteś moim druhem i bratem, ale jeśli siostra moja nie byłaby u ciebie szczęśliwa, to ja bym ci tomahawkiem głowę rozciął a mózg dał mrówkom na pożarcie. Idź do swoich i pomów z nimi, potem przybywaj do hacjendy del Erina i zabierz ją ze sobą!

Obrócił się, odszedł. Niedźwiedzie Serce poprosił ukochaną o jeszcze jeden pocałunek, a potem poszedł za nim.

Jak długo było jasno, nie można było opuszczać obozu, miano wyruszyć dopiero nocą.

Verdoję wyniesiono z pieczary w takie miejsce, z którego nie mógł ich podglądać. Krzyki jego rozbrzmiewały po całej okolicy. Komancze kiwali zdziwieni głową, słysząc ten szalony głos.

Apacze weszli do podziemia, na końcu szedł Sternau, chciał założyć w korytarzu minę. Kiedy wszyscy opuścili piramidę, mina eksplodowała i zawaliła korytarz kamieniami. Nie mógł nikt wiedzieć, jakim sposobem umknęli.

Następnego ranka Komancze znaleźli tylko konie. Apacze już byli oddaleni o pół dnia drogi. Nie troszczyli się wcale, że Komancze rozczarowali się srodze, dowiedziawszy się o zniknięciu nieprzyjaciół.

PORWANIE

Rzeka Colima w zachodnim Meksyku uchodzi do oceanu w pięknej zatoce zwanej Puerto de Colima, a miasteczko o tej samej nazwie rozwija się pomyślnie, zarówno ze względu na swoje położenie, jak i żyzne gleby, a liczy około trzydziestu pięciu tysięcy mieszkańców.

Do portu zawija spora liczba statków, właśnie jakiś stał na kotwicy. Na oko był całkiem nowy i sprawiał miłe wrażenie. Na brzegu stało dwóch mężczyzn i podziwiali jego linię.

— *Goddam*, cholera! Ładny kawałeczek! — mówił nie młody już, długi i suchy mężczyzna. — Zbudowany z pewnością w Ameryce.

— Widać to na pierwszy rzut oka — zauważył drugi, o silnej i krępej budowie.

— Czy nie da się na nim umieścić jakiejś armatki?

— Kapitanie, przecież pan sam najlepiej wie.

— Tak sądzisz, to dobrze, ale nie nazywaj mnie kapitanem. Jestem wielce szanowanym dyrektorem teatru, nazywam się Guzman, a ty jesteś... już mam, ty jesteś moim reżyserem.

— Rozkaz panie dyrektorze! — odpowiedział nowomianowany reżyser, wykonując przy tym głęboki ukłon.

— Jak sądzisz, dokąd ten statek płynie?

— Niby skąd mam to wiedzieć, ale możemy się przecież zapytać, o, choćby tego marynarza, który tam siedzi, na pewno należy do załogi.

Podeszli bliżej brzegu i krzyknęli w stronę statku:

— Senior, czy pan jest z tego statku?

— Tak.

— A jak się on nazywa?

— „Lady”. Przecież nazwa napisana jest złotymi literami!

— A tak, nie zobaczyłem od razu, senior! A czy ten piękny okręt ma także kapitana?

— Rozumie się — zaśmiał się chłopiec. — A kogo ma mieć?

— Myślałem, że może tylko bosmana.

— A, to na okrętach wojskowych.

— Jak się nazywa kapitan, senior?

— *Mister Wilkers*, Jankes, tak jak i ja.

— No, wierzę. Jaki macie załadunek?

— Różne rzeczy, towar płynie do Guaymas.

— Do Guaymas? Hmm! Może i my moglibyśmy płynąć z wami do Guaymas. Gdzie jest kapitan?

— Wyszedł na ląd. Ale właśnie wraca.

— Ten mały?

— Ten co trzyma ręce w kieszeniach.

Obaj ustawili się na brzegu i patrzyli na przybywającego. Był to mały, suchy człowieczek, a z policzków zarumienionych i chwiejnego chodu wnosić można było, że łyknął dzisiaj parę kropli rumu więcej.

— Holla, spuścić trap, ja nadchodzę! — wołał już z daleka.

— Nie tak rychło, *sir*.

— Nie? A dlaczego nie? Jeśli ja nadchodzę, to wszystko musi iść bardzo prędko! Trzydzieści węzłów w ćwierć godziny! Zapamiętaj to sobie!

— Ale nie teraz, bo ci gentelmeni chcą z panem pomówić.

— Ze mną? Hm! Ze mną? A kim oni są?

Przyglądał się obu z naiwną dobroduszością, zaśmiał się, potem pstryknął palcami i rzekł:

— Szczury lądowe! Nieprawdaż?

Oni zaś stali przed nim w pokornej postawie zdjawszy kapelusze, wyglądało tak, jakby im udzielał audiencji. Długi rzekł za chwilę:

— Przepraszam, kapitanie. Jestem dyrektorem teatru Guzman, a to mój reżyser Martinez.

— A, aktorzy! Jowialni ludzie, żartobliwi ludzie! Czego chcecie ode mnie?

— Słyszeliśmy, że płynie pan do Guaymas. My też, jeżeli można, chcielibyśmy tam dotrzeć.

— A do diabła, ilu was jest?

— Sześciu panów i pięć dam, wszystkie młode i piękne!

— A do kaduka! A to ci heca! — śmiał się kapitan. — A możecie zapłacić?

— Jeśli nie za dużo!

— Pięć dolarów od osoby, ale tylko przejazd. Wszystko reszta, to wasza rzecz.

— To będzie pięćdziesiąt pięć dolarów. A może wystarczy pięćdziesiąt, senior?

— Pięćdziesiąt? Właściwie nie. Ale, że jesteście artystami i macie przy sobie damy, to niech tam będzie. Płaci się przy wsiadaniu na pokład, inaczej rzucam w wodę!

— Kiedy odpływacie?

— Dzisiaj wieczorem o jedenastej.

— Dziękujemy bardzo, senior, za uprzejmą przysługę. Wpół do dziesiątej będziemy na pokładzie.

Skłonili się nisko i odeszli się. Popatrzył za nimi uśmiechając się zadowolony, potem wszedł do czółna.

Obaj artyści powłóczyli się trochę po miasteczku, potem udali się do szynku. Zdawało się, że byli tu znani, gdyż przywitało ich kilku drabów, siedzących przy rozbitym stole, nad pełnymi szklankami.

— No, dyrektorze, jeszcze nic? — zapytał jeden z nich.

— Nareszcie! Aktorzy, sześciu panów i pięć pań!

— Ha, ha, ha! A to dowcip nie lada!

Dyrektor wypił szklankę wódki i oddalił się z szynku, obiecując zabrać całe towarzystwo.

Była dziewiąta. „Lady” naciągnęła żagle. Majtkowie z pokładu rozglądali się za pasażerami. Nareszcie nadeszli: jedenaście osób, jedna za drugą.

Kapitan Wilkers stał przy trapie i wyciągnął rękę, dyrektor zapłacił i kapitan udał się do wnętrza, to była cała ceremonia. Nie pytano o paszporty, ani o żadne inne dokumenty, nikt nie wskazał im miejsca, ale rzecz dziwna, tak się jakoś usadowili, że gdziekolwiek usiedli nie byli nikomu zawadą. Dlatego też mówili majtkowie, że to zupełnie porządni ludzie, ci artyści.

— Ale czy też damy wytrzymają? — zauważył jeden. — To otwarte morze i bardzo łatwo o morską chorobę.

Daremna troska, nikt nie zachorował. Dziwne to było, ale nie wpadło to majtkom do głowy, siedzieli na przednim pokładzie i opowiadali. Sternik stał z tyłu i kokietował gwiazdy, a kapitan spał w kajucie.

Artyści siedzieli pod żaglem i zdawało się, że wszyscy spali. Gdzieś koło drugiej po północy, dyrektor skinął na towarzyszy.

— Czas. — szepnął — Już zostawiliśmy za sobą Quatalaxaca.

— Wszyscy naraz? — zapytała jedna z dam, nie był to jednak damski głos.

— Tak — odparł dyrektor. — Widzicie tę chmurę, kiedy będzie nad okrętem weźmie się każdy do dzieła. Nóż prosto w serce i nie wyjmować go, w ten sposób krew nie pryśnie.

Gdy chmura zatrzymała się nad okrętem, zrobiło się ciemno.

— Naprzód, do roboty! — szepnął dyrektor.

Zrzucili z siebie wszystkie jasne rzeczy i ciemne postacie ruszyły bezszelestnie. Usłyszano tu i ówdzie westchnienie, a potem zapadła cisza.

Dyrektor poszedł na rufę, tam stał sternik i przyglądał się chmurze. Naraz coś zimnego ugodziło go w serce, padł na pokład i w tej chwili dyrektor stanął u steru.

Gwizdnął lekko i zjawił się przy nim reżyser.

- Jak tam? — zapytał.
- Wszystko dobrze — odparł.
- Weź pan ster. Ja idę do kapitana.

Dyrektor udał się do kajuty. Nie była zamknięta. Otworzył, kapitan spał. Morderca podniósł spokojnie kołdrę, położył koniuszek noża ze straszliwą dokładnością na serce i nacisnął. Nóż pozostawił utkwiony, a kapitana wyniósł na pokład.

Wszystkich pomordowanych powrzucono do morza.

W kajucie kapitana rzekomy dyrektor z największą uwagą przeglądał księgi okrętowe, dopiero rano powrócił na pokład. Gwizdnął srebrną, małą piszczałką i wszyscy znaleźli się przy nim.

— Żart się udał, chłopcy — rzekł do nich. — Teraz się rozpocznie życie, jakiego wam królowie mogą pozazdrościć. Przede wszystkim jednak musimy mieć się na baczności. Mamy fracht do Guaymas. Tam ani nasz statek, ani załoga, nie są jeszcze znane. Zachowamy więc imiona, jakie są zapisane w książce. Ja jestem kapitan Wilkers.

Każdemu dał nowe imię i obznajomił z rolą. Potem rozkazał odpocząć w następnej zatoce morskiej.

„Lady” była znakomitym żaglowcem i już następnego dnia dostała się do portu Guaymas, pięknego i gościnnego miasteczka, należącego do meksykańskiej prowincji Sonora.

Kapitan Wilkers zachowywał się tak, jakby rzeczywiście był właścicielem tego okrętu.

Jednego dnia urządził wycieczkę i wziął ze sobą sternika. Wynajęli muły i pojechali w góry. Pokręciwszy się po okolicy, wrócili wieczorem. Przebyli jeszcze kilka godzin w pewnej knajpie, a potem udali się na okręt. Po drodze spotkali jakiegoś mężczyznę. Kiedy był blisko, padł blask latarni na jego twarz, wprowadzie na chwilę tylko, ale to wystarczyło by go rozpoznali.

Obaj zdziwili się ogromnie.

— A do czarta! Czy to był duch? Co za podobieństwo! Chodź sterniku, musimy iść za nim!

Mężczyzna skręcał właśnie do domku, leżącego pośród ogrodu. Tam zadzwonił, a drzwi otworzyła mu drzwi bardzo piękna, młoda dama. Usłyszano dokładnie jej pozdrowienie:

— A, senior Mariano! Witam! Senior Sternau czeka już na pana!

— Do diabła, to on! — rzekł kapitan — Wie pan kto tu mieszka?

— Kto?

— Ten Sternau, co to nas zaczepił koło wybrzeży Jamajki razem ze swoim jachtem i wszystkich moich oficerów pozabijał. Pan się wtedy uratował i został moim sternikiem.

— A do kaduka! A nie moglibyśmy się zemścić? Miałbym na to ogromną ochotę.

— Dla mnie to nie tylko ochota, ale istotne pytanie, czy dostanę tego draba w ręce, czy nie. Pst, idą na werandę, możemy podsłuchać.

Prędko, przez płot!

Przeskoczyli przez płot i ukryli się w bujnie rosnących krzakach.

Na werandzie zsunięto dwa stoły i nakryto białym obrusem. Postawiono lampę, obok nieco owoców i rozpoczęła się żywa rozmowa. Przy stole siedzieli: Sternau, Mariano, Bawole Czoło, Niedźwiedzie Serce, Piorunowy Grot, sternik Helmer, Emma i Karia.

Przybyli tu wczoraj, a ponieważ nie było okrętu, wynajęli sobie mieszkania i zeszli się tutaj, u Sternaua.

Rozmawiano o rozmaitych rzeczach, wreszcie rozmowa stała się ciekawa dla podsłuchiowaczy. Emma zapytała:

— A skoro pan dostanie się do Meksyku, senior Sternau, co poczniesz potem?

— Pojadę do Afryki, szukać starego hrabiego de Rodriganda.

— Pan naprawdę sądzi, że on jeszcze żyje?

— Wierzę, iż nie umarł w Meksyku. Słyszała pani o tym drabie Henryku Landoli?

— A, o tym piracie, którego pan rozbił koło Jamajki.

— Tak. To on wywiózł hrabiego do Afryki, dokładnie wiem gdzie go mam szukać. Jeżeli nie umarł, to go znajdę w Harrarze.

— A potem stryczek dla Korteja gotów?

— Jeszcze nie. Najpierw muszę znaleźć starego hrabiego Emanuela de Rodriganda, mego teścia. Jestem przekonany, że jeszcze żyje. Ale precz smutki! Dzisiaj pisałem do mojej żony i nie chciałbym psuć sobie humoru.

Rozmowa stała się nieciekawa dla podsłuchiwaczy.

— Bydlę ten Sternau — zgrzytał kapitan, w którym czytelnicy dawno już rozpoznali Landolę.

— Schwytajmy go, kapitanie!

— Uczynię to, nawet za cenę życia. Ale jak to zrobić?

— Czekajcie, rozchodzą się. Musimy pójść za Mariano. Muszę koniecznie wiedzieć gdzie on mieszka. Przez płot... i czekać w kącie!

Poczekali na Mariano i śledzili go z daleka, każdy osobno. On udał się na wybrzeże i wszedł do najętego domu. Przyglądali mu się póki nie zniknął, potem rzekł kapitan:

— Wiemy więc gdzie on i inni mieszkają. Chodzi teraz o zbadanie ich zamiarów.

— Ja się o to dowiem. Mnie nie zna ani Sternau ani żaden z jego ludzi.

— Ale trzeba się spieszyć. Może jutro?

Udali się do domu, a na drugi dzień zamierzał sternik wdrożyć swoje poszukiwania i udał się naprzód do zatoki, aby zobaczyć co dzieje się na okręcie. Szczęście im sprzyjało: na brzegu zastał Sternaua z Mariano. Obaj udali się na okręt, a widząc postępującego za nimi sternika Sternau spytał:

— Zna pan może przepisy tego okrętu?

Sternikowi wpadła myśl połączona z ogromną korzyścią dla kapitana. Postanowił ją wprowadzić w czyn, dlatego też odpowiedział:

— Dlaczego pan pyta? Chce pan może być pasażerem okrętu, czy może chce pan oddać jakiś ładunek?

— Chciałbym się dostać z moimi towarzyszami do Acapulco albo jakiegoś innego południowego portu.

— To się dobrze składa, bo i ja mam ochotę płynąć do Acapulco.

— Pan tu jesteś kapitanem?

— Właśnie.

— Kiedy odbijacie?

— Jutro raniutko. Pasażerowie musieliby jeszcze dzisiaj wieczorem przybyć na pokład. Chce pan oglądnąć okręt?

— Uczynię to za godzinę, a potem ustalimy warunki.

Chciał oglądnąć wspólnie ze sternikiem Helmerem, który na takich rzeczach lepiej się znał od niego.

Dobrze się stało, że Sternau chciał przybyć później, gdyż spokojnie mogli usunąć wszystko co niebezpieczne i urządzić wnętrze okrętu tak, aby pasażerowie byli zadowoleni. Personel okrętowy otrzymał odpowiednie wskazówki i kiedy Sternau przybył z Helmerem, przyjęto ich bardzo grzecznie, a oględziny wypadły pomyślnie, Sternau chciał zaraz nawet zapłacić za przewóz.

Chcąc powrócić do hacjendy del Erina mogły obie damy w towarzystwie Piorunowego Grota i obu wodzów udać się łodem, to jednak było niebezpieczne i nużące, dlatego postanowili popłynąć do Acapulco a stąd udać się do Meksyku. Ale na to nie zgodzili się obaj wodzowie, chcieli wybrać prostą drogę i przybyć prędzej do hacjendy del Erina, a po drodze jeszcze oznajmić Arbellezowi, że jego droga córka jest wolna. Obaj jednak chcieli przed odjazdem udać się na okręt, aby spędzić wieczór razem z przyjaciółmi.

Kiedy kapitan Landola dowiedział się o wszystkim, ledwo potrafił zapanować nad swoją radością.

— A to daleko lepiej, niż można było oczekiwać. W takim razie nie potrzebuję ani fałszywej brody ani żadnego przebrania. Przyjdę na pokład kiedy będzie zupełnie ciemno. Wtedy ich powiążemy!

— Czy mają zostać przy życiu?

— Tak, to korzystniejsze dla mnie.

— Ale to będzie straszliwa walka! Każdy z tych drabów może zabić kilku z nas.

— Pojedynczo się z nimi załatwimy. Nic będzie to trudne. Sternau jest najniebezpieczniejszy, jego trzeba załatwić pierwszego. Obu Indian także się złapie. Nikt nie może wiedzieć, jakim sposobem towarzystwo to zniknęło. Mamy ich w swojej mocy i wtedy płyniemy na zachód. Znam parę wysp, które leżą samotnie na morzu, zapomniane przez wszystkich. Żaden okręt tam nie zawija. Tam ich wysadzimy. Mogą tam wyżyć, woda i owoce są. Próby ucieczki zaś daremne. I tak zostaną naszymi jeńcami na całe życie.

— A gdzie ta wyspa?

— Leży daleko, pod czterdziestym stopniem południowej szerokości na wysokości wysp Wielkanocnych i jest więzieniem lepszym, niż Bastylia czy Tower. Drzewa na niej nie są wielkie, więc nie można z nich zbudować okrętu, a nawet gdyby się im to udało, to z takim niedoskonałym statkiem nie przeżyj ą ogromu fal, które dniem i nocą biją w koralowe brzegi wyspy.

— Ale będziemy mieć za dużo świadków. Każdy z naszych ludzi może potem wypaplać tajemnicę.

Kapitan spojrzął z politowaniem i odrzekł z naciskiem:

— Nie będziemy mieć świadków, gdyż tylko dwóch z nas przeżyje.

Powiedział wyraźnie, a sternik się przeraził. A co będzie, jeśli kapitan nie zechce wcale mieć świadków i jego też zabije? Postanowił być ostrożnym.

Wieczorem przybyli pasażerowie na okręt, witani bardzo uprzejmie. W kajucie kapitana otrzymali wyborną wieczerzę, podczas której Landola pokazał się na górze i zaczął działać.

Było bardzo ciemno, na morzu leżała gęsta mgła; na trzy kroki nie można było rozeznąć przedmiotów. Kilku z najsilniejszych żeglarzy ustawiło się przy schodach, jeden zaś udał się do kajuty, gdzie domniemany kapitan zapytał go gburowato:

— Czego tu szukasz, hę?

— Proszę darować, senior capitano. Przybył właśnie czółnem jakiś cudzoziemiec i pragnie mówić ze seniorem Sternauem.

— Ze mną? — zapytał Sternau. — Kto to może być?

— Powiedział, że jest gospodarzem, u którego pan mieszkał. Ma panu coś bardzo ważnego powiedzieć.

— Dobrze, już idę.

Wstał i udał się za marynarzem. Na schodach poczuł nagle, że jakieś ciężkie narzędzie spadło mu na głowę, padł nieprzytomny, nie krzyknąwszy nawet.

— Ten już gotów! — zaśmiał się półgłosem Landola. — Związać go i umieścić na dnie okrętu. Potem przyprowadzić Indianina przybranego w bawolą skórę.

Po jakimś czasie zjawił się żeglarz w kajucie i rzekł do Bawolego Czopa, aby poszedł do Sternaua. Nie przeczuwając nic złego poszedł za przewodnikiem i padł tak samo bez głosu jak jego poprzednik. Po dwóch minutach przyszła kolej na Niedźwiedzie Serce, zniecierpliwilo to Mariano i wstając rzekł:

— To wygląda na bardzo ważną nowinę, zaraz się dowiem o co chodzi.

Wyszedł z kajuty. Obaj bracia Helmerowie siedzący z damami i domniemanym kapitanem, słyszeli oddalające się kroki, ale daremnie oczekiwali powrotu. Wreszcie i oni wstali, obiecując Emmie i Karii szybą informację.

Upłynęło sporo czasu, zanim usłyszano zbliżające się kroki. Drzwi się otwały i wszedł Landola. Damy popatrzyły na niego ze zdziwieniem. On zaś uklonił się bardzo grzecznie i oznajmił:

— Seniority, proszę bardzo iść za mną. Panowie chcą z wami pomówić.

Obie dziewczyny posłuchały wezwania. Wyprowadził je z kajuty na ciemny pokład, gdzie natychmiast dwóch mężczyzn i schwyciło je. Kiedy przy tym krzyknęły, rozkazał im milczeć!

— Proszę milczeć! Macie wysłuchać tego, co mam wam do powiedzenia! Panowie, którzy są z wam, postępowali względem mnie i moich przyjaciół tak nieprzychylnie, że musiałem się zabezpieczyć. Znajdują się już pod kluczem, a wy także będziecie moimi więźniami.

— Jakim prawem? — zapytała Karia, która jako prawdziwa Indianka zaraz przyszła do siebie.

— Prawem silniejszego — zaśmiał się. — Nie wiem, czy mnie panie znacie. Nazywam się Landola.

— Landola! Pirat?! — wykrztusiła Emma z przerażeniem.

— Tak jest, pirat — odpowiedział z gburowatą dumą. — Daremny jest wszelki opór. Damom nie stanie się nic, mogą nawet przechadzać się po pokładzie, ale skoro tylko nie zechcecie słuchać moich rozkazów, pozabijam mężczyzn. Nie zobaczycie ich podczas naszej podróży; leżą związani na dole, pod pokładem, a ja im powiem aby się powstrzymali od wszelkiego oporu, gdyż inaczej pozabijam was.

— A jaki ma być nasz los? — zapytała Karia odważnie.

— Wylądujecie moi państwo, na nieznanym wyspie, aby mi nikt nie mógł zaszkodzić. Przez całą drogę ani włos nie spadnie wam z głowy, żaden z moich ludzi nie śmie was tknąć, ale za to wymagam bezwarunkowego posłuszeństwa i nie ważcie się nawet myśleć o ucieczce, gdyż to może los wasz tylko pogorszyć. Teraz proszę za mną.

Zaprowadził je do wąskiej kajuty i zamknął. Padły sobie w ramiona. Jedna jedyna chwilka zrzuciła je z wierzchołka szczęścia, w straszną głąb niedoli.

Teraz udał się pirat do swoich jeńców. Znajdowali się na dnie statku.

Musimy zauważyć, że okręt choćby nawet ciężko naładowany, musi mieć balast, który się składa z kamieni, piasku albo innych ciężkich materiałów, które są nagromadzone na dnie okrętu, aby ten głęboko zanurzał się w wodę. Jeśli nie ma balastu, to okręt płynie zbyt lekko i bardzo łatwo może go wiatr przewrócić. Statek nie płynie jak należy, chwieje nim i może bardzo łatwo przepaść. Tak często znikają statki, które nie wiedzieć czemu zatoneły.

Każdy okręt, nawet solidnej budowy wciąga w siebie znaczną, ale bezpieczną ilość wody morskiej przez poszycia desek. Stąd właśnie pochodziła wilgoć piasku, na którym leżeli więźniowie. Do boków okrętu przyśrubowane były łańcuchy, w które zakłuto naszych bohaterów i to w takiej odległości, że jeden drugiego nie mógł dosięgnąć, chociaż słyszeć go był w stanie. Prócz tego ręce i nogi ich były powiązane takimi silnymi linami, że utracili w nich władzę.

Landola przyszedł do nich z latarnią, gdyż miejsce to było nawet we dnie pogrążone w ciemnościach. Wszyscy już się opamiętali. Każdego z osobna oglądnął i usiadł na przeciwko Sternaua, który od razu go poznał i wiedział, że od tego człowieka nie może oczekiwać nic dobrego.

— Senior Sternau, poznajesz mnie? — zapytał szyderczo. Doktor nie odpowiedział. Udawał, że nie zauważa łotra.

— A, gra pan rolę dumnego — zaśmiał się Landola. — Dobrze, muszę to na razie przyjąć do wiadomości. Gdyby mnie jednak inni panowie jeszcze nie rozpoznali, to chcę im powiedzieć, że jestem Henryk Landola, kapitan sławnej La Pendoli. Nazywają mnie czasem kapitanem Grandepriise z okrętu „Lion”. Tak więc już się przedstawiłem więc teraz odpowiadajcie!

Jednak żaden nie wyrzekł słowa.

— Dobrze dobrodzieje. Jestem przekonany, że tylko strach odebrał wam mowę, dlatego będę pobłażliwy. Jednak muszę przypuścić, że został wam chociaż słuch i dlatego oznajmię wam moje względem was zamiary.

Patrzył na każdego po kolei i przekonał się, że nawet teraz nikt na niego nie spojrział. Pokiwał głową, uśmiechając się złośliwie i ciągnął dalej:

— Otrzymałem polecenie aby was wszystkich unieszkodliwić, a nawet i zabić. Jesteście więc w moim ręku i mógłbym was pozabijać bez większego trudu. Postanowiłem jednak nie uczynić tego, ale nie z miłosierdzia, bo to byłoby słabostką, ale ze zwyczajnego wyrachowania.

Ponownie rzucił okiem po obliczach więźniów, ale nie spostrzegł najdrobniejszego wyrazu uwagi czy też zainteresowania. Po krótkiej pauzie mówił dalej:

— Mam za swój uczynek otrzymać nagrodę. Przypuszczam jednak, że jeżeli was zgładzę, to wtedy nie zechcą jej wypłacić. Daruję więc wam życie, chociaż znikniecie, a potem mogę w każdej chwili spowodować wasze pojawienie się. Tym sposobem zleceniodawca będzie musiał wypłacić nagrodę. Skoro ją otrzymam to wy znikniecie, nie dadzą jej to wyprowadzę was i puszcze na wolność pod warunkiem otrzymania mojej zapłaty z waszej strony i naturalna rzecz, mojego ułaskawienia.

Mówił, jakby chodziło o zwyczajny handelek, a nie o szczęście tylu osób.

— Widzicie więc, że nie chcę być dla was tak bardzo okrutny, ba możecie się nawet spodziewać w dobrych warunkach waszego oswobodzenia. Dlatego myślę, że będziecie rozsądni. Nie próbujcie się nawet wyrwać z moich rąk. To może wam tylko zaszkodzić. Obie seniority są również w mojej mocy. Obchodzić się z nimi będę godnie, was też nikt nie będzie męczył bez potrzeby. Jednak jakakolwiek próba ratunku jednej grupy — daję na to najświętsze słowo honoru — przynosi drugiej zgubę. Jeśli wy będziecie niepokorni — zabiję damy, jeśli zaś one — każę zabić was. Zapamiętajcie to sobie!

Na koniec dodał:

— Wy będziecie leżeć tak jak teraz i raz dziennie pod moim nadzorem przyjdzie ktoś rozwiązać wam ręce, byście mogli zjeść i napić się. Teraz wiecie wszystko. Nie zapominajcie, że macie do czynienia z człowiekiem, który najmniejsze nieposłuszeństwo karze śmiercią.

Zabrał latarkę i zaryglował drzwi.

Parę minut leżeli wszyscy w ciemnym, wilgotnym pomieszczeniu zupełnie cicho. Słyszał tylko szczury, które zawsze buszują na okrętach. Potem usłyszano głos Apacza, który powiedział słowo:

— *Uff!*

— *Uff!* — odpowiedział po chwili Bawole Czoło.

Znowu cisza może z pięć minut, potem Mariano spytał Sternaua:

— Co powiesz na to, Karolu?

— Nic — brzmiała odpowiedź. — Czy możliwe jest, abyśmy w nocy uwolnili się z tych z kajdanów?

— Nie! One są za silne.

— A więc musimy się poddać!

Wyrzekł te słowa głosem spokojnym, ale ton zdradzał, co się działo w jego wnętrzu. Wszyscy byli ludźmi, którzy śmiało nieraz zaglądali śmierci w oczy. Nie przyzwyczajeni byli do skarg i w każdym gotowało się, byli za dumni jednak, by się zdradzać. Po dłuższym czasie rzekł Bawole Czoło:

— Jeżeli tylko Karii, siostrze wodza Misteków, jeden włos na głowie się skrzywi, to ten łotr jest zgubiony!

Sławny myśliwy nie myślał o sobie, tylko o siostrze.

— Najsrozsze męki wycierpi — zawtórował mu Apacz, również myśląc o Karii.

Obaj mówili dumni i pewni siebie, jak przystało na dzielnych wodzów indiańskich. Uwięzieni byli, nie mieli najmniejszej nadziei na uwolnienie, a jednak grozili nieprzyjacielowi. Sławny Helmer, Piorunowy Grot czynił tak samo jak oni.

— Diabeł ich porwie, jeśli chociaż niegrzecznie się zachowają względem Emmy — krzyknął. — Nie zginiemy przecież na tym przeklętym statku, a potem zobaczymy, co da się zrobić.

Sternau, zapytał go:

— Jakim sposobem pana złapano? Chwytem za gardło, czy uderzeniem?

— Duszono mnie — odpowiedział Helmer.

— To może pan mówić o szczęściu. Uderzenie w głowę byłoby dla pana zabójstwem. Zresztą nie będziemy się teraz rozczulać. Czy naprawdę żaden z was nie poradzi sobie z łańcuchami? Mnie związane o wiele mocniej, niż was, inaczej udałoby mi się choć trochę poluzować żelaza.

Uczynili jak on powiedział. W lochu nie słyszano teraz nic więcej, prócz trzeszczenia i dzwonienia łańcuchów, ale wszyscy musieli zaprzestać swych wysiłków.

— Nic z tego — rzekł Mariano. — Musimy liczyć na przypadek.

— To na nic się nie zda. Człęk ten jeszcze w nocy popłynie z nami na morze — odrzekł Sternau. — Jeżeli do tego czasu nie oswobodzimy się, to zostaniemy jego więźniami, dopóki mu się spodoba i nas zabije, albo wysadzi na jakiejś bezludnej wyspie, jak to można wnosić z jego słów. Podczas podróży nie mielibyśmy do czynienia tylko z nim i z jego ludźmi, ale też z żywiołami. Łańcuchów ani więzów nie rozerwiemy. Istnieje tylko jedna możliwość, gdyby się paniom udało jakimś sposobem dostarczyć nam narzędzia. Ale to niemożliwe. A gdyby nawet było możliwe, to nie odważą się na to. Nie traćmy jednak odwagi ani nadziei.

Nastąpiła cisza. Niekiedy tylko słyszano przytłumiony dźwięk łańcucha w piasku i o dziwo, wkrótce poznać było po regularnym oddechu, że spali, mimo, że dzisiaj doznali jednego z największych rozczarowań w swoim życiu; w takim położeniu inny z pewnością by rozpaczał. Obudzili się dopiero kiedy woda morska szumiała koło uszu, co było dowodem, że okręt płynął, dokąd — o tym nie mieli pojęcia.

Pogoda była dłuższy czas piękna, okręt nie potrzebował się nigdzie zatrzymywać. Wreszcie fale zaczęły się uspokajać, usłyszano odgłos spuszczonej kotwicy i nastąpiła głęboka cisza. Po chwili rozległ się odgłos kroków kilku ludzi, schodzących po schodach do lochu. Landola wszedł z kilku marynarzami.

— Zdjąć im kajdany! — rozkazał. — Ale związać ich tak, by nie mogli stać ani poruszać rękami.

I tak się stało. Teraz zabrano jeńców na pokład, gdzie ich poukładano, jak kloce drzewa.

W końcu, po tak długim czasie, po raz pierwszy ujrzeli słońce i niebo. Po raz pierwszy odetchnęli znowu świeżym powietrzem. Ale jak wyglądali ci mężczyźni! Głodu ani pragnienia nie cierpieli, ale od paru miesięcy nie pielęgnowani, nie myci, nie czesani leżeli tak w wpółzgniętym ubraniu, które ponadgryzały szczury.

W pobliżu stały powiązane także dziewczęta. Z prawej strony rozciągało się szerokie morze, po lewej zaś zobaczyli wyspę, otoczoną koralową rafą, o którą biły wysokie, wzburzone fale. W rafie była przerwa, którą do wyspy mogło przez wodną kipieli dopłynąć silnie zbudowane czółno.

Więźniowie rzucili okiem na wyspę. Teraz przyglądali się załodze okrętu.

Kapitan przemówił do powiązanych:

— Jesteśmy u celu. Wyspa ta ma być waszym mieszkaniem. Nigdy nie dowiecie się jak się ona nazywa i gdzie leży, gdyż znajduje się poza jakimkolwiek szlakiem morskim. Nie zginiacie z głodu ani pragnienia, znajdują się tam dwa źródła wody pitnej, owoce, ryby, ptaki i dziczyzna. Broni, którą wam odebrałem nie otrzymacie nigdy, ale możecie sobie sporządzić sidła albo łuki, by zdobyć pożywienie i skóry na ubranie. Powiedziałem wam, że możemy się jeszcze

zobaczyć. Skoro się zbliży do was jakiś okręt, to z pewnością mój, nie sądźcie, że kogoś innego. A teraz przyływ morza zanieś was na ląd. Skoro się moi ludzie oddalą, z łatwością możecie uwolnić się z więzów. *Adieu!*

Marynarze chwycili powiązanych i położyli ich do czółen, które oddaliły się od statku. Udało im się przebyć rozfalowaną wodę. Na brzegu wyładowano powiązanych, a marynarze wrócili na okręt.

Sternau potoczył się do ostrego koralowego brzegu i dopóty tarł sznurem, dopóki ten nie pękł. Teraz odbił kawałek takiego koralowca i używając go jako noża porozcinał więzy na nogach, był wolny. Po niespełna dziesięciu minutach wszyscy prostowali swe kończyny.

Bawole Czoło podniósł swą rękę, wskazał na okręt i zapytał:

— Pragną moi bracia, abyśmy zdobyli tę wielką łódź naszych wrogów?

Sternau musiał mimo powagi zaśmiać się.

— Ależ to niemożliwe, zupełnie niemożliwe!

Wtedy wskazał Bawole Czoło na przyływ wody i zapytał:

— Boją się bracia moi tej wody? Wódz Misteków przepłynie ją! — Ale zanim się wydobędzie, okręt odpłynie. Już rozwinął żagle, płynie dalej. Który pływak jest w stanie go dopędzić!

Statek rzeczywiście puścił się w dalszą drogę. Był to dobry żaglowiec i płynął tak szybko, że wyspa znikła niebawem z oczu załogi.

Kapitan stał na pokładzie i patrzył przez lunetę. Kiedy wyspa całkiem skryła się za horyzontem obrócił się do sternika.

— Gotów! Ci państwo są teraz w bezpiecznym schowku!

— W bezpiecznym? A co będzie, jeżeliby się im udało ocalić?

— To im się nigdy nie uda. Nie troszczę się o nich, ale o tych — wskazał przy tym na majtków.

— Trzeba będzie znaleźć jakieś środki bezpieczeństwa — zauważył sternik z ukrytym uśmiechem.

— Tak uczynimy — przytaknął kapitan. — Trzymajmy się kursu północno-zachodniego. Chcę dostać się do wyspy Pitcairn.

— Hm — mruknął mat, kiwając powoli głową, on swego kapitana zrozumiał doskonale.

Podróż była pomyślna. Dostano się do Pitcairn i kapitan sam zszedł na ląd.

— To coś znaczy! — pomyślał sternik. — Ale ja mam się na baczności.

Landola wrócił i był w bardzo złym humorze.

— Nic nie było! Chciałem naszych drabów wymienić na nową załogę, ale to nie takie proste. Będziemy musieli poczekać parę dni.

— A może i ja bym popróbował, kapitanie? — zapytał mat.

Nie do smaku mu było teraz jakoś na okręcie. Landola chciał się pozbyć świadków i on sam, jako sternik, znajdował się w niebezpieczeństwie. Na twarzy Landoli zawitał uśmiech, jakby się pozbył wielkiej troski i odpowiedział:

— Byłoby mi bardzo miło. Może pójść jeszcze kilku i jeżeli zostanieie do jutra, to nabierzecie ludzi do woli. Czterech w łodzi będzie całkiem dosyć.

— Pewnie, zaraz będę gotów.

— A nie zapomnijcie o broni, bo z tymi tubylcami nie ma żartów. Sternik poszedł. Kapitan zaśmiać się po jego odejściu i mrucał pod nosem:

— Ten drab mnie rozszyfrował. On miał pierwszy stracić głowę. Jak dobrze, że znalazłem tę załogę rozbitego okrętu wielorybniczego. Ci ludzie są chyba szczęśliwi chyba, że ich biorę.

Poszedł za sternikiem. Ten zamierzał właśnie wyciągnąć swoją wyjściową bluzę o błyszczących guzikach z kotwicami. Na małym stoliku leżał pistolet. Był nabity.

— Już nawet nabity? — zapytał kapitan oglądając broń. Sternik nie ufał mu, chwycił za pistolet mówiąc:

— Ostrożnie kapitanie! Z tym pistoletem nie ma co żartować!

— Ja też tego nie czynię!

Z tymi słowy zapal kapitan rękę ściskającą pistolet i wypalił. Kula trafiła prosto w głowę sternika.

Teraz pobiegł kapitan na pokład i wołał o pomoc.

— Mat się zranił! Nieostrożnie obchodził się z nabitym pistoletem.

Wszyscy pospieszyli na dół. Poznano, że o zranieniu się nie mogło być mowy. Ale draby nie robili sobie nic z tego, gdyż każdy awansował o jeden stopień. Zwłoki zapakowano w worek i rzucono bez ceremonii w morze. Główny świadek był usunięty.

Zwołał załogę i oznajmił, że właśnie zamierza rozpocząć właściwy interes i dlatego zaangażował znajdującą się tutaj załogę statku wielorybniczego.

— Uważają oni nas za spokojnych kupców i dopiero z czasem zostaną wtajemniczeni w naszą robotę. Dlatego musicie na razie względem nich zachować milczenie i ostrożność.

Kiedy nowi marynarze przyszli na okręt, załoga przywitała ich bardzo przychylnie. Kapitan wziął sternika do swojej kajuty i rzekł:

— Już powiedziałem panu, że moi ludzie zbuntowali się i tylko dlatego mnie nie zabili, że jestem jedynym, co prowadzi rachunki i rozumie się na nich. Jeśli mi pan pomożesz, to już jutro będziesz sternikiem. Mój zastrzelił się.

— Jestem gotów — brzmiała odpowiedź.

— Dobrze. Na powitanie dostaniecie wyśmienity trunek. Upicie ich, napadniecie i powiążecie, a potem prześlemy ich na najbliższy okręt wojenny.

Projekt wykonano w połowie. Landola do trunku piratów dodał truciznę tak, że żaden z nich nie przeżył ośmiu dni. Kapitan usunął wszystkich świadków. Wśród nowej swojej załogi uchodził za męża zacnego i nie dał po sobie poznać, iż rzecz ma się zupełnie inaczej.

W Valparaiso, dzięki swej chytryści i przebiegłości sprzedawał statek wraz z ładunkiem jako swój i ze znaczną sumą wsiadł na parowiec, aby przez Rio de Janeiro dostać się do Hiszpanii, dokąd też przybył szczęśliwie.